

JAN WEILER

Małżeństwo po
włosku

Dla Sandry

Rozdział pierwszy

Obcy stoi przed drzwiami. To ja. Dokładnie rzecz ujmując, jestem obcy nie tylko dla ludzi za drzwiami, lecz także dla mnie samego. Przebrałem się bowiem za zięcia z bukietem kwiatów. Takiego siebie nie znam, ponieważ jeszcze nigdy nie wręczałem ciętych kwiatów ludziom, którzy nie należą do mojej rodziny albo przynajmniej nie są w tym samym wieku i płci żeńskiej. Jednak nieczęsto w życiu prosi się o rękę ich córki. W takiej chwili można wydać się obcym nawet samemu sobie.

To nasza pierwsza wspólna wizyta w jej domu. Wprawdzie jesteśmy już ponad dwa lata razem, ale jak do tej pory znam tylko jej siostrę i ją. Dotąd uważałem, że to w zupełności wystarczy. Potem jednak oświadczyłem się Sarze, co u nas - podobnie jak w przypadku większości ludzi - doprowadziło do wizyty u rodziców.

Sara stoi za mną, szturcha mnie.

Jechaliśmy ponad sześćset kilometrów, a Sara prawie cały czas opowiadała o swoim ojcu, po którym odziedziczyła wspaniałe nazwisko Marcipane. Jest trochę uciążliwy, powiedziała. Niektórzy mają go za dziwaka. Inni nawet się go boją, ale ona tego nie rozumie. To niezwykły człowiek. Ma poczucie humoru, rozum i apetyt. Jest wspaniałomyślny. I ma zwyczaj mówić bez przerwy, gdy jest w dobrym nastroju. A ponieważ przez większość swojego życia jest w dobrym nastroju, dlatego od rana do wieczora mówi. Wcześniej, gdy była młodsza, kosztowało ją to dużo nerwów, bo regularnie płoszył swoją nieustanną gadaniną wszystkich jej adoratorów, zresztą samych idiotów, jak ich nazbyt dosadnie określiła. Teraz nie jest już tak źle - przecież się starzeje. Co ma jedno z drugim wspólnego, nie wiem.

Jej ojciec, ciągnęła Sara, przypomina swoistą dmuchawę, która jednak porusza nie tylko powietrze, lecz także serca. Nie

umie się złościć, a nawet jeśli jest zirytowany, to tylko dla osiągnięcia efektu, ponieważ jest zbytnim ignorantem, by się naprawdę złościć. Nic nie jest w stanie zainteresować go na tyle, by mogło go rzeczywiście zdenerwować. Potem jeszcze dodała, że istnieje właściwie tylko jedno zagrożenie, które nastąpiłoby, gdyby ojciec zamilkł. To, w zależności od czasu trwania tego milczenia, oznaczałoby, że ojciec jest zły, bardzo zły.

Skomplikowane, pomyślałem i zapytałem: „A twoja matka?”

Póki co wiem tylko, że matka Sary ma na imię Ursula, pochodzi z Nadrenii i wykazuje cierpliwość belgijskiego konia pociągowego w browarze. Na zdjęciu z czasów młodości, które stoi na stoliku Sary, Ursula podobna jest do swojej córki: bardzo wąskie usta, mały nos, liczne piegi tu i ówdzie. Oczy i właściwie niewłoskie blond włosy Sara musiała odziedziczyć po tacie. „Moja matka to zupełne przeciwieństwo ojca”, powiedziała. „Nie mam naprawdę pojęcia, jak ona wytrzymuje to jego bezustanne gadanie, ale jakkolwiek by, są już razem trzydzieści pięć lat. Jakoś to musi działać”.

Kiedy zaparkowaliśmy samochód, poczułem się nieswojo. A co będzie, jeśli mnie nie polubi? A jak obetnie mi mały palec, zgodnie ze starym włoskim zwyczajem ojców, i odeśle go w kopercie pachnącej gorzkimi migdałami do moich rodziców, by ich szantażować dla dobra stowarzyszenia ziomków? A ja, wykrwawiając się, będę czekał gdzieś w jakiejś piwnicy nadreńskiego domu na wiadomość i słyszał, jak na górze moja, wtedy już była, narzeczona głośno śmieje się z kompanami swojego ojca? Moje obawy być może wydają się nieco przesadzone, ale podsyca je zupełna nieznamość włoskiej mentalności.

Do tej pory miałem do czynienia właściwie tylko z trzema Włochami, nie licząc kelnerów w pizzeriach i pracowników

hotelowych w Dolomitach, z którymi wprawdzie miałem kontakt, ale nie była to jakaś głębsza relacja. Z drugiej strony znam tylko dwóch Francuzów, jedną Hiszpankę, jednego Saksończyka i żadnego Duńczyka. Dlatego trzech to już jest coś.

Nazwiska pierwszego Włocha do dziś nie znam. Sprzedawał lody i w ferworze świętowania zwycięstwa po meczu finałowym Mistrzostw Świata w piłce nożnej w 1982 roku dał mi porcję z trzema kulkami gratis. Tyle bramek Włosi strzelili wtedy w Madrycie Niemcom. Wszystkie padły w drugiej połowie, strzelcami byli: Rossi, Tardelli i Altobelli. Paul Breitner strzelił jeszcze gola dla słabo grających Niemców, ale to Włosi zostali mistrzami świata, a dziesięć minut później usłyszałem klakson sprzedawcy lodów.

Byłem jego stałym klientem. W lecie czekałem codziennie na sygnał jego busiku, którym wolno jechał przez osiedle. Wtedy wskakiwałem na rower i pędziłem za dzwonkiem, aż doganiałem sprzedawcę i zmuszałem, by się zatrzymał. Zamawiałem bananowe i waniliowe, czasami jagodowe, żeby mieć później niebieski język, a on zachowywał się jak biznesmen, który obsługuje Rothshilda. Nasza konwersacja ograniczała się do niezbędnego minimum, dlatego nie mogę z całą pewnością powiedzieć, że był Włochem, może Cypryjczykiem z portugalskim paszportem albo Turkiem czy Chorwatem. Ponieważ jednak jeździł busem z wymalowaną włoską flagą, jest prawdopodobne, że rzeczywiście pochodził z Cortiny w Dolomitach, skąd wywodzą się też włoskie lody.

Drugi Włoch, z którym łączę więcej niż tylko luźne wspomnienie, był masażystą. Signor Pantoni miał mocno owłosione ręce i pachniał olejkiem cytrynowym. Skierowano mnie do niego, ponieważ odczuwałem sztywność w karku i ledwo mogłem odwracać głowę. Signor Pantoni objął moją czaszkę ręką, popatrzył mi w oczy i powiedział: „Zobaczymy,

jaka być blokada". Potem obracał moją głowę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara tak długo, aż przestało boleć. Mruczał przy tym jakieś piosenki, których melodię mocniej akcentował zawsze w tych miejscach, które szczególnie silnie u mnie naciskał.

Masował moje barki i plecy swoimi ogromnymi dłońmi, aż w pewnym momencie powiedziałem dla żartu: „Mógłby pan z powodzeniem wyrabiać ciasto na pizzę”. Signor Pantoni mruknął coś niezrozumiale i klasnął w dłonie: „Gotowe, następny tydzień pan przyjdź znowu, my robić ćwiczenia na głowa”.

Nic z tego jednak nie wyszło, ponieważ Pantoni zamknął tej nocy gabinet i zniknął bez śladu. Lekarz, który mnie do niego skierował, opowiedział mi, że nie miał on nawet pozwolenia na wykonywanie masażu, a już na pewno nie na praktykowanie terapii manualnych. Wieczorami zarabiał natomiast, wyrabiając ciasto na pizzę w jednej z pizzerii w Dusseldorfie. Nieco później przeczytałem o nim w gazecie, szukano poszkodowanych. Ja jednak nie czułem się w żadnym wypadku przez niego poszkodowany, co najwyżej z tego powodu, że uciekł. No więc się nie zgłosiłem.

Trzeci Włoch, z którym miałem do czynienia, był, dokładnie rzecz biorąc, pół - Włoszką. Poznałem ją któregoś dnia w piekarni, kiedy akurat nie miałem przy sobie dość pieniędzy na bułki, a ona poratowała mnie dwiema markami. Zachęcam każdego, kto chce poznać kobietę swojego życia, do nieposiadania przy sobie pieniędzy. Trzeba tylko zwracać uwagę na to, żeby nie było to przed wpół do dziewiątej rano, bo wtedy można tam spotkać tylko rzemieślników albo ekscentrycznych seniorów, a niekoniecznie o to by nam chodziło. Ową Włoszką, która poratowała mnie wtedy dwiema markami, była Sara, i gdybym wtedy przed zakupami poszedł do bankomatu, nie stałbym teraz przed drzwiami domu jej

ojca. W każdym razie usłyszałem wtedy siebie, jak wypowiadam owo idiotyczne, ale logiczne w tym kontekście zdanie: „Mogę oczywiście zamiast pieniędzy zwrócić pani bułki. Może przy okazji jakiegoś małego śniadania, jeżeli pani zechce”.

Większość kobiet, które spotkałem do tej pory, odpowiedziałyby tak: „Ależ nie, proszę potraktować te dwie marki jako prezent”. Sara zareagowała inaczej. Powiedziała: „No, nieźle, bez forsy, ale udaje kasiastego. To dopiero będzie niezłe śniadanie”. I tak dwa lata później stoimy przed ostatnim domem w zabudowie szeregowej należącym do jej rodziców, klasycznym, z czerwonej wypalanej cegły. Na prawo od drzwi wejściowych małe okienko WC, na lewo - duże okno kuchni.

Architektura domu w zabudowie szeregowej opiera się na pięciopokojowym układzie mieszkań. Podczas gdy jednak stojąc przed pięciopokojowym mieszkaniem, nigdy dokładnie nie wiemy, jaki jest rozkład wnętrza, tak w przypadku szeregówek można być tego absolutnie pewnym. Dom państwa Marcipane nie różni się niczym od pozostałych ośmiu milionów tego typu domów w Niemczech. Zazwyczaj w tego rodzaju przechowalni ludzi za drzwiami wejściowymi znajduje się tak zwana wycieraczka. Tu można zdjąć buty. Po prawej stronie mamy WC. Muszla klozetowa jest usytuowana pod oknem. Na lewo od wejścia znajduje się kuchnia, która zawsze ma drugie drzwi do salonu. W korytarzu na prawo są kręte schody biegnące w górę i w dół. Stopień mieszczańskości wytrawny gość tego typu domów określi po stylu poręczy i schodów. Mogą się one charakteryzować np. matową elegancją kutego żelaza, co znaczy, że mamy prawie zawsze do czynienia z wielbicielami muzyki ludowej. Natomiast swobodne użycie różnych gatunków drewna z dużą liczbą dziur po sękach każe przypuszczać, że mieszkańcami są pedagodzy. Po lewej stronie korytarza zawsze stolik z

telefonem i garderoba. Na wprost droga prowadzi do salonu, a drzwi do niego zawsze są przeszklone, gdyż w przeciwnym razie do korytarza wpadałoby za mało światła. Przeważnie są to szyby z rowkowanego szkła lub rustykalne witraże, które pasują do uchwytów w kształcie łabędzich szyj w drzwiach.

- Halo, dzwoniemy - mówi Sara i znowu mnie szturcha. Pod dzwonkiem wisi brązowa tabliczka, na której widnieje uformowane z pasków ciasta solnego nazwisko Marcipane. Poszczególne litery w ciągu słowa są coraz węższe i mniejsze, tak iż nazwisko da się odczytać tylko przy użyciu wyobraźni. Wygląda to tak, jakby stało się przed domem rodziny Marcipane.

- To nie tu, tu mieszkają Marcipane - mówię.

- Ten napis zrobiłam w szkole - odpowiedziała Sara i naciska przycisk dzwonka. Ding - dong.

Niemal w tej samej sekundzie drzwi się otwierają, a przede mną staje pani Marcipane. Rzeczywiście wygląda jak jej córka, co mi się od razu podoba. Najwyraźniej była już od jakiegoś czasu za drzwiami, ale nie chciała otwierać, żebyśmy nie myśleli, że nie może się doczekać, by nas zobaczyć. Kwiatki trzymam przed brzuchem niczym tarczę i mówię: „Dzień dobry, jesteście”.

Na to ona: „Cześć, aniołku”. Przeciska się po prostu obok mnie, ściska swoją córkę, po czym obie patrzą na mnie, a ona pyta: „To on?”

- On.

- No to wchodźcie.

Do całego witania się, podawania rąk, cieszenia się, że miło poznać, mama Marcipane zdaje się nie przywiązywać wielkiej wagi. Wchodzę do domu i jest dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałem. Jedyne, co przeszkadza w korytarzu, to to, że nie daje się go zaklasyfikować, bo nie przeważa właściwie żaden styl. Nad telefonem wisi oprawiony w ramki

wydruk przedstawiający port o zachodzie słońca. Pod spodem napis: „Neapol”. Bezpośrednio obok błyszczący drewniany talerz, na którym jakiś poeta wypalił lutownicą zdanie: „W niebie nie ma piwa, dlatego pijemy je tu”.

- Przechodź, przechodź - poganiam mnie matka Sary z tyłu, więc idę szybko przez korytarz w kierunku salonu, z którego pada światło, jakby tam kończył się tunel.

Otwieram drzwi i wchodzę do jasnego pomieszczenia z dużym przeszkleniem, obok którego znajduje się wejście do ogrodu. Po prawej stronie nieunikniona szafa ścienna, po lewej komplet do siedzenia. Wszystko to jest mi znane, na tyle jestem przygotowany.

Na sofie przed dużym oknem siedzi człowieczek, który podnosi na mnie wzrok, gdy wchodzę. Patrzą w kierunku światła, ale ledwie mogę rozpoznać kontury: człowieczek ma małą głowę, którą spuścił. Jednocześnie wydaje się mierzyć mnie wzrokiem niczym byk na krótko przed śmiertelnym atakiem na toreadora.

Podaję mu moje kwiatki.

- Dzień dobry - mówię pewnym głosem.

- Jesteśmy - uzupełniam, ponieważ mam wrażenie, że bierze mnie za kogoś innego, a już na pewno nie za narzeczonego jego córki. Gdzie ona właściwie jest? Sądzę, że nadszedł czas, by Sara przejęła konwersację. Odwracam się, ale nikogo za mną nie ma. Najwyraźniej razem z matką skrzyła wcześniej do kuchni i pewnie się tam zagadała. W każdym razie stoję sam z moimi kwiatkami przed don Marcipane, a ten nie raczy nawet wstać lub choćby czegoś powiedzieć. Chrup. Otwiera pistacje paznokciami i spogląda na mnie, o ile mogę to dostrzec w świetle padającym z przeciwnej strony. Bukiet jest mokry i woda spływa mi za mankiet. Chrup.

- Witam, pan musi być zapewne ojcem Sary. - Chrup, chrup. I to okropne zdanie: „Wiele o panu słyszałem”.

Chrup.

- Aha, słyszeł pan. A co pan słyszeł?

- No, że jest pan bardzo miły. Chrup.

Nie widzę, czy się uśmiecha. Do cholery, gdzie jest Sara?!

- Tak, w każdym razie chcieliśmy pana odwiedzić.

- Po co?

Uparł się mnie męczyć. Zdaje się, że to jego typ poczucia humoru. Odwracam głowę i patrzę bezradnie za siebie. Słyszę w kuchni śmiech kobiet. Sara! Przez otwarte drzwi tarasu wbiega zwierzątko, wskakuje na brzuch mężczyzny, który teraz się prostuje i głaska kota.

- Ty mój mały kochany oszuście. Gdzie się ukryłeś? Ciągłe czeka na odpowiedź na swoje głupie pytanie

„po co?” Zastanawiam się: pójść do kuchni? Zostać? Mówić dalej?

- Na autostradzie był duży ruch, ale mimo to droga zajęła nam tylko pięć godzin. To dobry wynik jak na piątek - ciągnę dalej.

- Chcesz orzecha?

Ma na myśli kota. Chrup.

Chrup.

Powoli mam tego dość. Dlaczego mam stać tu jak idiota, podczas gdy ten facet karmi swojego kota pistacjami? Dlaczego nikt mi nie pomoże? Co ja tu właściwie robię? I czy jest coś do jedzenia? Jestem głodny. Liczę do pięciu, szeleszczę ostentacyjnie papierem od kwiatków, także po to, by zagłuszyć moje burczenie w brzuchu. Jeżeli dojdę do dziesięciu i nic się nie wydarzy, to wtedy - no tak, co wtedy? Przy ośmiu wchodzi Sara ze swoją matką.

- Co ty tu tak stoisz?

- Rozmawiamy sobie - mówię.

- Cześć, tato! - woła i rzuca się na mężczyznę z kotem. Obejmują się, a on odzywa się do niej po neapolitańsku.

- Czyli to jesteś twój chłopak - stwierdza na koniec i kiwa głową w moją stronę.

- Tak, to on.

- On stawał tu cały czas, nie siada, nie bierze orzech, jest skromna charakter.

Wstaje i podchodzi do mnie. Pan Marcipane jest prawie o głowę niższy ode mnie. Chociaż jest nieco przy tuszy, wydaje mi się żwawy, gdy tak zmierza do mnie na swoich krótkich nóżkach.

- Marcipane - mówi poważnie i skłania przy tym głowę. Następnie podaje mi rękę. Muszę przełożyć bukiet do lewej dłoni, a jemu podać prawą, mokrą, na co ten zupełnie nie zwraca uwagi. Ma mocny uścisk, na który odpowiadam takim samym, jednak w tej próbie sił to on wygrywa, ponieważ jego dłonie są znacznie większe niż moje. Mam wrażenie, że obejmuje moje palce jak hot dog.

- Przyniosłem kwiaty - mówię niezdarnie i trzymam bukiet przed jego nosem.

- Dla mnie? - pyta, a w głosie słychać lekkie rozczarowanie.

- One są dla was obojga, na dobry początek naszej znajomości.

Wreszcie pani Marcipane bierze ode mnie te głupie kwiaty.

- Są całkiem ciepłe - mówi nietaktownie i znika z wiechciem w kuchni.

- Usiądź - odzywa się Sara - u nas można po prostu usiąść, jak się chce. Moi rodzice nie przywiązują wagi do konwenansów.

Zauważyłem. Zastanawiam się, co się wydarzy dalej. Albo nie wydarzy. Zwykle podaje się kawę w takich sytuacjach. I ciasto.

- Co robi moje piękne dziecko u swoje stare rodzice? - chce się teraz dowiedzieć pan Marcipane.

- Zaraz ci powiem, jak tylko mama wróci. Jest szczególna okazja.

- Ach tak, szczególna. Uursuuulaaa, wracaj tu. Jak podoba ci się nowa sofa? Sam wyszukałem z twoja matka. Elegancka, prawda?

- No tak - powiedziała. Dzieciom wolno tak mówić. Narzeczonym już nie.

- Mnie się podoba - wyrwało mi się.

- Widzisz, dziecko, on podoba się. Chłopak ma gusta.

Podczas gdy Sara rzuca mi zabójcze spojrzenia, wraca Ursula z kwiatami w wazonie i stawia go na stoliku przy sofie.

- Na pewno jesteście głodni po tak długiej podróży. Wreszcie. Oczywiście, że jestem głodny, umieram z głodu. Automatycznie odpowiedziałem: „Nie, nie, nie jest tak źle”.

- Dziwne, jeszcze w samochodzie mówiłeś, że masz nadzieję, że będzie coś do jedzenia - mówi Sara. Jej zemsta za sofę. Ostatecznie wyszedłem na idiotę. Trudno, przynajmniej nie trzymam już kwiatków. Wycieram rękę o spodnie i wpatruję się w czekoladki, które stoją przed nami na stoliku w fajansowej miseczce w kwiaty.

- Ale teraz już nie jestem głodny - odpowiadam kapryśnie.

- No, już daj spokój, chłopak. Moja córka zawsze taka dzik z chłopakami, prawdziwa Marcipane.

Powoli musimy przechodzić do rzeczy. Chcę to doprowadzić do końca, bo zazwyczaj po ogłoszeniu zaręczyn otwiera się jakąś butelkę. Albo nawet coś je. Gdy ktoś mnie

później zapyta, dlaczego się ożeniłem, będę zawsze opowiadał: „Bo byłem tak strasznie głodny”.

- Tato, nie przyjechaliśmy tu bez powodu.

- Tak? Potrzebujesz pieniędzy?

To pytanie w żadnym wypadku nie jest cyniczne, tylko typowe, jak się później dowiem. W większości niemieckich rodzin takie pytanie byłoby bardzo źle odebrane, ale nie w większości włoskich, gdzie rodzice bardzo długo opiekują się swoimi dziećmi. Te rzeczywiście zawsze potrzebują pieniędzy i dlatego długo nie przynoszą kwiatów.

- Nie, chcemy wam coś powiedzieć.

Czuję się teraz w obowiązku zabrać głos, w końcu Sara nie powinna starać się o swoją własną rękę, więc przerywam jej.

- Tak, drogi panie Marcipane. Chciałbym się ożenić z pana córką. A więc, chcemy się pobrać i dlatego tutaj jesteśmy. Chciałbym - już tak formalnie - prosić o rękę pańskiej córki.

Milczenie.

Ojciec Sary nie patrzy na mnie, tylko w kierunku Sary. Teraz jego ruch, uznaję. W międzyczasie chmura zdążyła zasłonić słońce i mogę się wreszcie dobrze przyjrzeć mojemu przyszłemu teściowi. Ma małą kanciastą głowę z ciemnoblonde włosami, na jej środku znajduje się pulchny nos. Jasnoniebieskie oczy błyszczą jak dwie małe latarki i poruszają się jak błędne ogniki między nami. Ma wyjątkowo dużo zębów, wydaje mi się niemal, że dwa razy tyle co normalni ludzie. Niektóre z nich połyskują złotem. Flanelowa koszula w kratkę, a pod nią podkoszulek, z którego wystaje dżungla siwych włosów na klatce piersiowej.

Trudno powiedzieć, co teraz nastąpi. Myślę: albo przygotowuje już w myślach amputację mojego palca, albo

zaraz zacznie płakać. Przęłyka i wydaje odgłos podobny do pisku. Jego głos brzmi teraz ochryple.

- Ty chcesz wyjść za męża?

- Tak, tato.

- Za tego tu?

- Tak, tego tu. I żadnego innego.

Jego głos przechodzi teraz w jęk. Włącza coś w rodzaju wibrato i gestykułuje, jakby wznosił akt strzelisty.

- Ale jesteś jeszcze taka młoda, o dużo za młoda.

- Daj spokój, mam dwadzieścia sześć lat.

- Czy to znaczy, że nie przyjechasz już więcej do nas, do domu?

- Tato, od pięciu lat już tu nie mieszkam. Nie rób, proszę, scen.

- Ursula, dziecko chce nasz opuścić.

- Uważam, że jak oboje tego chcą, powinni się pobrać. To przecież miły chłopak.

Właściwie ciekawe, skąd ona to wie, przecież jeszcze ze mną nie rozmawiała. Jednak wydaje się tak mało zaskoczona, że staje się dla mnie jasne, że wiedziała. Sara już dawno musiała jej powiedzieć.

Pan Marcipane zwraca się do mnie: „Niech pan przysięga, że będzie zawsze dbać moja owieczka”.

Wiem, że Sara nienawidzi, gdy jej rodzice nazywają ją owieczką.

- Oczywiście.

- Przysięga!

- Przysięgam - mówię i podnoszę rękę jak Indianie. Ostatnią przysięgę w tej formie złożyłem dwadzieścia lat temu na placu zabaw i zjadłem do tego robaka. Zresztą teraz też bym to zrobił. Całe to przysięganie pan Marcipane bierze bardzo poważnie. Odtąd wszystko zaczyna toczyć się bardzo szybko.

- Dobrze, to może jej pan mieć. Tylko od teraz ja nazywam Antonio i od dziś ty nazywasz mój drogi syn.

Po czym wyskakuje z fotela i śpieszy w moim kierunku. Wstaję, a Antonio Marcipane, który jeszcze przed dziesięcioma minutami traktował mnie, jakbym przybył z centrali poboru podatków, obejmuje mnie całym ciałem; jego ręce ściskają moje plecy, klepie mnie i wydaje przy tym radosne okrzyki. Ulżyło mi.

- Moja syn, mam syn! Widzisz, masz nowy ojciec. To trzeba świętować. Ursula, mamy spumante?

- U nas nigdy nie ma szampana. Mamy kawę, wodę mineralną, piwo i mleko - wylicza. - No i mogę wycisnąć sok z pomarańczy.

- Ale mamy świetne wino - szepcze Antonio tonem spiskowca.

- Toni, to wino to tabu.

Zakazane wino należy do zięcia numer jeden. Starsza siostra Sary, Lorella, właśnie wyszła za mąż, za inżyniera, którego nigdy nie ma w domu. Oboje mieszkają teraz w Azji, dlatego Jurgen powierzył Antoniowi swoją winną piwniczkę na przechowanie. Wyraźnie na przechowanie, nie do wypicia.

- Co znaczy: tabu? Jurgen powiedział, że to wino na szczególna okazja i że nie pije go często. Dziś jest wyjątkowy dzień. Urodził się mój nowy syn.

- Nowy syn - przedrzeźnia go Ursula. - Ale nie z tych najdroższych.

Antonio znika w piwnicy, skąd słychać, jak przekłada butelki i śpiewa.

- Widzisz, dobrze poszło, mówiłam ci. Mój ojciec jest naprawdę kochany - szepcze mi Sara, a Ursula mnie całuje, nawet trochę płacze i mówi cicho: „Serdecznie witamy”. Brzmi to raczej żałośnie niż radośnie, jakby witała mnie jako współwięźnia w wilgotnej celi na komendzie policji w stolicy

jakiegoś państwa w Andach. Ściskam ją i się cieszę. Po chwili obejmuje mnie moja przyszła żona. Nic nie mówi, ale wyczuwam jej ulgę. W jej życiu byli mężczyźni, którzy tylko raz przekroczyli próg tego domu. I na pewno nie była to wina Sary.

Następnie wchodzi wino. Rzeczywiście jest bardzo dobre, co Antonio tłumaczy tym, że osobiście wybrał je w piwnicy.

- Dlaczego chcesz moja córka? - pyta mnie po drugim kieliszku i przypatruje mi się swoimi iskrzącymi oczami.

- A jaką inną? - odpowiadam. Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, ponieważ ciągle jeszcze jestem oszołomiony nagłą zmianą nastroju mojego teścia. Poza tym czuję, że barolo Jurgena idzie mi do głowy. Nic dziwnego: barolo na pusty żołądek o wpół do trzeciej.

- Wiesz, Sara jest trochę delikatna, wrażliwa osoba, mógłbym prawie powiedzieć, że jest miła, ale trudna w obchodzeniu.

Do czego on zmierza?

- Jej siostra jest inna, bardziej elegancka, miłsza też. Dlaczego nie chcesz żenić z Lorellą?

- Tato! - wykrzykuje oburzona Sara.

- Ale tak jest, prawda mama?

Mama śmieje się i patrzy na mnie. Co na to odpowiedzieć?

- Tak, Lorella już, niestety, została wydana, dlatego z konieczności zdecydowałem się na Sarę.

Na te słowa Antonio wybucha śmiechem podobnym do lokomotywy parowej i nie jest w stanie się uspokoić.

- To dooobre. Jesteś dowcipny. Zrobiłeś żart. Wspaniale. Mama, słyszałaś?

Stukamy się kieliszkami z winem Jurgena i pijemy. Minutę później jestem pijany.

Reszta dnia upływa pod znakiem wprowadzenia do rodziny. Trzeba obdzwonić krewnych we Włoszech. Wszyscy

powinni usłyszeć tę radosną wiadomość. Potem oglądamy albumy ze zdjęciami. Antonio jako dziecko, Sara jako dziecko, urlop na plaży, chrzest, wesela, nowe auta.

Następnie wychodzimy coś zjeść, ponieważ nie tylko Włosi w ojczyźnie, lecz także wszyscy miejscowi znajomi mają się dowiedzieć, jaki szczęśliwy jest Antonio. Jaki dumny. Mój stopień upojenia powoduje, że bezwolnie godzę się na wszystkie powitania i prezentacje połączone z licznymi kolejkami grappy i gorzkich likierów.

Kiedy wracamy wreszcie do domu rodziców Sary, chcę już tylko spać. Wcześniej jednak Antonio otwiera wyśmienite Vin Santo z kolekcji Jurgena. Gospodarz sam je wybrał.

W końcu leżymy w pokoju dziecięcym Sary na poddaszu - niewielkim pomieszczeniu wyłożonym boazerią. Łóżko jest wąskie na szerokość mnie, ale co zrobić. Jestem tak szczęśliwy, jak można być tylko na rauszu. Przejechałem dziś sześćset kilometrów samochodem, wypilem morze alkoholu, poprosiłem o rękę pół - Włoszki, dowiedziałem się wszystkiego o oliwkach i serze Pecorino oraz poznałem Antonia. I mam wszystkie palce u rąk.

- No i? Co o nich myślisz? - chce wiedzieć Sara.

- Mili. Twój ojciec jest zawsze taki?

- Przecież ci opowiadałam. W każdym razie lubi cię, to jest najważniejsze.

- Po czym to poznajesz?

- Jest naprawdę szczęśliwy.

W tym momencie drzwi się otwierają. Wchodzi Toni w piżamie.

- Chciałem tylko powiedzieć buona notte - podnosi kciuk i mruga do mnie. - Jestem taki szczęśliwy, że mam nowy syn.

Nie czekając na odpowiedź, zamyka drzwi.

- No widzisz, naprawdę tak myśli.

- To pięknie. Pójdzie teraz do łóżka?

- Trudno powiedzieć. Czasami w ogóle się nie kładzie i całą noc chodzi po domu.

- Dlaczego?

- Jest podekscytowany, a wtedy nie może spać. Jesteś zmęczony?

Ach, jestem zmęczony, taki zmęczony, głowa mi opada na jej piersi, a oczy są ciężkie i miękko się zamykają. Sara drapie mnie pieszczotliwie z tyłu głowy. To miłe.

Drzwi się otwierają. Toni.

- Czy macie włączone ogrzewanie?

- Och, tato!

- Chciałem tylko kontrolować, czy wszystko jest w porządku dla snu nocny. Trzeba uważać do spania.

Podchodzi do ogrzewania i kręci gałką. Otwiera okno, bo „combinazione ciepła temperatura i świeże powietrze to najlepsze z najlepszych dla zdrowy sen”. Grazie. Prego.

Następnie zasypiam, ale nic mi się nie śni. Nie jestem w stanie stwierdzić z całą pewnością, ile razy Antonio u nas jeszcze był. Sara twierdzi, że tylko cztery.

Następnego ranka moja głowa nie mieści się w drzwiach. Bokiem idę do łazienki. Przeraza mnie mój oddech, przypominający zapach bajorka z żabami.

Łazienka państwa Marcipane wygląda jak przyczepa Siegfrieda i Roya (Siegfried i Roy - amerykański duet iluzjonistów niemieckiego pochodzenia, którzy do 2003 roku występowali w Las Vegas. Ich niezwykle pokazy słynęły z tego, że brały w nich udział wielkie koty, szczególnie białe tygrysy i lwy (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).). Gdziekolwiek spojrzeć - łososiowe kafelki i złote armatury. Po obu bokach lustro w złotych ramach wiszą dwa brokatowe i niepełniące poza tym żadnej funkcji pomponiki. Umywalki - są dwie - w kształcie muszel. Pachnie wodą kolońską Agua Brava.

Staram się doprowadzić do formy, co mi się nawet udaje. Dziś do pokonania jeszcze jedna przeszkoda. Musimy mianowicie pojechać jeszcze do moich rodziców. Wiedzą wprawdzie o naszych planach weselnych, ponieważ już im o nich opowiadaliśmy podczas ich zeszłotygodniowej wizyty u nas, ale oczywiście przed ślubem rodzice muszą się poznać. To ma być niezobowiązujący obiad. Mój dom rodzinny nie słynie co prawda z niezobowiązujących obiadów, jednak matka jest wspaniałą kucharką, a piwnica win mojego ojca kryje butelki, które z powodzeniem mogą stawać w szranki ze skarbami Jurgena.

Przy tej myśli robi mi się nagle strasznie niedobrze. Podnoszę klapę muszli przykrytą kremowym flokati, ale zapach różowych kostek toaletowych dezynfekuje mnie w sekundzie. Jasne, nie będę się przecież kompromitował i już w pierwszym dniu mojej przynależności do tej rodziny obrzygiwał toalety teściów.

Antonio jest nad wyraz pogodny. Biega w pantoflach po domu i dekoruje stół śniadaniowy wszelką możliwą tandetą, którą przynosi z szuflady w kredensie ściennym. Przy moim miejscu leżą dwie gazety, które dziś rano własnoręcznie dla mnie kupił, o czym informuje mnie na powitanie. W jego wyobrażeniu o mnie dekoracja stołu do śniadania i przeczytanie przynajmniej dwóch gazet po wstaniu należy do ogólnie przyjętego zwyczaju.

Śniadanie jest zresztą raczej mało włoskie, to znaczy chcę powiedzieć obfite. W końcu Antonio mieszka już ponad trzydzieści lat w Niemczech i umie docenić bułkę z serem rano. Poza tym ożenił się z Niemką. Nie ma zbyt wielu obszarów w życiu ich obojga, w których to ona wyraźnie ustala reguły. Przynajmniej w przypadku śniadania wydaje się tak być. Jest też espresso, które się przyjęło. Owo zawężenie przyzwyczajień życiowych to jak obraz z Neapolem i

drewniany talerz w korytarzu, czyli próba pokonania różnic mentalnościowych poprzez wspólnie popełniane zbrodnie na dobrym smaku. Myślę, że taka jest Europa.

- Macie ochotę trochę pospacerować? - pyta Sara. - Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- O, idziemy na spacer! - woła Antonio ucieszony.

- Pokażę ci piękności tego miejsca i atrakcje tej cudna okolica.

No więc idziemy na spacer, to znaczy, bardziej stoimy, niż idziemy. Antonio stale się zatrzymuje, żeby coś opowiedzieć, ponieważ wtedy może mi patrzeć w oczy. Rozmawiamy jak prawdziwi mężczyźni. Właściwie Antonio rozmawia. Mówi do mnie. To mi jednak nie przeszkadza, mogę raz pomilczeć, szczególnie dzisiaj.

Główne atrakcje sąsiedztwa to: podwórko przed garażem, garaż, zaparkowany tam mercedes, plac zabaw dla dzieci, piekarnia, sklep z napojami i punkt lotto.

Tam Antonio ciągnie mnie z całą mocą, ponieważ loteria to dla niego coś najważniejszego. Obstawia zawsze te same liczby, czyli swoją datę urodzin oraz urodziny swoich dzieci. To z konieczności sprawia, że żadna liczba nie jest większa niż jedenaście, ponieważ jego córki mają urodziny 6 lipca i 10 stycznia, on sam zaś 2 listopada, tak więc stale skreśla 1, 2, 6, 7, 10 i 11.

- Kiedy masz urodziny? - pyta mnie.

- 28 października - odpowiadam, a w miejsce 11 Antonio skreśla 28.

- Jak wygram milion, dostawasz połowa - zapewnia mnie i nie ulega wątpliwości, że tak by zrobił. Słowo mówione zobowiązuje. - Nie jestem skupiradło, drogi chłopak. Jak mam, daję i nie ma dla mnie problem.

Czekam na zwyczajowe rozmowy z zięciem, jakoś nawet się na nie cieszyłem. To miło zostać upomnianym i być

zmuszonym odpowiedzieć na pytania, które stawia sobie zatroskany ojciec. Czy jesteś w stanie wyżywić córkę? I czy chcesz mieć dzieci, sól ziemi? I czym zajmuje się ojciec zawodowo? I czy masz maturę? I co zamierzasz dalej? Ale czekam na próżno. Stwierdzam, że to Antonio zdecydował się na mnie, a nie ja na jego córkę. Mógłbym być równie dobrze altystą w uzbekistańskiej orkiestrze kameralnej albo hamulcowym huśtawki łódkowej podczas odpustowych jarmarków, albo ministrem spraw zagranicznych Austrii.

Jakby odgadując moje myśli, zatrzymuje się nagle i mówi poważnie: „Najważniejsze, że nie jesteś carabinieri”.

- Kim?

- Carabinieri. Wiejski policjant. Ale ty nie jesteś głupia sałata.

Później pytam Sarę, co to jest „głupia sałata”. Chodzi tu o wyrażenie, które Antonio sam osobiście wymyślił i które z dumą ciągle stosuje. „Głupia sałata” to główka sałaty świeżo przyniesiona z działki. Taka sałata bez octu i oliwy w oczach Antonia jest nudna, ponieważ nie ma smaku, jest mdła, czyli głupia. „Głupia sałata” to najprawdopodobniej najmocniejsze z określeń w słowniku Antonia. Czasami mówi też baccala, czyli dorsz, i znaczy to mniej więcej to samo, co „głupia sałata”. Sara twierdzi, że powinienem być dumny, że nią nie jestem. Ona przez wiele lat była.

Następnie jedziemy do moich rodziców. Wielka chwila, dla której Antonio - znając jej powagę - zaczął się odpowiednio stroić. Włosi z natury umieją się dobrze ubrać, szczególnie mężczyźni. Nawet połataną brudną wiatrówkę potrafią nosić jak smoking. W swoich ubraniach poruszają się jak gwiazdy na czerwonym dywanie. Toni ma na sobie zestaw składający się z brązowych spodni sztruksowych, białej koszuli i zielonej marynarki. Jest świeżo ogolony i w pełnym

uśmiechu pokazuje swoje złote zęby. Pachnie jak Al Pacino, Marlon Brando i Lino Ventura. Jednocześnie.

- Jak wyglądam? Dobrze?

Pani Marcipane, która ma na sobie ładną letnią sukienkę i jest bez makijażu, wygląda na trochę zdenerwowaną, w końcu zna swojego Toniego już dłuższy czas. Stanowi on nieprzewidywalne ryzyko w kontakcie z obcymi. Jego występy albo oznaczają szczęśliwy czas rozrywki, albo prowadzą do zmieszania publiczności. Zależy to właśnie od owej publiczności, nigdy od Toniego. On zawsze jest tylko w pełni sobą.

Mój dom rodzinny znajduje się o dobrą godzinę drogi samochodem od państwa Marcipane. Dzisiaj uczę się, jakie znaczenie w rodzinie mojej przyszłej żony mają obliczenia czasowe. Mianowicie żadne. Jeżeli mówi się, że coś trwa godzinę, to w kalkulacji Antonia trwa nie tak długo jak kolacja, ale więcej niż partyjka bocci. Czasoprzestrzeni nie mierzy według zegarka, lecz czynności. Tak długo jak zakupy. Tyle co spacer. Tyle co drzemka.

Dlatego długość godziny jazdy samochodem jest stosunkowo elastyczna i nie ma dla niego żadnego znaczenia. Dla mojej matki i owszem, bo gotowała. Siedząc w samochodzie Antonia, wyobrażam sobie, jak moja matka krząta się w kuchni, a mój ojciec otwiera wino i zostawia je, żeby pooddychało, co zresztą jest zupełnie pozbawionym sensu nawykiem przede wszystkim niemieckich znawców wina, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że wino nie może oddychać na powierzchni trzech centymetrów kwadratowych. Mam nadzieję, że nie przyrzadzi nic włoskiego, mogłoby to sprawiać wrażenie nachalnego wkupywania się. Albo nie: mam nadzieję, że zrobi coś włoskiego, wszystko inne sprawi wrażenie kultury imperialistycznej albo może doprowadzić do tego, że Toni nic

nie zje. Włosi nie przepadają za kuchnią niemiecką. Mam nadzieję, że w żadnym wypadku nie będzie nic francuskiego, z winem Bordeaux, bo to jest dla Włocha obraza.

Prawdopodobnie jednak nie będzie nic, bo przypuszczalnie nigdy nie zdołamy dotrzeć do moich rodziców. Twierdzenie, że jazda pana Marcipane jest raczej defensywna, jest zdecydowaną przesadą. Jego samochód nie jedzie, co najwyżej się toczy, a na autostradzie z powodzeniem wyprzedzają go nawet holenderskie przyczepy kempingowe. Podczas jego „gondolowania” przez okolicę można śmiało wysiąść i zerwać kilka kwiatków. Jego żona przez lata zdążyła się już, jak widać, przyzwyczaić, a nawet zdaje się rozkoszować tym tempem.

Dawniej państwo Marcipane każdego lata wyjeżdżali z Krefeld na południe Włoch. Gdyby Antonio całą drogę siedział za kierownicą, urlop skończyłby się zaraz po dotarciu na miejsce. Dlatego zawsze prowadzi Ursula. Ona naprawdę jest cierpliwą osobą, która niezadowolenie z męża wyraża, wznosząc tylko oczy do nieba. Czasami kręci też głową i wzdycha. Najczęściej jest dla niego bardzo miła. Myślę, że ma coś w rodzaju noktowizora w głowie. Dzięki temu wszystko, co Antonio jej opowiada od rana do wieczora, automatycznie filtruje i sortuje.

Powtarzające się fragmenty od razu wylatują, nowe zdania są przekazywane dalej w głąb mózgu i konstruktywnie przetwarzane. Tylko tak da się wytłumaczyć jej luz i opanowanie.

Podczas jazdy Antonio robi mi wykład na temat europejskiego futbolu. Są bowiem tylko dwa miejsca, gdzie grają porządnie, jeśli nie w „absolutnej klasie światowej”. Pierwsze z nich to całe Włochy. A drugie to Krefeld, ponieważ tu gra jego ulubiona drużyna, Bayer Uerdingen. Patrioci są zawsze także lokalnymi patriotami, co w

przypadku Antonia oznacza osobliwą mieszankę. Z zachwytem opowiada o jedynym meczu, którym Bayer Uerdingen zapisał się w historii futbolu, mianowicie ćwierćfinale Pucharu Zdobywców Pucharów w 1986 roku. Po porażce w pierwszym meczu z Dynamem Drezno 0:2 i w pierwszej połowie drugiego, gdzie po stracie do przerwy było 1:3, sytuacja dla Bayeru nie wyglądała dobrze. Jednak walcząca z determinacją drużyna odwróciła w drugiej połowie losy meczu i ostatecznie wygrała 7:3, co oznaczało wejście do półfinałów. Tam wprawdzie pokonał ją Atletico Madryt, ale na koniec sezonu uplasowała się na trzecim miejscu w Bundeslidze. Antonio potrafi dokładnie opisać każde zagranie w meczu przeciwko Dynamo Drezno, co też namiętnie robi, bardziej namiętnie, niż prowadzi auto.

Po ponad dwóch godzinach skręcamy w ulicę prowadzącą do domu moich rodziców. Przypuszczam', że matka, zła jak osa albo bliska łez, wpatruje się w coś przypalonego, ale się mylę. Zrobiła vitello tonnato., to jest cielęcinę w zaprawie z tuńczyka z kaparami, to nie może wystygnać, bo już jest zimne. Mądra mama.

Po powitaniu, podczas którego wszystkich ze sobą nawzajem poznałem, Antonio wyczarowuje plastikową torebkę i wyjmuje z niej butelkę wina z zasobów Jurgena. Uroczyście wręcza ją mojemu ojcu, który ocenia włoski dar narodowy spojrzeniem znawcy, a następnie woła „Oho ho!”

Zajmujemy miejsca na tarasie, wszystko idzie dobrze. Antonio jest szarmanckim rozmówcą i filozofem. Ostatni wielki włoski filozof, któremu niestety przyszło żyć na zaprzyjaźnionej obczyźnie.

Po przystawce podejmuje swój ulubiony temat, przed którym ostrzegła mnie Sara: Machiavelli. Jego żona wznosi oczy do nieba, Sara spuszcza wzrok, a moi rodzice słuchają z tak zwanym wymuszonym zainteresowaniem. Nie znając

szczegółowo myśli filozoficznej Machiavellego, nie omieszkuje wprowadzić moich rodziców w tajniki jego dzieła. Moi rodzice wtrącają: „O, naprawdę?” albo „To ciekawe, tak”, aż Antonio dochodzi wreszcie do sedna aktywności Machiavellego: uwiedzenia kobiety i długoletniej przyjaźni z Zygmuntem Freudem.

- Oni wszystko dzielili: mieszkanie, kobiety, byli najdobrzy przyjaciele, oni oba, wiedzie państwo?

- To nie może być prawda - wtrącam. - Freud żył na przełomie XIX i XX wieku, a Machiavelli przed czterystoma laty. Nie mogli się znać.

Na to on: „Może tak być”. Krótka pauza. I dalej: „Ale ten Freud wszystko odpisał od Machiavelli”.

Nieco później chwali swojego mercedesa, cudowne dzieło „niemieckiej sztuki inżynierów, które naprawdę mają wymysł”. Jego samochód ma bowiem „klimatyzator i wszystko, i robiłem nim już 400 tysięcy kilometrów bez żadnej szkody”.

Tym razem wykrzykuje jego żona: „Toni, przejechałeś 120 tysięcy kilometrów”.

Na to on, nie zwlekając ani sekundy: „No i? 400 tysięcy to włoska liczba”.

Potem rozmowa schodzi na wesele. Tak, zapłaci za uroczystość, wykrzykuje Antonio w przypiływie uczuć, które tego dnia całkowicie nim zawładnęły, i za to chce wznieść toast, nawet jeżeli żałuje, że nie ma syna i że w związku z tym nigdy nie zostanie zaproszony na wesele, za które nie będzie musiał zapłacić. Na to mój ojciec proponuje, że weźmie na siebie połowę kosztów. Och, nie! Na to nie może się zgodzić, to by było wbrew jego honorowi. Ale gdy tak się nad tym zastanowi, to i tak będzie to tylko wyrównanie, bo mój ojciec ma trzech synów. Tylko z uwagi na sprawiedliwość i bez doszukiwania się w tym jakiegokolwiek korzyści przyjmuje w

końcu ofertę, ale tylko pod warunkiem, że nikt więcej się o tym nie dowie.

- Oczywiście, że nie.

- Przysięgaj!

Piękny letni dzień dobiega końca. Jutro rano Sara i ja, zaręczeni, pojedziemy do domu. Za cztery miesiące będziemy małżeństwem.

Na pożegnanie mój ojciec mówi: „Zabawny gość ten twój teść. Ale na winie naprawdę się zna”.

Rozdział drugi

Nasze wesele jest jak marzenie. Antonio sprawił sobie na tę okazję garnitur składający się z czarnych spodni, czarnej marynarki i liliowej kamizelki poprzetykanej złotymi nitkami. Do tego założył muszkę. Wygląda trochę jak kierownik sali kasyna w Las Vegas i tak też się zachowuje. Przez cały dzień ma cygaro w ustach, chociaż nigdy nie palił, i wyczerpująco przedstawia się wszystkim gościom: „Marcipane, jestem ojciec ta piękna panna moda tutaj. Czy mogę pytać, kim pan/pani jest? Aha, muszę to wiedzieć, płacę rachunek. No tak, wszystko dla moja owieczka”.

Podczas posiłku zapoznaje towarzystwo weselne z pewnym zwyczajem, o którym twierdzi, że ma miejsce od stuleci na każdym weselu. Mam co do tego wątpliwości, ale kto zadzierałby z ojcem panny młodej? Wygłasza przy stole krótkie przemówienie, które poza jego żoną i córką rozumiem tylko ja, a i to fragmentarycznie. Na koniec opisuje ów zwyczaj: „Gdy ktoś dzwoni nożem w kieliszek, wszyscy razem muszą dzwonić, a para młoda musi wstawać i całować się. Do tego woła się: »Cent'anni«, co znaczy, żeby połączenie, które szczęśliwi nas wszystkich dziś, trwa sto lat”.

Następnie stuka swoim nożem o kieliszek, wszyscy się przyłączają, my wstajemy i całujemy się, na co on woła: „Cent'anni”. Siadamy.

Trzy minuty później - mam właśnie pstrąga w ustach - stuka znowu. Wszystko jeszcze raz. Po tym, jak w ciągu półgodziny sześć razy urządził Cent'anni, Sara prosi go, żeby trochę zwolnił tempo. Antonio obiecuje, że zastuka najwyżej trzy razy w ciągu godziny. Tyle mogę wytrzymać. W końcu ślub ma się przeważnie tylko raz w życiu. Noc spędzimy jednak najprawdopodobniej w tym samym hotelu co Antonio. Ogólnie nie przeszkadza mi, że Antonio o czwartej nad ranem

sprawdza, czy otworzyliśmy okna, ale w czasie nocy poślubnej wolałbym tego uniknąć.

Niestety, krewni Sary z południa Włoch nie mogą być obecni. Za daleko, za drogo, za zimno. Sara jest oczywiście rozczarowana. Szkoda, myślę i następnego dnia otwieram prezent od rodziny, do którego dołączony jest różowy list podpisany przez blisko dwadzieścia osób. Większość ma na imię Antonio i Maria. Pod wielką ilością wełny drzewnej i bibuły leży monstrualny porcelanowy łabędź z dziurą na cukierki na grzbiecie.

- Typowy włoski prezent! - cieszy się moja żona. Ludzi, którzy dają takie rzeczy w prezencie, po prostu trzeba poznać.

Okazja ku temu nadarza się już w czerwcu. W maju Antonio dzwoni i zaprasza nas do swojego letniego domu nad morzem. Przy tym nie chodzi dokładnie o jego letni dom, tylko jego kolegi z pracy, z zakładu produkcji stali. Dokładnie rzecz ujmując, nie jest to też letni, lecz rodzinny dom, który w okresie wakacyjnym jest wynajmowany. Antonio dostał go tanio w zamian za drobną przysługę. Owe przysługi też już znam, bo Antonio nieraz mi je oferował.

Kiedyś zagadnął mnie półgłosem: „Potrzebujesz nowy rower?”

- Nie, po co?

- Nie musi płacić, ubezpieczenie to zapłaci.

- Dlaczego towarzystwo ubezpieczeniowe miałyby mi kupować rower?

- Bo twój, niestety, znik.

Następnie wyjaśnił mi, jak znika rower. Toni jest kierownikiem zmiany w zakładzie produkcji stali. Kiedy się tak samemu stoi w nocy przy wielkim piecu, może się łatwo zdarzyć, że coś - hopla - w nim zniknie. Taki rower na przykład. Po skończonej zmianie trzeba tylko stwierdzić, że

roweru nie ma, co jest faktem. Potem idzie się na policję i za zero przecinek zero ma się nowy rower.

- To jest oszustwo - powiedziałem i dodałem, że mogę sam sobie kupić rower, jeśli zechcę. Wolałbym nie wiedzieć, co wylądowało w wielkim piecu, ale opłata za ten dom jest na tyle niska, że musiała to być raczej wielka przysługa.

Ponieważ zgodziliśmy się spędzić urlop z Tonim i Ursulą, kilka tygodni później wyruszamy w drogę, kierunek: południe Włoch, najpierw do rodzinnej miejscowości Antonia, Campobasso. Muszę zostać przedstawiony rodzinie. W tym czasie przestałem się już bać amputacji, zjedzenia mnie lub uprowadzenia. Od czasu wesela wielokrotnie rozmawiałem przez telefon z różnymi członkami rodziny. Nie, to przesadnie powiedziane. Podchodziłem do telefonu, słyszałem jakiś chrobot, po nim jakieś niezrozumiałe słowa, które przypominały włoski. Mówiłem wtedy zawsze: „Uno momento” i przekazywałem słuchawkę. Gdy Sary nie było w domu, mówiłem zdania w rodzaju: „Sara no a casa” - na co po drugiej stronie rozlegał się głośny śmiech. Czasami polecano mi zrobić coś, czego nie rozumiałem, wtedy przekazywałem Sarze, że najlepiej, jak sama oddzwoni. Sara tłumaczyła mi potem pytania różnych wujków i ciotek, które wydawały mi się nieco dziwne (pytania, nie ciotki, których przecież jeszcze w ogóle nie znałem). Czy jestem taki pilny, jak to trzeba się obawiać w przypadku Niemca? Czy jem płuca albo wątrobę, albo i to, i to? Czy mam alergię?

W końcu wyruszamy, spakowani na trzytygodniowy urlop na plaży z don Marcipane i wszystkimi, którzy chcą nas odwiedzić w jego letnim domu. Upieram się jednak przy tym, by podróżować dwoma samochodami, ponieważ już z powodów czysto technicznych niemożliwe jest, bym jechał autostradą przez siedem godzin z prędkością osiemdziesięciu trzech kilometrów na godzinę.

Nie tylko ja tak myślę. Ponieważ żona Antonia też chciałaby kiedyś dotrzeć na miejsce, po pięćdziesięciu kilometrach proponuję mu zmianę. W ciągu ostatnich trzydziestu sześciu lat prowadziło to w sposób nieunikniony do tego, że matka Sary prawie sama pokonywała całą trasę, a Antonio, pochrapując, leżał na tylnym siedzeniu. Gdy Sara i Lorella osiągnęły pełnoletność, było już trzech kierowców na zmianę. Powstało wtedy podejrzenie, że Antonio tylko dlatego tak wolno jechał, żeby zabrano mu kierownicę, a on mógł sobie w spokoju drzemać. Zarzut ten Antonio odpierał twierdzeniem, że chciał dać swoim bliskim jedynie możliwość zdobycia doświadczenia w prowadzeniu i że jest to z jego strony wielce wspaniałomyślne. Kończyło się to jednak kilka kilometrów przed Campobasso. Budził się wtedy jakby za sprawą cudu i domagał się oddania kierownicy.

- Co? Dzieci! Jesteśmy już prawie na miejsce. Dlaczego mnie nie obudziście? Pojadę przynajmniej resztek.

Zdjął koszulę, położył ręcznik na plecach, wysunął rękę za okno i prowadził samochód, trąbiąc, aż do celu: Toni przybył z Niemiec, totalnie zmęczony, ale szczęśliwy, że przywiózł tu swoją rodzinę.

Celem podróży jest więc najpierw Campobasso. Jest to mała miejscowość licząca około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, która leży dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Rzymu, w górach, i nudzi się. Campobasso to stolica regionu Molise, który jest dokładnie tak mały, jak inny niewielki region Włoch, Dolina Aosty. Jednak podczas gdy ta ostatnia jest znana ze swojej szynki i obecności turystów, o Molise praktycznie nikt nie słyszał. Większość Włochów nigdy tu nie była. Ten region to mniej więcej taki włoski Saarland (Najmniejszy kraj związkowy RFN, leży nad Saarą przy granicy francuskiej.). Okolice Campobasso jest raczej surowa, dookoła widać góry

porośnięte zielonymi krzewami. Są też oliwki i wino, ale brak tu przemysłu i jest mało nadziei.

Tę ostatnią w dużej części podsycza jednak ojciec Pio, święty - aktualna gwiazda Włoch. Jego wizerunek można zobaczyć w Molise na każdym kroku, jakby był przywódcą dyktatury wschodnioeuropejskiej. Ojciec Pio ma brodę, która przypomina kłęb dymu z rury wydechowej. Już jako chłopak miał mieć rany na rękach i nogach, co interpretowane jest jako znak szczególnej więzi z Bogiem. Ojciec Pio nie zawsze był uznawany przez Kościół katolicki, ale za to lud otaczał go kultem. Umarł w 1968 roku. Szczególnie czczony jest na południu Włoch. Poza ojcem Pio niewiele jest rzeczy, którymi mieszkańcy tego regionu mogliby się pochwalić, od czasu gdy osławiony SSC Neapol nie gra już w pierwszej lidze. Wiara mieszka na południu, a pieniądze na północy, tak to już jest.

Ojciec Pio czczony jest między innymi w klasztorze w Cassinie, miejscowości odległej od Campobasso o jakieś trzydzieści kilometrów. Tam zajeżdżają autokary pełne turystów, którzy jednak po złożeniu hołdu świętemu wracają do Rzymu albo Neapolu. Do stolicy Molise nikt nie dociera. To sprawia, że w Campobasso jest wprawdzie mały uniwersytet, ale nie ma żadnego hotelu. Prawdopodobnie jest to jedyna prowincjonalna stolica w Europie pozbawiona jakiegokolwiek ruchu turystycznego, chociaż w mieście stoi prawdziwy zamek. Miejscowi politycy nie przyczyniają się do rozślawienia czy choćby poznania gminy. Nie ma tu festiwalu jazzowego ani filmowego, bazaru ze starociami, znaczącego muzeum, targów rolnych czy czegoś takiego. Jedyną znaną rzeczą w Campobasso jest więzienie na jego obrzeżach, które zapewnia dach nad głową kilku wysokim rangą bossom mafii, oraz fakt, że babka Roberta De Niro mieszka w sąsiedniej wiosce. Jednak podobno z powodów czasowych Robert De Niro jak dotąd tu nie zawitał, co można zrozumieć,

przyjechawszy tu raz z Rzymu. Do miasteczka, które leży na wysokości prawie tysiąca metrów, prowadzą tylko wąskie wiejskie uliczki, piękne co prawda, ale jednak bardzo niebezpieczne. Robert De Niro mógłby oczywiście wynająć helikopter i byłby tam szybciej, ale okolica jest wyjątkowo wietrzna, co bez wątpienia nastreczyłoby trudności podczas wysiadania. Dlatego Robert De Niro pozostaje raczej w domu. Ja nie. Ja jadę z Sarą do jej rodziny w Campobasso, które leży in culo al mondo, jak mawiają Włosi, i co znaczy dokładnie to samo, o czym w tej chwili myślicie.

Siedem godzin przed przybyciem Antonia zatrzymujemy się tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, w domu babci Anny. Babcia, nazywana jak wszystkie babcie we Włoszech nonna, bardzo cieszy się z naszej wizyty, ponieważ istniało niebezpieczeństwo, że dziadek umrze, zanim mnie zobaczy. Na powitanie nonna Anna szczypie mnie w policzek, co ma być wyrazem nadzwyczajnej przychylności. Miłość boli. Nonna Anna to maleńka kobieta o woskowej cerze. Na nosie ma ogromne okulary, w których wygląda jak Erich Honecker. Chodzi pochylona, ale szybkimi, powłóczystymi krokami.

Dziadek Calogero, którego rzadkie imię każe przypuszczać, że ma sycylijskie pochodzenie, liczy sobie ponad osiemdziesiąt lat, również jest bardzo niskiego wzrostu i ma jasne oczy, które tak podziwiam u Antonia i mojej żony. Ma na sobie niebieski sweter, a na nim szelki, które podtrzymują brązowe spodnie. Sara opowiadała mi, że jest faszystą z krwi i kości. Tak długo, jak tylko był w stanie, głosił wizjonerskie idee duce, i to jeszcze pięćdziesiąt lat po zakończeniu wojny.

W lecie całymi dniami przesiadywał na swoim krzeselku przed chyboczącym się stolikiem i przeklinał współczesne Włochy. Podczas mistrzostw świata był zawsze za Niemcami, chwalił dyscyplinę i kondycję niemieckich zawodników.

Prowadziło to do tego, że ktoś z sąsiedztwa stale próbował mu wybić takie myśli z głowy. Kiedy zachorował na alzheimera, oznaczało to zgodnie z włoską logiką winę Niemców. Gdy więc przyjeżdżamy, siedzi na swoim krzeselku i już nie rozpoznaje mojej żony.

Od prawie pięćdziesięciu lat Calogero i Anna Marcipane mieszkają w tym samym domu przy Via Tiberio. Wprowadzili się tu, gdy był całkiem nowy. W międzyczasie rozpadł się tynk na fasadzie, a drzwi wejściowe źle się zamykają. Ich mieszkanie ma trzy pokoje, maleńką kuchnię i takiej samej wielkości łazienkę. Stoi tu wanna, która jest tak krótka, że mogę w niej siedzieć tylko z podkurczonymi nogami. Ale dla wszystkich pozostałych „niskopiennych” Marcipane jest wystarczająca.

Ja, a któż by inny, wnoszę cały bagaż na górę, nawet jeżeli wszystkiego nie będziemy potrzebować. Nigdy nie wiadomo, nie chcemy kusić losu. Jak już ukradną moje auto, to przynajmniej będę miał bieliznę na zmianę.

Nasz pokój zdominowany jest przez przedstawiające płaczącego chłopca neorealistyczne malowidło, które naprawdę budzi lęk. Na moje pytanie, kto to jest, nonna Anna odpowiada, że nie wie. A dlaczego płacze, pytam dalej. Ponieważ nie może wisieć w salonie. Aha. A dlaczego nie może tam wisieć? Powoli denerwuje ją to całe wypytywanie. Ponieważ tam wisi już inny chłopak. W jej salonie rzeczywiście jest kolejny obraz chłopca, który w ręce trzyma szklankę mleka i też płacze. A dlaczego chłopiec z mlekiem płacze? Ponieważ nie lubi mleka, ale jego matka zmusza go do wypicia. Basta. Mały wszechświat nonny Anny jest bardzo melancholijny. Inne obrazy przedstawiają krajobrazy w Molise, rybaka, który samotnie siedzi w łódce albo ojca Pio podczas modlitwy.

Wieczorem, gdy jest już ciemno, a Sara i ja wracamy ze spaceru, przyjeżdżają Antonio i Ursula. Z początku ich nie widzimy, ale słyszymy, ponieważ Antonio już z odległości trzech ulic zaczyna trąbić. Wszyscy wychodzą z domu, a kiedy Antonio skręca za rogiem, sąsiedzi na swoich balkonach nawet klaskają. Antonio macha zza szyby i mówi: „Boże, co za jazda, długo nie będę to powtarzać”.

Z drugiej strony auta wysiada Ursula, która od razu idzie spać.

- Nie wiem, co z ona jest. To naprawdę była spokojna podróż - komentuje Antonio, wzruszając ramionami.

Po tym, jak wniosłem - któż by inny - bagaż moich teściów do środka, przychodzi kilkoro krewnych na kolację. Wszyscy są mnie ciekawi. Niemcy są atrakcją we Włoszech. W każdym razie tam, gdzie nie ma turystów.

Najpierw pojawiają się Egidio, Maria i ich syn, Marco. To ulubiony kuzyn mojej żony. Maria jest młodszą siostrą Antonia, a Egidio jej mężem. Egidio to misiowaty neapolitańczyk, który od razu wzbudza moją sympatię, ponieważ na powitanie wtrąca trzy niemieckie wyrażenia, które zna, mianowicie „Kartoffel”, „Blitzkrieg” i „Guten Tag”. Krótco po nich przychodzą bracia Antonia, Raffaele i Matteo, którzy gmatwając sprawę, także ożenili się z kobietami o imieniu Maria. Ich dzieci zostają w domu, podobnie jak ciocia Lidia, która popadła w niełaskę, o czym będzie jeszcze mowa później. Mnie to jest na rękę, że się o niej nie mówi, bo i tak mam już do zapamiętania sporo imion.

Poza tym mój włoski, ograniczający się do kart menu, wystarcza tylko do wysokości Florencji. Za nią jest już koniec, finito, nie rozumiem ani słowa, ponieważ tu mówi się dialektem, który nie zawsze jest zrozumiały nawet dla Włochów. Jest to neapolitański z góralską domieszką, porównywalny prawdopodobnie z hanzeatyckim szwabskim

dialektem. Dla przykładu Antonio nazywany jest tu Ando, z akcentem na drugiej sylabie, i wymawiany z „o” takim jak w wyrazie „Knopf” albo „Topf”. „Arrivederci” wymawia się tu jak „achwidecz”, czasami tylko „achwid”, a „tedesco” brzmi jak „tedesz”. Końcówki są po to, żeby je połykać. Ponadto przeważnie wszyscy mówią naraz, co utrudnia mi zrozumienie przynajmniej kontekstu.

Na szczęście jest ze mną moja żona, która wszystko dzielnie tłumaczy. Czy mi się tu podoba, czy lubię Południe, jakie kluby piłkarskie znam, czy chodzę do kościoła. Jakoś mam wrażenie, że ci mili ludzie interesują się bardziej swoimi pytaniami niż moimi odpowiedziami. W każdym razie nigdy się do nich nie odnoszą, tylko ciągle zmieniają zręcznie temat.

Potem jest kolacja. Samo spożywanie potraw odbywa się w mojej rodzinie właściwie na marginesie. O wiele ważniejsza jest rozmowa. Następujący dialog funkcjonuje jak mantra powtarzana we włoskim życiu rodzinnym. Jestem stale jego świadkiem od czasu mojej pierwszej wizyty. Zaczyna się zawsze pozornie prostym pytaniem, na które grzecznie odpowiadam.

- Chcesz jeszcze szynki?
- Nie, dziękuję, jestem najedzony.
- Nie smakuje ci?
- Ależ tak, była pyszna, ale już więcej nie mogę, naprawdę.
- Marysiu, nie smakuje mu.
- Ależ smakuje, naprawdę, jest doskonała.
- No to weź jeszcze plasterek.
- No dobrze, eh, zjem może jeszcze kawałek sera.
- No widzisz. I bistecca?
- O Boże, nie, dziękuję. Już nie dam rady.
- Nie smakuje ci?

Co zaś się tyczy jedzenia, to jest absolutnym cudem, że ten naród jeszcze istnieje, ponieważ jego przedstawiciele odżywiają się prawie wyłącznie węglowodanami.

Rano zaczynają od małego cornetto do kawy, czyli croissanta. Zresztą tego słowa nie wolno nigdy używać we Włoszech, skutkuje to natychmiastowym wykluczeniem z inner circle każdej włoskiej społeczności. W ciągu dnia Włosi wielokrotnie pochłaniają tramezzino - kanapkę z białego chleba z majonezem i różnymi tanimi składnikami. W południe koniecznie makaron, czasami pizza, często nawet i to, i to.

Wieczorem to samo, a do tego zawsze biały, stosunkowo suchy chleb. Tego nie da się przeżyć i jest absolutną tajemnicą ludzkości, jakim cudem tak odżywiający się naród już dawno nie pękł z głośnym hukiem.

W mojej rodzinie wszystko kręci się właściwie wokół jedzenia. Kiedy jedliście? Kto był z wami? Wychodzicie dziś coś zjeść? Dokąd? Ile czosnku dajecie do ossobuco? Egidio przyrządził cassata. Jest jeszcze za wcześnie na jagnięcinę, ale cielęcina może być. Dolci od Luigiego są lepsze niż te od Gennara. I tak dalej. Nawet mądrości życiowe mają w mojej rodzinie związek z jedzeniem. O kuzynie Marcu, który jest przystojnym chłopakiem i ma szczególne powodzenie u kobiet, jego przyjaciele mawiają z uznaniem: „Lui deve inzuppare il suo biscotto dappertutto” („Wszędzie musi zanurzyć swój herbatnik”).

Włosi nie piją dużo. Bardzo rzadko podaje się piwo, przeważnie na stole stoi schłodzone czerwone wino. Moja rodzina preferuje winiarza, który ze względów ekonomicznych rezygnuje z etykietek i swoje wino rozlewa do zamykanych na pałak butelek, które przywozi swoim klientom w dziesięciopakach. Jest to młode, ale wyśmienite wino, którego nigdy nie pije się za dużo. Już dzieci dostają je

rozcieńczone z lemoniadą, a dorośli piją do niego wodę. Nigdy nie widziałem, by ktoś wypił za dużo, nigdy nikogo z mojej rodziny nie widziałem pijanego.

Spać chodzi się wcześnie. Około dziesiątej wieczorem Campobasso śpi smacznie i chrapie na swoim górskim wzgórzu, aż drżą pinie. Wcześniej zegnamy się, bogato gestykulując, z ciotkami i wujkami. Wszyscy są dla mnie bardzo mili. Zanim wsuniemy się pod kołdrę, odwracam obraz z płaczącym chłopcem. Boję się go.

Na Antonia jednak tej nocy nie możemy liczyć, bo nocuje z Ursulą u Egidia i Marii.

- Przykro mi z powodu dziadka - mówi Sara smutno, zanim zasypiamy. - Zawsze był taki kochany.

To jednak tylko połowa prawdy. W rzeczywistości często grał ze swoimi licznymi wnukami na pieniądze, których potem nie oddawał, oszukiwał ich, jak się tylko dało. Gdy w sylwestra zgodnie ze starym zwyczajem rzucało się drobne, a dzieci je zbierały i zatrzymywały dla siebie, schylał się zawsze jako pierwszy i zabierał im monety sprzed nosa.

- Wcześniej nigdy nie był taki cichy.

Dziadek Calogero cały wieczór przesiedział przy swoim stoliku i przyglądał się członkom rodziny wielkimi ciekawymi oczami. Mnie nie zaszczycił spojrzeniem, dopóki nonna Anna mu nie wyjaśniła, że jestem Niemcem. Wtedy uśmiechnął się bezzębnie i zaoferował mi różową tabletkę ze swojego zapasu.

W nocy umiera.

Dziadek Calogero leży ubrany w łóżku, oczy ma zamknięte. Na jego woskowej skórze odbija się światło słoneczne, które wpada przez szpary w okiennych roletach.

Jego śmierć, mówią krewni, nie przyszła niespodziewanie, dziadek bardzo osłabł w ostatnim czasie, zarzucił nawet pomstowanie. Właściwie w ogóle przestał mówić, co w

przypadku członka rodu Marcipane oznacza, że naprawdę z nim źle.

Nonna Anna obudziła się rano i od razu wiedziała, że jej Calogero leży obok martwy. Normalnie budził się przed nią. A gdy się przez ponad sześćdziesiąt lat razem zasypia i wstaje, instynktownie wyczuwa się, gdy coś jest nie tak.

Zupełnie automatycznie rozpoczyna się rytuał, który wydaje się poniekąd dziwny i osobliwy. Jako pierwszy pojawia się lekarz domowy dottor Neri, by oficjalnie stwierdzić zgon. Ma duże znamię na twarzy i wygląda jak słoń Dumbo. Potem przychodzi ksiądz Alfredo i modli się z nonną Anną i ciotkami, które w międzyczasie również przybyły. Nonno Calogero pozostaje tam, gdzie był.

Nikt go nie wynosi, leży tak jak leżał, po swojej stronie łóżka, przykryty do podbródka, nieogolony, z nieco kwaśnym grymasem na ustach.

Wiadomość o jego odejściu stopniowo się rozchodzi. Poznają dziś przynajmniej czterdziestu Mariów i tyle samo Antoniów. Są to krewni z obu odgałęzień rodziny, która jest tak duża, że wszyscy jej członkowie posiadający łącze telefoniczne zajmują pełne pięć stron miejscowej książki z numerami. Są mniej więcej dwie strony z nazwiskiem Marcipane, jedna strona Marcipano (z powodu brzemiennego w skutki błędu literowego popełnionego w urzędzie meldunkowym, o którym będzie też mowa później) i jeszcze dwie strony Carduccich. Ani ród Marcipane, ani Carduccich nie przekuł nigdy swojej liczebnej przewagi w sukces polityczny w wyborach. Nigdy żaden z nich nie piastował publicznego urzędu. Mimo to każdy mieszkaniec miasta zna obie te rodziny.

Te od prawie trzydziestu lat są śmiertelnymi wrogami, a to z powodu historii, którą da się opowiedzieć tylko pod warunkiem, że skoncentrujemy się na tym, co najistotniejsze.

Jeden z wielu Antoniów Marcipane w mieście ma syna imieniem Benito. Benito, najdelikatniej rzecz ujmując, jest trochę upośledzony umysłowo, ponieważ jako dziecko spadł na głowę z zamkowego muru w Campobasso. Tenże Benito Marcipane jako młody chłopak ukradł auto. Do kogo należał samochód, było mu obojętne, jak to oczywiście w przypadku złodziei bywa, ponieważ kradzież nie jest wymierzona w osobę. Byłoby jednak lepiej, gdyby to go zainteresowało, ponieważ w Campobasso istnieje statystycznie duże prawdopodobieństwo obrabowania krewnego, co też miało miejsce w tym przypadku. Ów samochód - Fiat 500 - należał do jego wujka, jednego z wielu Mariów Carduccich, który w dodatku był świadkiem tej kradzieży. Mario Carducci udał się więc do ojca Benita z zamiarem odebrania auta. Benito zdążył je jednak sprzedać kolejnemu z Carduccich, który oczywiście nie wiedział, że nabył właśnie samochód swojego kuzyna Maria.

Do tego momentu historia jest jeszcze bardzo prosta, a problem mógłby zostać jakoś rozwiązany, ale Antonio Marcipane zażądał dowodu przeciwko swojemu synowi Benito, który wprawdzie pod groźbą lania przyznał się do kradzieży, ale jak powiedziałem, ponieważ był trochę „nie tego”, jego wyznanie w oczach ojca się nie liczyło. Dlatego Antonio Marcipane wezwał obu Carduccich, by wyjaśnili, do kogo należało auto, bo przecież jakiś Carducci za nie zapłacił, a gdzie jest napisane, że inny Carducci w ogóle jest prawowitym właścicielem? A poza tym zawsze to mały Benito jest podejrzany, matko święta, popatrzcie tylko na niego, chłopak jest przecież za głupi, by iść na wojnę, a co dopiero jeździć samochodem, nie mówiąc już o tym, by jakiś ukraść, i na tym basta.

Mario Carducci wpadł z tego powodu w taką wściekłość, że Antonia nazwał gangsterem, a jego syna - kulawym psem.

Od tego czasu krewni z obu gałęzi rodziny nie zamienili ze sobą praktycznie ani słowa, co w miasteczku takim jak Campobasso nie jest wcale proste. Kiedy na przykład członek klanu Carduccich wsiada do autobusu i chce kupić bilet u kierowcy, który jest jednym z Marcipane, wówczas Carducci może jechać za darmo, ponieważ nie można od niego wymagać, by powiedział do jednego z Marcipane, jaki jest cel jego podróży. I na odwrót, ci Carducci, z których dwóch pracuje w urzędach skarbowych, obsługują petentów tylko od litery A do K i od R do Z, tak by nigdy, nawet przypadkowo, nie spotkać się z jakimś Marcipane. Marcipane twierdzą też, że wszyscy Carducci są głupi, a ci ostatni nazywają Marcipane skąpymi, co przynajmniej w przypadku mojego teścia się nie zgadza.

Ciotka Lidia nazywa się co prawda Marcipane, ale popadła w niełaskę zarówno u jednej, jak i drugiej części rodziny, ponieważ chciała pośredniczyć pomiędzy zwaśnionymi obozami i zaprosiła najstarszych z obu rodzin do siebie do domu na poczęstunek, nie powiedziawszy żadnemu z nich, że nie będzie sam. I z pewnością doszłoby w jej mieszkaniu do rozlewu krwi, gdyby któryś z sąsiadów nie wezwał policji, która rozdzieliła kłótników. Od tej pory ciotka Lidia jest hańbą dla całej rodziny.

Natomiast Fiat 500 został, za milczącym przyzwoleniem, po prostu pozostawiony na ulicy. Rzekomo był jeszcze jeden chętny do odebrania samochodu: przedstawiciel handlowy z Foggii, który twierdził, że Mario Carducci ukradł auto jemu, ale ten mężczyzna jest, zdaje się, wymysłem rodziny Marcipane. W każdym razie nigdy nie zgłosił się na policję. Auto zniknęło potem pewnego dnia. Wiele rzeczy przepada w ten sposób we Włoszech, gdy je zostawić gdzieś dostatecznie długo.

Stoimy więc w mieszkaniu Calogera Marcipane, a mężczyźni z przykurzonymi włosami i podrapanymi policzkami paradują niespiesznie obok mnie. Podają mi rękę, źle ogoleni całują mnie w policzek i szepczą swoje imiona: „Ando”, „Mar”. Następnie idą wolno do sypialni i rzucają się na martwego dziadka, całują nonnę oraz ciotki w chustkach na głowie i znowu znikają. Kolejka oczekujących ciągnie się aż do ulicy - wszyscy są w jakiś sposób spokrewnieni z Calogierem Marcipane.

Trzy dni później odbywa się pogrzeb. Napisano o nim na kartkach przyklejonych na tysiącach drzwi w całym mieście, nawet na klatce schodowej nonny Anny. Na klepsydrze widnieje zdjęcie dziadka Calogera w uniformie. Ma na nim z pewnością już pięćdziesiąt pięć lat.

W lekkiej panice przetrząsam swoją walizkę w poszukiwaniu stosownego do okoliczności ubrania, ale oczywiście nie zapakowałem nic, w czym można by było pójść na pogrzeb. Mam przy sobie tylko jedno długie spodnie, pozostałe krótkie, niektóre kolorowe, nie mam krawata ani nawet marynarki. Sara uważa, że i tak potrzebuje czarnej sukienki, którą mogłaby nosić także na inne okazje, idziemy więc do miasta i ubieramy się w Benettonie, bo nie musimy też przesadzać z wydawaniem pieniędzy. Kupuję czarny garnitur z czarną koszulą i takim samym krawatem za 260 tysięcy lirów.

Okazało się, że jestem nieco overdressed, ponieważ tak naprawdę nikt na włoskiej prowincji nie wpadł na pomysł, by w południe, w pełni lata i przy czterdziestostopniowym upale założyć garnitur, nie mówiąc już o krawacie. Dlatego wszyscy Antoniowie i Mariowie pojawiają się w czarnych spodniach i białych koszulach z krótkimi rękawami.

Słyszę jednak słowa pochwały od mojego teścia: „Wyglądasz dobrze, mój drogi. Ci tutaj nie znają taki smak

elegancji". Jego żona i on sam zrezygnowali z zakupu nowych rzeczy, ale ich garderoba z pomocą dużych okularów słonecznych była dostosowana do sytuacji.

Około godziny drugiej po południu czarną i błyszczącą jak fortepian koncertowy trumnę ponieśli przez miasto trzej Mariowie po jednej i trzej Antoniowie po drugiej stronie. Najpierw udajemy się w kierunku pobliskiego kościoła, w którym nie wszyscy się mieszczą. Kilkudziesięciu żałobników zostaje przed drzwiami, gdzie paląc papierosy bez filtra, słucha przez trzeszczące głośniki mszy żałobnej. Siedzę pomiędzy Sarą a Ursulą i słucham kazania, którego nie rozumiem, ale które mnie porusza, ponieważ istnieje niewytłumaczalna, choć diametralna różnica pomiędzy mszą odprawianą po niemiecku i celebrowaną po włosku. Można wtedy zrozumieć, że kolebką katolicyzmu są Włochy.

Następnie trumna wędruje na przyczepkę, którą ciągną znowu jakiś Mario i Antonio. Pochód na cmentarz trwa według przelicznika Antonia tyle czasu, ile potrzeba, by zjeść niewielką przekąskę i kupić warzywa. Kilometr marszu gęsiego w skwarze. Czuję się jak Lawrence z Arabii na pustyni, ale on miał przynajmniej na sobie białe ubranie.

Kondukt ciągnie się tak wolno nie tylko z powodu smutku, lecz także dlatego, że w tym czasie na ulicach jest duży ruch. Na poboczu stoją przechodnie, a ja, poirytowany, przyjmuję do wiadomości, że Włosi mają osobliwy zwyczaj okazywania współczucia dla zmarłego: mężczyźni chwytają się mianowicie za krocze, gdy widzą trumnę. „Chcą przez to pokazać, że cieszą się, że jeszcze żyją” - szepcze Sara.

Po przybyciu na cmentarz trumnę otwarto w małej zimnej kaplicy. Wszyscy mają się jeszcze raz pożegnać z Calogerem. Zmarły ma na sobie swoją elegancką marynarkę, czapkę z daszkiem i szelki, jest przykryty aż po klatkę piersiową białą błyszczącą chustą. Nonna dołożyła mu jego składany nożyk.

Kroił nim zawsze swoje salami, a w lecie brzoskwinie do zimnego czerwonego wina. Jako rodowity Sycylijczyk starał się zawsze i wszędzie używać własnego noża, także w restauracji. Kiedy po raz pierwszy musiał iść do szpitala, rzucił sztucami za pielęgniarką i wyciągnął swój scyzoryk, by pokroić nim pecorino. Narzędzie to jest tak niebezpieczne, że nonna Anna przed włożeniem go do wewnętrznej kieszeni marynarki obkleiła je taśmą samoklejącą, żeby się nie otworzyło.

Położyła obok niego także jego laskę, w końcu nigdy nie wiadomo, jakie plany mają zmarli. W ostatnich miesiącach życia nie używał jej już do chodzenia, tylko wyłącznie do grożenia. Poza tym w trumnie leżą karty do gry, bo kto wie, być może w niebie znajdzie kogoś, kto zechce rozegrać z nim partyjkę scopa. Sara płacze.

Po tym, jak wszyscy znaczący krewni jeszcze raz powiedzieli: „Do widzenia”, przy czym wielu dotknęło jego czoła, przyszli dwaj stolarze i przykręcili wieko wkretarkami akumulatorowymi. Inbus, osiemnaście sztuk. Następnie z za rogu wyłania się podnośnik widłowy, a kilku Mariów i Antoniów lokuje na nim trumnę. W powolnym tempie kondukt podąża za tłukącym się do grobu wehikułem. Przez cały czas trumna wydawała mi się krótka, a teraz poznaję powód: dziadek Calogero ma zostać złożony w pewnego rodzaju zamykanej skrytce w ścianie z betonu. Pochówków w ziemi tu nie ma.

Są tu wąskie skrytki, w które wsuwa się zmarłych wzdłuż. Takie groby nie są drogie, ale nie prezentują się też zbyt dobrze. Poza tym są też takie, gdzie zmarłych układa się w poprzek. I takie, które są wprawdzie szerokie, ale niewystarczająco. No dobrze, pan Marcipane nie był olbrzymem, ale jednak był większy niż trumna, czy może się

myle? Czy dziadek Calogero na końcu był niekompletny? Do dziś nie odważyłem się zadać tego pytania.

Gdy już pracownicy włożyli małą trumnę w niszę, co nie obyło się bez kilku odprysków lakieru, ksiądz mówi jeszcze kilka pięknych słów, modlimy się. Potem pojawia się życzliwy murarz. Pali papierosa i pcha przed sobą taczki z cementem, wita się krótko i zaczyna zamurowywać dziadka. Słychać klaskanie cementu o trumnę.

Patrzemy na to w milczeniu. W którejś chwili Egidio mówi z uznaniem: „Piękne murowanie dziadek będzie miał. Naprawdę piękne”.

To chyba największy komplement, który można tu usłyszeć pośmiertnie.

Czegoś takiego jak stypa na szczęście nie ma, w każdym razie nie w mojej rodzinie. Gdy murowanie dobiega końca, idziemy do domu.

Godzinę po pogrzebie męża nonna Anna zakłada znowu swój fartuch i parzy kawę dla Antonia, Ursuli i mnie. Zmarli odgrywają w jej życiu ważniejszą rolę niż żywi, z których językiem i wyobrażeniami nic jej już nie łączy. Dawniej nawet przyszłość była lepsza, mówi.

Zostajemy jeszcze kilka dni u nonny Anny, która nie lubi być sama. Od czasów wojny nie była dłużej niż sześć czy siedem godzin bez swojego Calogera, który nawet dawniej, gdy jeszcze pracował, zawsze przychodził na obiad do domu. Nonna Anna mówi, że teraz też absolutnie nie chce być długo bez niego. Ciotki się martwią, ale nonna Anna przyrzeka nie zgrzeszyć.

Następnie opowiada historię, która miała zdarzyć się na cmentarzu w Campobasso:

Były kiedyś dwie sąsiadki, które nawzajem się nie znosiły. Jedna nazywała się Rosalia, a druga Mirella. Mirella straciła na wojnie męża, Pasquale. Po prostu nie wrócił. Rosalia

twierdziła wprawdzie, że nie oznacza to, że naprawdę umarł, ponieważ nikt nie wyobraża sobie dobrowolnego powrotu do takiej kobiety jak Mirella i że prawdopodobnie Pasquale wykorzystał jedynie okazję i odszedł. Ale na to nie było dowodów. W każdym razie obie kobiety nie mogły siebie znieść.

Rosalia mieszkała ze swoim mężem, Ernestem, czterdzieści lat. Pewnego dnia utopił się on podczas łowienia ryb. Na pogrzeb przysłała również Mirella, która zawsze była w dobrosąsiedzkich relacjach z Ernestem, a jego śmierć bardzo ją zmartwiła. Tak bardzo, że przemogła się i chciała przekazać Rosalii znak pokoju.

Uklękła obok oplakującej męża Rosalii i odmówiła cichą modlitwę. Potem spojrzała w niebo i powiedziała: „Ach, mój kochany, biedny Ernesto. Jak spotkasz tam w górze mojego Pasquale, to pozdrów go, proszę, gorąco ode mnie”.

Na to Rosalia: „Jak to zrobisz, mój drogi, to nie pokazuj mi się na oczy w domu”.

Nonna Anna płacze, gdy kończy. Nie jestem pewien, czy to łzy bóleści i smutku, czy po prostu płacze ze śmiechu.

Rozdział trzeci

Po kilku dniach „reklamuję” swoje prawo do urlopu. Niezależnie od tego, jak piękne jest Campobasso w lecie, ja chcę nad morze, o którym Antonio roztaczał wizje w Niemczech.

„Mówię ci, diament morze, na kilometry daleko. Tylko morze i my, mój drogi chłopak”.

Antonio ma skłonność do przesadzania, jednak mimo to można sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać to morze, czyli niezupełnie diamentowe, ale ciągle jeszcze bardzo ładne.

Mój teść posiada typową cechę wykorzenionych, czyli tych, którzy nie są naprawdę w domu tam, gdzie mieszkają, ani też nie należą już tam, skąd pochodzą. Gdy jest w Niemczech, nie ma dla niego nic piękniejszego niż Włochy, kraj jego przodków, wina i tak dalej. Wszystko jest wtedy we Włoszech lepsze: oczywiście pogoda, ale też ludzie, którzy są tam tacy radosni, gościnni i zawsze mają uśmiech na twarzy, i w ogóle lubią dzieci, no i jeszcze są wspaniałymi kucharzami. Do tego krajobraz i zapach pięknych kobiet wszędzie, no i oczywiście diamentowe morze. Owe folklorystyczne hymny koronuje za każdym razem odśpiewaniem neapolitańskich mądrości ludowych. Na podstawie jego opisów można by przypuszczać, że Włochy są swego rodzaju Smerfolandia.

Niemcy natomiast są oczywiście złe, zimne i szare. Ludzie to wyłącznie zainteresowani pieniędzmi beneficjenci, którzy wszystkim zazdroszczą, dzieci najchętniej tylko by zamykali i nigdy, przenigdy się nie śmieją. No i jeszcze to jedzenie, te Knodel i Kartoffeln, żarcie dla świń. I gdyby tylko mógł, a na przeszkodzie nie stała kariera i tak dalej, wróciłby do kraju Dantego i Machiavellego. Patrzyłby na góry porośnięte winoroślą, pisał wiersze i stale jadł polentę.

„No to wróć” - odburkuję wtedy zawsze w myślach. Wprawdzie żaden ze mnie patriota i na pewno są ładniejsze

kraje niż ten, z którego pochodzę, ale to narzekanie może działać na biscotto.

Na szczęście obraz ten odwraca się dokładnie w tej sekundzie, w której Antonio przekracza granicę włoskiej ziemi. Wobec swoich kuzynów i kuzynek zawsze występuje w roli ambasadora niemieckiej kultury w ogóle, niemieckiego sportu, niemieckiej polityki, niemieckiego systemu ubezpieczeń, niemieckiego przemysłu samochodowego i niemieckiej kuchni w szczególności. Ta ostatnia ma coś więcej do zaoferowania niż tylko grillowane mięso, pomidory i kluski. To, co można na przykład zrobić z ziemniaków, jest naprawdę niewiarygodne. Niemcy są wielkimi wynalazcami, a niemieckie auta „najlepsze z najlepsze w sztuce inżynierów”. Nie bez powodu on sam jeździ mercedesem, a z tym samochodem nie tylko żaden we Włoszech nie może się równać, ale nawet żaden na świecie. Gdy to mówi, kłania się, zatrzymuje, przy czym jego oczy świecą szczególnie jasno, i pokazuje wszystkie swoje błyszczące zęby.

Potem idzie dalej.

Godna podziwu jest przede wszystkim dyscyplina Niemców. „Zbudowali kraj z dymiącej ruiny”, to jeden z jego wielkich tematów, i że Niemcom można przypisać wszystko, tylko nie głupotę, nawet jeżeli za granicą zawsze z nich kpią. Kim są dla przykładu Dante i Verdi wobec niemieckich wielkich geniuszy, jak Goethe czy Mozart. Nikim, pyłem. Mojego wtrącenia, że Mozart był Austriakiem, nie uznał.

„Lauda rzekomo też jest Austriak, ale zawsze występuje w niemiecka telewizja, a więc dla mnie jest też Niemiec”. Poza tym Mozart dopiero w Niemczech stał się wielki i czy właściwie o tym wiem. Nie, oczywiście, że nie. I gdyby Koloseum nie stało w Rzymie, tylko na przykład w Monachium, to jeszcze dziś grałoby tam FC Bayern Monachium, ponieważ tam by im jeszcze dobrze szło.

Ta dialektyczna forma rozprawy o ojczyźnie i miejscu zamieszkania znajduje swój oddźwięk w kontakcie z urzędami czy innymi instytucjami. Odwołując się do swojego pochodzenia, Antonio odmawia na przykład od wielu lat pobierania numerków dla oczekujących w niemieckich urzędach, chociaż zna ten system, ponieważ we Włoszech w każdym supermarkecie trzeba pobrać taki numerek. Ale niemiecki urząd meldunkowy nie ma przecież o tym pojęcia.

W Termoli, nadmorskiej miejscowości, gdzie od trzydziestu sześciu lat spędza urlop z żoną i dziećmi, zdobył w 1973 roku na krótko popularność - zatroszczył się o to, by obywatele Termoli mieli wystarczające zaopatrzenie w wodę pitną.

Było to tak: był sierpień i było gorąco, a dopływ wody pitnej został odcięty, ponieważ gmina obawiała się, że jej nie wystarczy. Nikt nie mógł się myć, zmywać naczyń ani pić wody z kranu. Trzy dni i sprawa zaczęła w końcu dosłownie śmierdzieć, aż Antonio Marcipane wziął sprawy w swoje ręce. Z córką za rękę pomaszerował prosto do burmistrza Termoli. Wszedł do jego biura i wygłosił mu długie i bogato okraszone groźbami kazanie, w czasie którego wielokrotnie podkreślał, że pochodzi z Niemiec i że takiego świństwa tam nie ma. On sam zaś nigdy nie spotkał się z tym, żeby niemieckie urzędy wyłączyły komukolwiek wodę czy prąd i że jest to absolutny brak dyscypliny i porządku. Jest to niemalże mafijna zmowa, w Niemczech odwołano by burmistrza i wypędzono do diabła. A poza wszystkim: jechał tu na urlop trzy tysiące kilometrów (według rachuby Antonia), zapłacił za to i ma prawo do wody.

Następnie zrobił artystyczną pauzę i wysunął swoją córkę do przodu. Ponadto, kontynuował przeciągle, potrzebują pilnie wody, ponieważ obie córki mają tyfus.

Antonio nie zdążył jeszcze dojść do domu, a woda znów leciała z kranów, i to nie tylko u niego, lecz wszędzie. Wieść o

jego bohaterskim czynie szybko obiegnęła okolicę i przez resztę urlopu zapraszano go wszędzie, gdzie tylko się zjawiał. Historię tę zresztą opowiada nie tylko on, lecz także każdy w jego rodzinie. Coś więc musi w tym być.

Wypoczynkowa miejscowość Termoli leży nad Adriatykiem, a mianowicie dokładnie tam, gdzie skręca ostroga włoskiego trzewika. Z Campobasso łatwo tam trafić, trzeba właściwie tylko zjechać blisko sto kilometrów w dół gór. Na moje pytanie, ile czasu zajmie ten odcinek, Antonio mówi zupełnie poważnie: „Trwa tak długo, jak pójść na mecz piłki nożnej bez droga powrotna”.

Po drodze mijamy między innymi godny zobaczenia zalew, według Antonia oczywiście największy na świecie. W zalewie tym nie wolno się kąpać, by nie zanieczyścić wody pitnej, wyjaśnia mi Antonio. I że większość ludzi tego przestrzega. On osobiście wiele razy łowił tam ryby, co wprawdzie też jest zabronione, ale nie jest przecież szkodliwe dla środowiska.

Na środku jeziora, nad którym znajduje się most na drewnianych podporach z jezdnią, musimy się zatrzymać. Korek. Wsiadamy i z oddali widzimy wznoszący się słup dymu. Pewnie wypadek, pali się samochód. Po jakimś czasie zator się rozładowuje, a my mijamy miejsce wypadku, gdzie w poprzek jezdni stoi duża lancia. Straż pożarna macha nam przy wraku ręką. Piana gaśnicza, niczym wata cukrowa, cicho obejmuje dymiący samochód i wielkimi porcjami kapie do jeziora z wodą pitną. Żadna wielka sprawa. Kto potrafi wyczuć ten smak, dostanie od Toniego lody.

Wlokę się dzielnie za Antoniem. Za nami jedzie Egidio z żoną Marią i synem Markiem. Za nimi starszy brat Antonia, Raffaele, z żoną Marią. Poza tym przybyli także kuzyn Gianluca z żoną Barbarą i małymi dziećmi, Ilarią i Antoniem, które okazały się hałastrą prima sort. Antonio zaprosił

wszystkich na wakacje do swojego letniego domu. Wujek Toni z Niemiec, wspaniałomyślny człowiek, który ma gest. Według niego dom ma czternaście łóżek. Zobaczymy.

Podróżowanie z Włochami jest prawie niemożliwe, chyba że samemu jest się Włochem. Włosi nie podróżują, oni poruszają się jak błędne owce. Choć Antonio pokonywał tę drogę już więcej niż sto razy, nie znajduje jej tak od razu. Winne jest rondo przy wjeździe do Termoli, które go myli. Tak więc zatrzymuje się na środku jezdni, żeby naradzić się z bratem Raffaele, szwagrem Egidiem i bratankiem Gianluca, który zresztą jest zadowolony z przystanku, bo jego silnik od kilku kilometrów mocno dymi. Po dłuższych konsultacjach decydują się na kierunek, który na końcu nawet prawie się zgadza, i już po niecałych trzech godzinach wnoszę nasz bagaż, a także bagaż moich teściów do wytęsknionego letniego domu.

Ten okazuje się dziwną mieszanką bunkra przeciwbombowego i altanki w ogródku działkowym. Cały dom jest wykonany z betonu, a otynkowano go tylko od wewnątrz, gdzie wystrój odzwierciedla ducha Włoch z lat sześćdziesiątych. Ów pomnik wiktoriańskiego stylu ma sześć sypialni i jedną łazienkę, nie ma salonu, ale jest za to ogromna kuchnia, w której można wspólnie usiąść.

Jednak styl łóżek burzy mój zachwyt w ciągu kilku sekund. Pobieram moją dzisiejszą lekcję: Włoch lubi leżeć na miękkim i nie posiada górnych kręgów kręgosłupa. Dlatego uwielbia łóżka takie, jak w tym domu.

Z punktu widzenia ortopedycznego włoskie łóżka to konie trojańskie. Na pierwszy rzut oka wyglądają niewinnie i przytulnie, szybko jednak okazują się groźnymi dla życia narzędziami tortur. Już przy powlekaniu materaca odkrywam, że niezwykle elegancko wyglądająca rama jest tylko atrapą. Wewnątrz niej znajduje się stelaż ze stalowych rurek, w który

jakiś sadysta wpuścił konstrukcję z siatki i drutu sprężynowego. Na nim leży gruby materac z pianki, i gotowe. Jak wszędzie we Włoszech, kładzie się na to płaską poduszkę i coś w rodzaju prześcieradła trwale połączonego z dzienną narzutą. W lecie to wystarcza. Ta szaleńcza konstrukcja przez najbliższe dni ma być ojczyzną moich snów. Siadam na łóżku, które zapada się przy tym jak suflet, i myślę o moim domu. Tam stoi moje łóżko ze stabilną ramą, stelażem, sprężynowym materacem kieszeniowym i puchową kołdrą.

Mam teraz coś powiedzieć? Że to miękkie monstrum tutaj mi się nie podoba? Mam obawy, jak wszyscy Niemcy za granicą. Bo zawsze, gdy Niemiec za granicą powie, że ma w pokoju skorpioną, wirusa Ebola albo Europejczyka z południa trzymającego w ręku broń palną, trzeba liczyć się z tym, że zostanie posądzony o typowo niemiecką małostkowość. Tego naprawdę panicznie się boję, bo nic nie poniża Niemca bardziej niż zarzut bycia typowym Niemcem. A więc zamykam gębę i wyobrażam sobie, jak mój ortopeda kontroluje za trzy tygodnie moje plecy.

- I tu wszędzie boli? - zapyta.

- O tak, tam też, tak, tak, wszędzie - odpowiem. - To co pan takiego robił? - zapyta, a ja opowiem mu

o tym łóżku na urlopie, na co on pokręci głową i stwierdzi: „Taaak, gdyby to był wypadek sportowy albo drogowy, jeżeli chodzi o mnie, nawet z udziałem Włochów, to wtedy mógłbym coś zrobić. Ale leczenie dolegliwości kręgosłupa wywołanych włoskimi łózkami kasa chorych wykluczyła niestety ze swoich świadczeń”. - Co?

- Kasy chorych już nie refundują uszkodzeń spowodowanych przez włoskie meble. Leczenie urlopowiczów po powrocie z Włoch kosztuje podatnika co roku 1,5 miliarda marek.

- Nie wiedziałem.

- Następnym razem niech pan jedzie do Grecji, tam łóżka są twardsze.

Sara układa akurat nasze rzeczy w szafie. Nie mam wiele ze sobą: dwie pary butów, długie spodnie, trzy pary krótkich spodenek, poza tym rzeczy plażowe, koszulki z krótkim rękawem, marynarkę, koszulę. I garnitur na ewentualne pogrzeby. Więcej nie trzeba. Najcięższe w mojej walizce są książki, które ze sobą zabrałem i które układam teraz w stos obok łóżka. Potem rozglądam się po domu i patrzę, co robi Toni.

Stoi zdenerwowany i wymachuje rękami w swoim pokoju, dyryguje żoną, która właśnie wciska okazały stos elegantszych koszul do szafy, a jemu się to nie podoba. Na podłodze leży jeszcze sporo par spodni, około trzydziestu podkoszulków i różnego rodzaju drobne rzeczy, których przeznaczenia nie od razu potrafię się domyślić.

- To znowu jest typowe dla Włochy. Szafa jest o wiele za mała. Co oni właściwie myślą, że kim my jesteśmy? Siedem krasnoludki?

Jest naprawdę rozzłoszczony. Chociaż kilka dni wcześniej wyjaśniał mi, że Włosi robią najlepsze meble i mają niezwykle zdolności do tworzenia rozwiązań logistycznych. Ale wtedy byliśmy jeszcze w Niemczech.

Po prawie dwóch godzinach moja rodzina zdążyła się zebrać i po burzliwej fazie rozpakowywania jest na tyle stabilna psychicznie, by móc pójść na plażę. Uznaję to za dobry pomysł, bo jest ciepło, jest lato, a diamentowe morze mogę zobaczyć z balkonu naszego pokoju. Jest oddalone najwyżej o sto metrów.

A więc wyruszamy. Najpierw musimy przejść przez ulicę przed naszym domem. Nie jest bardzo szeroka, ale jest tu duże natężenie ruchu, a ona sama stwarza przestrzeń dla poszukiwania miejsca do parkowania. Mijają nas duże rodziny

w małych samochodach. Za kierownicą zawsze spocony mąż lepiącej się żony, z narzekającym potomstwem i śpiącą babcią. Nie jest prosto przejść przez ruchliwą ulicę we Włoszech, potrzeba do tego pewnej wprawy. Albo odwagi. Jako pieszy we włoskiej komunikacji drogowej najlepiej poruszać się możliwie szybko i bez strachu. Włoski kierowca przypomina bowiem owczarka niemieckiego: gdy zobaczy, że się boimy, atakuje.

Po bezpiecznym przekroczeniu nadbrzeżnej promenady na drodze pojawiło się nowe wyzwanie: zarośnięta ziemia niczyja z miejskim kontenerem na śmieci, dookoła którego mieszkańcy Termoli złożyli wszelkiego rodzaju duże odpady, żeby weszły w symbiozę z otoczeniem.

Wszystko to nie jest jeszcze takie złe, ale mieszkańcy miasteczka poznosili na ten plac wszystkie różne skorupy, gwoździe, śrubki, a to już stwarza niebezpieczeństwo dla ludzi, którzy chcą się dostać na plażę. Typowo niemiecki zarzut.

By pójść na plażę, jedenaście i pół Włocha (moja żona to przecież tylko w połowie Włoszka) potrzebuje dwudziestu czterech ręczników (po jednym do wycierania i leżenia), ośmiu dmuchanych materaców w kształcie zwierząt, dwóch toreb melonów, okularków do pływania, płetw, harpunów (osiem zestawów), koszul i spodni do przebrania, po dwie pary spodenek kąpielowych lub bikini (ciotki: kostiumy jednoczęściowe), łopatek i wiaderk (także dla dorosłych), namiotów plażowych, licznych telefonów komórkowych, wody mineralnej bez gazu, składanych krzesłek (bardzo ważne), parasoli przeciwsłonecznych, piłek, siatki do siatkówki i czapek. Do tego dla każdego olejek do opalania, oczywiście bez filtrów ochronnych. Wynalezienie filtra przeciwsłonecznego znalazło we Włoszech mniej więcej taki odzew, jak wybory prezydenckie na Łotwie. Kremy z filtrem

są dla Anglików, z których Włosi śmieją się jeszcze bardziej niż Niemcy.

Całe to dźwiganie jest bardzo wymagające logistycznie, ale zawsze jakoś się udaje przenieść wszystko bezwypadkowo przez ulicę i śmietnisko nad morze, a potem przydźwigać z powrotem.

Ja sam zabieram na plażę tylko książkę, okulary słoneczne, krem z filtrem oraz ręcznik, na co ciotka Maria pyta moją żonę, czy może jestem chory. Naprawdę poważnie się o mnie martwi.

Na plaży Włosi to klasa światowa. Właściwie istnieją tu tylko dwa typy plażowiczów. Numer jeden to jaszczurka. Leży cicho na słońcu. Wygląda to tak, jakbyśmy obserwowali trupa na urlopie, który jednak od czasu do czasu porusza palcami albo głową. Co kilka godzin jaszczurka się podnosi, by ustawić się w stronę wody i popatrzeć na wprost. Po kilku minutach nudzi ją to jednak i znowu układa się na słońcu, by trochę odpocząć.

Drugi typ nazywam derwiszem plażowym. Ten nie może tak po prostu leżeć czy nawet spać, musi koniecznie coś robić, ruszać się, najlepiej wspólnie z innymi derwiszami. Moja rodzina, łącznie z moją żoną, składa się w całości z derwiszów plażowych. Stale muszą w coś się bawić. I zawsze muszę brać w tym udział: siatkówka plażowa, kąpanie się, bieganie po okolicy, kopanie dołeków, piłka nożna. Pójść na plażę z Włochami to duża przyjemność. Moje książki są zasypane piaskiem. Pod koniec urlopu będę miał przeczytaną jedną z ośmiu, a i to tylko do połowy.

W południe wracamy do domu, bo nikt nie jest tu tak głupi, by przebywać na plaży pomiędzy dwunastą a trzecią. O wiele za gorąco. Rzeczy zostawiamy, ale nie ma niebezpieczeństwa, że ktoś je ukradnie, ponieważ według logiki mojej rodziny wszyscy Włosi w południe są i tak w

domu, nikt więc nie może niczego ukraść. I rzeczywiście niczego nie skradziono.

Po obiedzie klan Marcipane śpi. Potem znowu idziemy na plażę i zostajemy do siódmej, w pół do ósmej. Nigdy nie ma żadnych sprzeczek, nawet gdy moi nowi wujkowie i ciotki oraz kuzyni i kuzynki rozmawiają maksymalnie głośno. Kłótnia jest dla nich nie do pomyślenia, bo wszyscy bardzo się nawzajem szanują.

Tu i ówdzie słyhać tylko narzekanie na potomstwo kuzynów Sary, Gianluki i Barbary. Ich dzieci, Ilaria (6 lat) i Antonio (3 lata), żywią się wszelakim plażowym dobrem oraz lodami i colą. Włoska miłość do dzieci ściśle wiąże się ze skłonnością do beznamietnej przeważnie obserwacji tego, co się wokół nich dzieje. Podczas gdy na przykład mały Antonio próbuje odebrać sobie życie harpunem, jego ojciec, Gianluca, plotkuje z ozywieniem z innym ojcem, którego dziecko zjada właśnie pełną garść piasku. Gianluca widzi wprawdzie, że jego syn bawi się ostrym przedmiotem, ale wydaje się to w ogóle nie budzić jego obaw, wręcz przeciwnie. Raczej bawi go to, że jego Antonio jest jeszcze za mały, by odbezpieczyć harpun. Ursula, która siedzi obok mnie w cieniu wielkiego parasola i nadmuchuje jakąś zabawkę, również przyjmuje ową sytuację ze spokojem.

W końcu widziała, jak jej córki też dorastały i nie szkodziło im to. Mi i owszem. Zachwyty Sary nad kolejką ósemkową i wszelkiego rodzaju karuzelami, przypominający ekscytację hazardzisty, przyprawił mnie podczas pewnego święta odpustowego o groźny uraz kręgosłupa szyjnego.

Mój teść brodzi w piasku i obmyśla nowe sposoby na biznes. Uważa, że na plaży można zrobić najlepsze interesy i już na trzeci dzień namawia Afrykańczyków, którzy sprzedają tam fałszywki zegarków, biżuterii i kolorowe chusty, na kupno swojego własnego zegarka. Chłopcy okazują się

stosunkowo nieskłonni do nowych zakupów, ale Toni nie odpuszcza. Piątego dnia sprzedał pewnemu Marokańczykowi solniczkę z naszego domu.

- Ten idiot dał mi sześćset liry za to. Toni wychodzi z siebie.

- Ale to wcale nie była twoja solniczka - zauważa Ursula, którą żenuje ta sytuacja.

- No i co z tego, kupimy w supermarku nowa za trzysta liry i mam trzysta liry zysku. Tak się robi biznes, mój drogi chłopak.

Następnego dnia Antonio wymyślił nową, zimną przekąskę plażową, która z nas wszystkich ma uczynić milionerów, bo zysk z jego interesów ma służyć przede wszystkim rodzinie. Leżę właśnie na moim ręczniku i czytam, kiedy Antonio podsuwa mi pod nos biały plastikowy kubek.

- Co to jest? - pytam.

- To są, mój drogi chłopak, kulki od Toni.

Łyżką do lodów Antonio uformował okrągłe kulki z melona, z których trzy leżą w kubku, a w każdej z nich zatknięta jest wykałaczka.

- Ile taka przyjemność kosztuje? - pytam, udając handlowe zainteresowanie.

- Pięćset liry - odpowiada Toni, a jego głos zamienia się w wyjąca syrenę. - To oznacza summa summarum przynajmniej pięćset liry czysto zysko za melon.

Jawnie zachwyca się swoim pomysłem.

- A kto będzie robił te kulki? Przecież to masa pracy.

- Ursula robi, kto by inny? Już zaczęła. Ja jestem tylko sprzedawca.

Chwilę później znika ze swoją zrezygnowaną żoną i po dobrej godzinie wraca sam. Pod pachą ma koszyk, w którym znajduje się około dwudziestu kubków, które oferuje leżącym wokół rodzinom, jako schłodzone kulki Toniego. Większość

kubków wykupuje jego rodzeństwo, przez co czysty zysk wędruje wewnątrz rodziny z jednej kieszeni do drugiej. Toni jest bardzo zadowolony z wyników, ale utarg z jednej godziny daje mu do myślenia. Interes, konkluduje w końcu, ma sens tylko na dużą skalę. Tak długo, jak sam musi sprzedawać kulki, nie sprawia mu to żadnej przyjemności. A ponieważ zarówno u nas, jak i u sąsiadów nie znajduje chętnych do pracy, milionowy biznes zasypia wraz z Tonim i jego schłodzonymi kulkami.

Ja natomiast w ogóle nie śpię, ponieważ moje łóżko nie nadaje się do tego, by na nim spać, a nawet by być na nim obudzonym. Sara tak nie uważa. Drzemie jak małe zwierzątko, podczas gdy ja kładę się na dmuchany materac w kształcie krokodyla, który teraz zawsze mam przy sobie. Na plaży i w sypialni krokodyl jest moim stałym towarzyszem.

Gdy klan Marcipane wraca z plaży, bierze najpierw prysznic. Zanim trzynaście osób się wykąpie, mija oczywiście chwila, w której Antonio naucza mnie włoskiej polityki albo opowiada mi, jak to prawie zostałby wybrany na przewodniczącego Komunistycznej Partii Włoch, gdyby intryga przeciwnika w ostatniej chwili nie przekreśliła jego kandydatury.

Potem oczywiście jedzenie, ugotowane wspólnie przez kobiety. Gdy któregoś wieczoru chcę pomóc w przygotowaniach, zaczyna się szeptanina. Nie wolno mi nawet zmywać, co w pierwszym tygodniu sprawia mi przykrość, ale później już nie. Człowiek się dopasowuje. Potem w domu, w Niemczech, Sara zmieni swoje stanowisko w tej sprawie i wyjaśni mi, że tu jest inaczej.

Po kolacji jest już późno, Włosi grają wtedy zazwyczaj w karty albo idą na spacer. Antonio i jego rodzeństwo najbardziej lubią pokera albo scopa. Jest to prosta gra, w

której chodzi o to, by zebrać jak najwięcej sztychów, taka mieszanka makao i skata.

Jak już wszyscy się nagrają, idziemy na corso, które jest praktycznie we wszystkich włoskich miastach, niezależnie od ich wielkości. Jest to ulica, przeważnie na jakimś placu, prawie zawsze niedaleko ratusza albo kościoła. Można ją w całości przejść wzdłuż tam i z powrotem oraz dookoła. Okoliczne sklepy są długo otwarte, a uliczni handlarze sprzedają biżuterię i kopie płyt CD.

Antonio jest mistrzem świata w spacerowaniu. Iść przez corso, znaczy dla niego być wszędzie i nigdzie. Jak to się odbywa? Bardzo powolny spacer, jeszcze wolniejszy niż jazda samochodem. Kupowanie lodów. Przystanek znienacka. Zachwywanie się wszystkim. Znowu kawałek do przodu. A przy tym rozmawianie. Zawracanie i kawałek do tyłu. Jeszcze jedno lody, inne smaki. Oglądanie wystawy sklepu z zegarkami. Cały czas miłe pozdrawianie innych. Buona sera. Aha, koniec ulicy, znowu zawracanie. W ciągu jednego tylko wieczoru kupuję siedem lodów i mimo najlepszych chęci nie jestem w stanie sobie przypomnieć, gdzie byłem.

Corso to dla Włochów miejsce, w którym pokazują swój stan posiadania. Ludzie wszystkich warstw społecznych przechadzają się tam wieczorami i jestem pewien, że najważniejsze życiowe decyzje zapadają właśnie tutaj. Młodzież siedzi dużymi grupami na skraju corso na swoich dwutaktowych motocyklach i skuterach Vespa. Nawet małym dzieciom wolno tu biegać tak długo, aż ze zmęczenia wypadną im lody z ręki, co można zaobserwować choćby u Ilarii i małego Antonia.

Można by ten czas oczywiście spędzić sensowniej: poczytać książkę, pójść na jogę albo działać w jakimś towarzystwie. Włosi, których znam, nic sobie nie robią z wszelkiego rodzaju klubów. Dbalność o tradycję jest im tak

samo obojętna, jak nauka języków obcych albo praca dla organizacji pożytku publicznego. Wolą wałęsać się po corso, tam mają najlepsze towarzystwo. Można to nazwać ignorancją i nie byłoby to kłamstwem, ale przynajmniej w mojej rodzinie taki zarzut nie miałby racji bytu. Myślę, że nikt by nie zrozumiał stwierdzenia: „Mógłbyś raz zrobić coś pożytecznego”. Gdy tylko przyzwyczaimy się do osobliwego rytmu nicnierobienia i nigdzie niebycia, da się z tym całkiem dobrze żyć. Brzmi to wprawdzie jak wielka nuda, ale to nie jest nuda, tylko medytacja, a to duża różnica.

Po półtora tygodnia jestem tak samo niepożyteczny jak reszta mojej rodziny. Podczas gdy starsi maszerują z dziećmi z corso do domu, Marco, Gianluca, Barbara, Sara i ja idziemy do jedynych dwóch klubów, jakie działają w tym mieście. Nie są to jednak dyskoteki w tradycyjnym rozumieniu, lecz raczej punkty pozbywania się kieszonkowego, w których można pograć na flipperach i w piłkarzyki. W głębi znajduje się bar i miejsce do tańczenia, czasami można też dostać w zęby, co zawsze wywołuje wielkie poruszenie wśród włoskiej młodzieży.

Prawie nigdy nie wychodzimy jeść, ponieważ wolimy być w swoim towarzystwie. Poza tym Toni stoi na niezachwianym stanowisku, że włoscy gastronomowie to zbrodniarze - w przeciwieństwie do niemieckich, ma się rozumieć, bo u nich zgadza się „stosunek jakość do cena”.

Niestety, w całym Termoli nie ma żadnego niemieckiego lokalu, jest tylko McDrive, ale tam nikt nie chce iść, poza Tonim. Decydujemy się jednak na włoską knajpę. Podczas tego wypadu Antonio Marcipane zachowuje się jak szef rady nadzorczej międzynarodowego koncernu. Nie ulega żadnej wątpliwości, że musi wejść do restauracji jako pierwszy, by przedstawić się tamtejszym podwładnym. Jego nazwisko

brzmi Marcipane i przybył tu z rodziną. Czy obsługa poradzi sobie z podaniem wszystkim jedzenia i picia, bardzo proszę.

To robi wrażenie. Przesuwane są stoły i krzesła, a wszyscy sadowią się, co trwa dobrą chwilę, bo najpierw trzeba podyskutować o tym, kto gdzie zajmie miejsce. Ciotka Maria na przykład nie może siedzieć plecami do ściany, bo jest to dla niej niemiłe. Wujek Raffaele natomiast chce tylko plecami do ściany, bo jest praktycznie głuchy i może rozpoznawać głosy tylko wtedy, gdy wie, że nikt za nim nie siedzi. Mnie jest w zasadzie obojętne, gdzie usiądę, ale chciałbym obok Sary, ponieważ w przeciwnym razie nie będę rozumiał żadnej rozmowy. Sara zaś chce zająć miejsce blisko swojej matki, a Ursula nie chce koło drzwi, gdzie jednak koniecznie musi siedzieć Toni, aby mógł mieć na oku kuchnię, co tu jest przecież niezbędne. Inna ciotka Maria siada naprzeciwko wujka Egidia, a Marco usiadłby chętnie tam, gdzie mógłby szybko wstać, gdyby zadzwonił jego telefon. Gianluca chce dostać miejsce koło Barbary, ale gdzie ona chce siedzieć, nikt nie wie, ponieważ stoi jeszcze przed drzwiami i rozmawia przez telefon, a więc musimy czekać, aż się w końcu pojawi. Dzieci nie potrzebują miejsc, bo i tak nie potrafią usiedzieć spokojnie. Po półgodzinie zamieszanie stopniowo się uspokaja i zanim jeszcze zdążymy cokolwiek zamówić, cały lokal pustoszeje. Nawet dla Włochów jesteśmy raczej osobliwą kompanią.

Antonio rozkłada przed sobą bogatą kartę dań i przy każdej potrawie pyta kelnera, czy naprawdę jest dobra. Małże? Dobre są? Jagnięcina? Dobra? Czy kałamarnica jest dobra? Po tym, jak kelner przy każdej kolejnej pozycji zapewnił go, że jest doskonała, Antonio podniósł kartę nad głowę i zawołał z triumfem w głosie, że dobrze trafiliśmy, bo wszystko tu jest dobre.

I rzeczywiście wszystko jest dobre, w każdym razie aż do czasu podania kawy. Dochodzi wtedy do pierwszej i jedynej sprzeczki pomiędzy moją żoną a jej ojcem, szefem rady nadzorczej międzynarodowych zakładów Marcipane. Najpierw dziwię się, że Antonio przez cały czas namawia usilnie kelnera, żeby się do nas przysiadł. Ciągłe go zagaduje, ale młody chłopak odmawia, mówiąc, że szef mu zabronił. Sara wyjaśnia mi, co to znaczy: jeżeli kelner przysiadzie się do kogoś, musi też postawić kolejkę. Taki jest zwyczaj. Gdyby więc Antoniowi udało się posadzić kelnera obok siebie, musiałby postawić jedenaście kieliszków likieru. Ale nie chce. I Sara też nie.

- Zostaw tego chłopaka w spokoju! - syczy do ojca.

- Jak to? Miły jest - odpowiada w tonie niewiniątka.

- Chcesz tylko naciągnąć go na kolejkę.

- Ja? Bezczelność. Nie jesteś dobrze wychowana. Ursula, słyszałaś, co ona powiedziała?

Wszyscy przy tym stole - nawet ja - przejrzeni tego niskiego mężczyznę z gniewną twarzą, kelner oczywiście też. To tylko jeszcze bardziej złości Toniego. Rzuca swoją serwetkę na stół i opuszcza lokal. Zaledwie dwie minuty później wdzięczny kelner przynosi do stołu dziesięć kieliszków Averno.

Gdy wracamy, Antonio siedzi w piżamie na balkonie i sący lemoniadę.

- Musieliście pić niedobre wino w niedobry lokal. A patrzcie na mnie. Antonio zrobił tu sobie dobra lemoniada ze świeże owoc z trochę cukru.

Podnosi szklanę w toastie i cała złość znika. Niektórzy ludzie, nawet niektórzy Włosi, uważają, że Antonio Marcipane jest dziwny, ja natomiast uważam, że jest zadziwiający.

Jeszcze przed urlopem udało mi się namówić Antonia, żeby wracać pociągiem samochodowym. Właściwie nie z jego powodu, tylko dlatego, że w przeciwnym razie Ursula będzie musiała spędzić za kierownicą osiemnaście godzin albo jeszcze dłużej. Odcinek od Termoli do Rimini, skąd wyjeżdża pociąg do Niemiec, jest łatwy do pokonania, nawet dla niego. A więc wyruszamy, żegnamy się ze wszystkimi i tłuczemy się prawie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę do Rimini.

Tu Antonio nie chce wjechać swoim samochodem do pociągu. Jest za szeroki, żeby zmieścić się w wagonie, przecież on to widzi z zamkniętymi oczami. Pokażę mu innego mercedesa, ten sam model, który już stoi w pociągu. Nie, ten jest inny, wyraźnie węższy; czy ja tego nie widzę? Powoli mam tego dość. W tylu rzeczach brałem już udział, odkąd znam Antonia, ale teraz niestety moja cierpliwość się wyczerpała.

- Czy możesz raz, jedyny raz, wziąć się w garść i zachować się jak dorosły?

- Hej, hej, ostrożnie, drogi chłopak!

- I co? Bo znowu będziesz zły? Wypijesz ze złości lemoniadę, nikogo nie częstując?

Chcę go teraz sprowokować, chcę, by puściły mu nerwy. Ale moje słowa w ogóle do niego nie trafiają.

- Możesz sobie wyobrazić, że niewiarygodnie działasz mi na nerwy tą swoją jazdą?

- Jaką jazdą? Co masz na myśli?

- Ten wieczny numer z dobroduszością. Zawsze zabawny, zawsze zadowolony. To działa na nerwy. To „drogi chłopak” cały czas. Niekończąca się jazda w aucie bez celu, nie rozumiesz tego?

- To ty nie rozumiesz. Gdybyś miał moja życie, a ja twoja, to może byś rozumiał.

Po tych słowach odchodzi i wjeżdża swoim mercedesem do pociągu. Naprawdę go nie rozumiem, ale postanawiam próbować. Właściwie w ogóle nie wiem, kim jest ten człowiek.

W końcu odjeżdżamy i zaraz potem robi się ciemno. Mamy podwójny przedział z czterema łózkami, tak więc Sara i ja mamy czystą przyjemność słuchać chrapania Antonia. Tutaj nagle może doskonale spać. Ja nie. Me za to leży mi się dobrze. Łóżko w wagonie sypialnym wynagradza mi pewne rzeczy, także krokodyla, którego zostawiłem w domu. Chciał zostać w swojej ojczyźnie i ja to rozumiem.

Na krótko przed przystankiem w Monachium serwowane jest śniadanie. Antonio i ja wyglądamy przez okno.

- Patrz, to Rosenheim - mówię.

- Znam! - wykrzykuje wesoło jak dziecko. A potem: - Wiesz, znam dużo miasta na świecie. Jeszcze tam nie byłem, ale znam dużo.

Typowe przejęzyczenie Antonia.

Ciekawe, że po tylu latach w Niemczech ciągle jeszcze tak słabo mówi po niemiecku. Pytam go, dlaczego tak jest.

- Uważasz, że mój niemiecki jest słabo? Nie jest słabo, uważam.

- Ale dobry też nie jest.

- Wiesz, to jest taki trik. Ludzie myślą, Antonio rozumie nic, ale on wszystko rozumie. Jestem genialny, prawda? No powiedz, jestem genialny?

- Oczywiście, że jesteś genialny.

- Nie jestem głupi. Wiesz, jak to jest z głupimi?

- Powiedz mi.

- To jest bardzo proste: Bóg robisz głupich, a diabeł ich podwaja.

I wybucha śmiechem przypominającym syrenę alarmową.
Antonio Marcipane, szef rady nadzorczej Marcipane spółka
akcyjna.

Rozdział czwarty

Kilka miesięcy później dostajemy pocztę z Campobasso. Wiadomość o ślubie Pameli i Paola przychodzi w cytrynowożółtej kopercie. Narzeczeni powiadamią nas, że żałują swojej nieobecności na naszym ślubie, ale tym bardziej byłoby im miło, gdybyśmy przyjechali na ich uroczystość. Pamela jest córką ciotki Marii i wujka Raffaele.

Nadszedł chyba czas, by wyjaśnić koligacje rodzinne. Rodzinę Marcipane ze względu na jej wielkość można nazwać starotestamentową, ale sędzę, że są to najzupełniej normalne więzy rodzinne we włoskim prowincjonalnym miasteczku. Ostatnimi czasy udało mi się w pewnym stopniu rozplątać wewnętrzną sieć powiązań, do której na szczęście należą prawie wyłącznie członkowie rodziny Marcipane. Gotowi? To zaczynamy.

Podstawę klanu tworzą oczywiście nonna Anna i obecny w powszechnej pamięci dziadek Calogero Marcipane. Oboje mają ośmioro potomków: Raffaele jest najstarszy, ożenił się z Marią, z którą ma troje dzieci: Antonia, Carmine i Pamelę, wszystkie jak do tej pory stanu wolnego i dlatego oczywiście bezdzietne. Dalej mamy mojego teścia, Antonia, z jego rodziną, potem ciotkę Marię, żonę Egidia. Ich syn to kobieciarz Marco, nie ma dzieci, o których by wiedział. Najmłodsza z sióstr nazywa się Emma i wyszła za mąż za Federica. Mają trzech synów, z których znam tylko jednego, mianowicie Gianlucę, poznałem też jego żonę Barbarę i ich niegrzeczne dzieci: Antonia i Ilarię. Piątym dzieckiem Anny i Calogera jest Matteo, który ze swoją żoną Marią ma czworo dzieci. Są to: Antonio, Enrico, Sabrina i Vasco. Sabrina wyszła za Nicolę, mają dwoje dzieci, Marię i Antonia. Antonio (syn Mattea, nie Nicoli) i Enrico ożenili się z Mariami, przy czym Antonio i Maria mają dwie córki, natomiast małżeństwo Enrica i Marii jest bezdzietne, co często

jest tematem rozmów. Tematem nie jest natomiast Vasco. Ma to związek z jednej strony z tym, że już od dawna mieszka w Mediolanie, a z drugiej z tym, że jest gejem.

Synowie z numerami startowymi sześć, siedem i osiem nazywają się Carlo, Davide i Furio. Także oni są żonaci i mają dużo dzieci, z których znowu kilkoro ma już swoje własne rodziny i dzieci. Wiele z nich nazywa się Antonio albo Maria. Są więc Antoniowie, którzy równocześnie mogą być synem, bratem, ojcem, wnukiem, kuzynem, wujkiem i bratem dziadka. Do tego dochodzą jeszcze różni kuzyni i kuzynki oraz niezliczona ilość szwagrów i szwagierek. Calogero miał bowiem jeszcze dwóch braci, między innymi starszego o imieniu (niespodzianka!) Antonio, ojca zwariowanego Benita. Siostra Calogera wyszła za jednego z rodziny Carduccich, co później zostało uznane za przyczynę wszelkiego zła, Znacze już historię z autem.

By dopełnić zagmatwania, administracja miasta w Campobasso w 1951 roku popełniła poważny w skutkach błąd: przy narodzinach siostry Antonia, Marii, wpisano do świadectwa urodzenia niepoprawne nazwisko - Marcipano zamiast Marcipane. Gdy Calogero zgłosił reklamację, nie chciano skorygować błędu, bo świadectwa urodzenia są rzekomo już wiążące - w innym wypadku każdy mógłby przyjść i chcieć zmienić swoje nazwisko; i dokąd by nas to zaprowadziło, i czego on właściwie chce, nazwisko Marcipano ma solidne brzmienie. Żeby zaś teraz Maria nie była jedyną Marcipano wśród samych Marcipane, przy narodzinach Mattea Calogero zdecydował, że on także będzie się nazywał Marcipano. Administracja nie zwróciła na to uwagi i tak nazwisko usamodzielniało się także w przypadku Carla, Davide i Furia. Wszystko jasne?

Rzeczony list przyszedł więc od Sary kuzynki, Pameli, którą znam od czasu pogrzebu i lubię. Wygląda jak poduszka

na sofie i śmieje się chętnie i głośno. Mężczyzna, którego zamierza poślubić, nazywa się Paolo i jest kochanym leniuchem, który najbardziej lubi mieć święty spokój.

W liście jest także napisane, że Pamela bardzo by chciała, aby Sara pomogła jej trochę z makijażem.

- Musimy tam jechać! - woła Sara podekscytowana.

- Prawdziwe włoskie wesele, będzie naprawdę super.

- Czy ktoś z nich był na naszym weselu? - pytam z niezadowoloną miną.

Myśl o wielkiej zabawie z udziałem wszystkich Marcipane napawa mnie lekkim strachem. Poza tym wiem, kto będzie nosił bagaże.

- Daj spokój, będzie wesoło.

Sara jest już w nastroju wyjazdowym, w takich momentach nie można z nią dyskutować. Poza tym ma rację. Tam będzie nawet bardzo wesoło.

- Co im damy w prezencie? - pyta Sara.

- Mamy przecież jeszcze tego łabędzia z porcelany - zastanawiam się głośno. Uważam, że to dobry pomysł. Łabędź mieszka w naszej piwnicy. To bardzo biedny łabędź. W tej chwili w otworze na jego grzbiecie znajdują się śrubki i kilka kołków. Nigdy, ale to nigdy nie napełnialiśmy go cukierkami.

- Chyba zwariowałaś - odpowiada Sara. - Nie możemy im podarować naszego własnego prezentu. Poza tym na pewno już taki mają.

Będziemy musieli zatem wymyślić coś innego.

Wieczorem dzwoni Antonio. Rozpływa się w zachwytach. Poza tym uznaje, że Paolo to naprawdę dobra partia.

- To dobry człowiek - mówi i dodaje tonem znawcy: - Paolo jest syn Coopów w Italii.

Tego jeszcze nie wiedziałem. Później Sara objaśnia mi, że Paolo wcale nie pochodzi z włoskiej rodziny, do której należy sieć Coop, lecz jest synem lokalnego właściciela

supermarketu. Odpowiada tam za przyjmowanie towaru i układanie go na półkach. Ale poza tym jest miły.

Kilka tygodni później udajemy się na poszukiwanie prezentu. Sara naradziła się wcześniej z ciotką Marią. Ta optuje za zastawą śniadaniową - łatwe zadanie. Decydujemy się na osobliwy komplet z motywem arlekinów. Na dużych talerzach skaczą weseli klauni, małe talerzyki ozdobiono balonikami. Gdybym musiał na czymś takim jeść śniadanie, to od razu wróciłbym do łóżka, żeby się odstresować. Te wariackie talerze są tak okropne, że Sara jest absolutnie pewna, że Pamela i Paolo je pokochają. A to przecież najważniejsze. Papier do pakowania prezentów jest różowy. Napisano na nim w wielu językach „Wszystkiego najlepszego”.

Wyruszamy więc w podróż i docieramy do Campobasso w piękny majowy wieczór. Podobnie jak podczas naszej pierwszej wizyty, śpimy w pokoju gościnnym nonny Anny. Zanim nam otworzy, słyhać, jak mocuje się z zamkami. Wieczność mija, zanim drzwi się otwierają i jej mała główka wyłania się z ciemności. Szczypie mnie mocno w policzek na powitanie.

Wydaje się, że od czasu pogrzebu męża jeszcze bardziej się skurczyła. Idzie pochylona, w swoich siwych włosach ma mnóstwo kłamek i spinek. Mieszkania już prawie nie opuszcza - mruczy, że nie ma ochoty. W korytarzu stoi zdjęcie Calogera, obok którego pali się świeczka z wizerunkiem ojca Pio. Ojciec Pio uczynił wiele cudów, jednak Calogero nie zmartwychwstał. To smutne, ale jedynym cudem, z którego nonna Anna naprawdę by się ucieszyła, byłby cud śmierci. Raz w tygodniu wujek Egidio wozi ją na grób Calogera, gdzie wymienia kwiaty i głaska fotografię swojego męża. Reszta świata, która tu, w Campobasso, przykręca talerze satelitarne

do ścian domów i papla do maleńkich telefonów, dla niej nie istnieje.

Nonna Anna bardzo się stara, by nam się u niej podobało. Dlatego zadzwoniła do wszystkich najważniejszych członków rodziny i powiedziała im, że przyjeżdżamy, tak byśmy wszyscy już pierwszego wieczoru mogli wspólnie zjeść kolację. Na piecyku paruje wielki garnek, będzie minestrone.

Wkrótce są już wszyscy, którzy są głośni i ważni: Marco, Gianluca i dzieci, ciotka Maria, wujek Egidio, Matteo i kilku innych, którzy mimochodem całują nas na powitanie, jakbyśmy, Sara i ja, przyszli tylko na chwilę z sąsiedniej wioski. Rodzina spotyka się często, właściwie kilka razy w tygodniu w różnym składzie. Miejscem spotkań jest zawsze dom nonny Anny, nawet jeżeli zamieszanie z tym związane zdaje się ją denerwować. Ponieważ wszyscy tak często się widują, każdy jest dokładnie o wszystkim poinformowany. Opowiadane są różne historie, potem ogląda się telewizję albo dyskutuje o liczbach w lotto.

Tego wieczoru głównym tematem rozmów w mojej rodzinie jest los pewnego Giovanniego Bozziego, sąsiada wujka Raffaele i ciotki Marii, który w trzecim pokoleniu handlował guzikami, ale niedawno został aresztowany, ponieważ - jak się okazało - handlował nie tylko guzikami, lecz także wekslami. Pochodziły one z kasyna, które trzy razy w tygodniu prowadził po pracy na zapleczu sklepu. Przez wiele lat pozostawało ono nieodkryte przez policję, ponieważ signor Bozzi skutecznie przekonał urzędników, że w żadnym wypadku nie chodzi o nielegalną jaskinię hazardu. W jego prywatnym klubie gier nigdy stawką nie są pieniądze, jak tłumaczył, tylko guziki z jelenich rogów. Tymi guzikami administruje on, a każdy gracz ma swoje konto. To przecież nic takiego.

Oczywiście ani przez sekundę nie grano na guziki, służyły one raczej za żetony, które po wejściu do Cafe Bozzi, jak nazywało się jego zaplecze sklepowe, należało wykupić po zbójckim kursie u jego żony Elviry. Sam Bozzi prowadził salon i sprzedawał letnie piwo Peroni po 12 tysięcy lirów za butelkę. W końcu Bozzi zarobili na kasynie tyle pieniędzy, że kupili sobie piękny dom w Bari, gdzie jednak rzadko jeździli, ponieważ signor Bozzi musiał przecież prowadzić kasyno. Gdy ten czy inny gracz zaciągał długi u Bozziego, ów wystawiał kwity dłużne, co było błędem, bo nikt nie mógł ich wykupić. Z zabawy robiła się więc stopniowo poważna sytuacja. Gdy bowiem Bozzi zauważył, że owe weksle są zupełnie bezwartościowe, sprzedał je handlarzowi aut, który szybko, w porozumieniu z rodzeństwem, zapytał dłużników, kiedy zamierzają spłacić swoje długi.

Wśród dłużników był także Gordone, właściciel sklepu rybnego, którego żona wyjawiała całą historię staremu księdzu Alfredo na spowiedzi. To ten sam zaprzyjaźniony z rodziną duchowny, który wygłaszał kazanie po śmierci Calogera. Rozmowny ojciec Alfredo opowiedział o sprawie prefektowi policji, a ten schwytał w końcu Bozziego. Sklep z guzikami prowadzi nadal jego żona, ale interes nie idzie już tak dobrze, odkąd Bozzi został aresztowany.

- Biedny Giovanni - ubolewa wujek Raffaele. - Szkoda takiego pięknego sklepu z guzikami.

Jego kwit dłużny, jak się później dowiaduję od Gianluki, rozliczono mu niedawno przy zakupie nowego samochodu, w ramach rabatu. Właściwie nie potrzebował żadnego auta, ale sprzedawca wyjaśnił wujkowi, że to nie on o tym decyduje.

Oprócz minestrone na kolację jest jeszcze pizza, którą przyniósł Marco. Pokrojono ją wielkimi nożycami na poręczne kawałki i rozdzielono. Dobrze się przygotowałem na

tę kolację i postanowiłem nie jeść więcej, niż sam zechcę. Będzie, co ma być.

- Weź kawałek.
- Dziękuję, naprawdę się już najadłem.
- Szkoda, Marco kupił ją specjalnie dla ciebie.
- Wiem, to bardzo miłe, ale więcej nie dam rady. A teraz

najnowszy trik w repertuarze nonny Anny:

- Rozumiem, że w Niemczech pizza jest na pewno lepsza.
- Wcale nie, nie. Ta jest doskonała.

I dalej w tonie największego rozczarowania:

- Gdyby była taka doskonała, tobyś ją zjadł.
- Ale ja już ją przecież jadłem.
- Jesz jak wróbelek.
- Nie, zjadłem cztery kawałki.
- To jeden więcej czy mniej nie robi różnicy.
- No dobrze. Który mam wziąć?

Po jedzeniu podano limoncello, rodzaj likieru cytrynowego, który ma zapach kostki klozetowej. Nie lubię tego, ale w żadnym wypadku nie wolno odmawiać. Po tym, jak w przeszłości odmówiłem wypicia limoncello, nonna Anna także tutaj obmyśliła nową taktykę, by mnie przekonać. Nie żąda już ode mnie, żebym je wypił, lecz mówi:

- Spróbuj.
- Nie, dziękuję.
- Tylko spróbuj.
- No dobrze.

Maczam lekko usta w likierze i oddaję kieliszek. Na to ona:

- Teraz pobrudziłeś kieliszek, więc musisz to już wypić.

Piję.

Są różne warianty tego przedstawienia, w którym chodzi o wątróbkę albo deser. Co ciekawe, tylko ja zawsze jestem kozłem ofiarnym troski nonny Anny. Inni mówią po prostu

basta i odkładają serwetkę na stół. Tylko ja muszę zawsze jeść, jeść, jeść. Kiedyś wujek Egidio, którego bardzo cenię za rubaszny humor, wskazując wykałaczką w moim kierunku, stwierdził:

- Gdyby nasza nonna go nie miała, musiałaby trzymać świnię.

Wszyscy się śmiali. Ja jadłem.

Kiedyś próbowałem uderzyć w nią jej własną bronią. Podczas obiadu co dwie minuty kładłem jej sałatkę pomidorową przed nosem i mówiłem:

- Weź sobie sałatki. Nonna, weź sałatki. Tutaj, nonna, weź sałatki.

Po trzecim razie odłożyła widelec i nóż, popatrzyła po wszystkich i ku ucieście obecnych jęknęła rozwlekłe po neapolitańsku:

- Ej, zabierzcie mu wreszcie tę miskę! Ten facet próbuje wciskać mi moją własną sałatkę.

Jeszcze dwa dni do wesela, największego wydarzenia w życiu Pameli i Paola. Odwiedzamy młodą parę, która wbrew przyjętym zwyczajom już mieszka razem. Mają duże mieszkanie na nowym osiedlu na peryferiach miasta, które w całości wyłożone płytkami, sprawia wrażenie hali łazienkowej. Na sofie siedzą różnego rodzaju pluszaki, w tym także klauni. Zastawa śniadaniowa wpisze się więc z pewnością znakomicie w całość wystroju.

Paolo pokazuje nam ich album weselny. Chwileczkę, album weselny? Ślub jest przecież dopiero pojutrze. Tak, tak, wyjaśnia mi Paolo, ale taki album robi się wcześniej. Album znajduje się w skórzanym pudełku i waży około pięciu kilo. Na poszczególnych stronach umieszczono tylko po jednym zdjęciu - to robi wrażenie. Profesjonalny fotograf przedstawił w formie foto story drogę zakochanych do siebie. Większość stylizowana jest na historię z lat pięćdziesiątych. Album

otwiera fotografia Paola pozującego w białym garniturze przed bugatti. Zdjęcie, podobnie jak wiele innych, jest czarno - białe z efektem sepii. Na następnej stronie Pamela przeciąga się z tęsknym wzrokiem na szeszlangu. Historia się rozwija. Mniej więcej na trzydziestej stronie para spotyka się wreszcie przy drodze, na której Paolo ma awarię swojego bugatti, a Pamela życzliwie podaje mu emaliowaną konewkę, z której ten nalewa wody do chłodnicy i na swoją koszulę. Na następnym zdjęciu całują się. Potem wszystko idzie już bardzo szybko. Na kolejnych dziesięciu stronach pokazane są przygotowania do ślubu, potem kilka lekko erotycznych fotografii Paola i Pameli w czasie nocy poślubnej. Przy tych zdjęciach wymieniane są porozumiewawcze uśmiešky. Specjalizujący się w tego rodzaju albumach fotograf przez okrągły tydzień pracował według wskazówek pary. Całe to panoptikum miłości kosztowało trzy miliony lirów, łącznie z kostiumami i bugatti.

Także w rozmachu wesela widać szczodrość. Zaproszono stu pięćdziesięciu gości. Większość z nich należy do obu rodzin młodej pary. Tylko nieliczni odmówili: na przykład małżeństwo Bozzich nie może niestety przybyć. Lokal będzie pełny, a nawet podwójnie pełny, bo piętro niżej zarezerwowano inną salę na wesele o porównywalnej liczbie gości.

W weselny poranek panuje duże zdenerwowanie. Ksiądz Alfredo zakrztusił się wczoraj wieczorem kostką kurczaka i kazał poinformować, że z powodu niekończącej się czkawki absolutnie nie jest w stanie wygłosić kazania. I co teraz? Mój teść ofiaruje się, że go zastąpi, ale wujek Raffaele oponuje, mówiąc, że Toni, po pierwsze, nie jest duchownym, a po drugie, nie nadaje się do kazań, bo przy dłuższych przemowach brzmi to zawsze tak, jakby odczytywał manifest komunistyczny.

Naiwnie pytam żonę, czy nie może tego zrobić inny ksiądz z Campobasso. Jednak to absolutnie nie wchodzi w grę, ponieważ ojciec Alfredo w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat towarzyszył rodzinie Marcipane niemal we wszystkich tego rodzaju uroczystościach. Zostały trzy godziny, czkawka musi ustąpić, w razie konieczności przy użyciu siły. Delegacja rodziny Marcipane udaje się więc do ojca Alfredo, by go nastraszyć.

Po godzinie wracają i ogłaszają, że ojciec Alfredo w cudowny sposób został uleczony, amen. Punktualnie o jedenastej stoimy przed kościołem i czekamy na młodą parę. Ta ostatnia ma już za sobą wielogodziną sesję zdjęciową i filmową. Fotograf, z wytrzeszczonymi oczami i w kamizelce w kropki, jest także odpowiedzialny za kolejny oficjalny album zdjęciowy oraz obowiązkowy film: to wszystko należy do zwyczaju. Do wykonania filmu przyprowadził ze sobą pomocnika, który obsługuje kamerę wideo.

Sara i ja jesteśmy ubrani tak, jak się ubiera na wesele, w każdym razie w Niemczech. W odróżnieniu od pogrzebu Calogera nie czuję się tym razem zbyt elegancki, wręcz przeciwnie. Moja rodzina wyraźnie przesadziła, szczególnie ciotki w kwestii makijażu. Można odnieść wrażenie, że kręcą tu właśnie jakąś meksykańską operę mydlaną, której akcja rozgrywa się w środowisku przemysłowców.

Pamelę wciśnięto - niekoniecznie na jej korzyść - w bardzo obcisłą sukienkę ślubną i owinięto dużą ilością tiulu, przez co wygląda jak wielkanocna pisanka. Paolo natomiast, dla porównania, wygląda dość kalwinistycznie. Ma na sobie marynarkę od Spencera, a pod nią koszulę z falbankami oraz fioletowe spodnie z czarnymi lamówkami po bokach, do tego lakierki. Jego natapirowane czarne loki błyszczą w słońcu jak mewa nad Morzem Północnym po wycieku ropy. Antonio ma na sobie ten sam zestaw, co na naszym weselu. Sara, ja i

pewien całkiem przystojny mężczyzna jesteśmy jedynymi, którzy nie wyglądają na przebranych.

- To jest Vasco, kuzyn gej z Mediolanu. Nieźle, co?

Sara opowiada mi, że jako dziewczynka była zakochana w Vascu, podobnie jak inne dziewczyny z Campobasso. To, że ma się dziś tutaj zjawić, stało się zarzewiem wielkiego konfliktu, ponieważ niektóre ciotki homoseksualizm uważają za chorobę zakaźną i zupełnie poważnie martwiły się, że gdyby Vasco zaraził tym pana młodego, wesele mogłoby się nie odbyć. Ostatecznie zwycięża rozsądek i Vasco, który w dzieciństwie był bardzo zaprzyjaźniony z Paolem, może przyjechać. Swojego partnera zostawia jednak w Mediolanie.

Podczas ślubu mają miejsce wstrząsające sceny: matka Paola łka tak przeraźliwie, jakby jej syn właśnie zginął. Antonio tuż obok mnie też płacze, przez co Ursula żałośnie patrzy w sufit małego kościółka Chiesa di Leonardo.

- Co z nim? - szepczę mojej teściowej do ucha.

- Ledwo zna tych dwoje, ale to ten kościół wprawia go w smutek. I ojciec Alfredo. Zna go od dzieciństwa.

Czkawkę ojca Alfreda zastąpił zresztą suchy kaszel.

Po nabożeństwie ślubnym i obowiązkowych życzeniach znowu pojawia się fotograf i fotografuje co popadnie. Jego pomocnik nieprzerwanie wydaje polecenia zebrany, pogania nas przez plac kościelny niczym owce i na wszelki wypadek filmuje wszystko, nie zdejmując przy tym klapy z obiektywu. Po kilku minutach spostrzegł to Anselmo - tak się nazywa fotograf - i objechał niezdarnego pomocnika przed wszystkimi zebranymi od góry do dołu. Wystraszyło to nie tylko jego, który wykonuje dalej swoją pracę z drżącą kamerą, lecz także nas. Grzecznie ustawiamy się więc w każdej możliwej kombinacji przed bugatti i uśmiechamy się, jak tylko są w stanie uśmiechać się śmiertelnie wystraszeni ludzie.

Po dobrej godzinie jedziemy do restauracji w korowodzie aut. Niestety, ta połowa gości weselnych, która akurat jechała za Antoniem, przybyła z dużym opóźnieniem, co zupełnie niweczy plany obsługi restauracji. Już na parkingu wychodzi nam naprzeciw wściekły kucharz i pyta, czy całkiem postradaliśmy zmysły i czy potrafimy sobie wyobrazić, co to znaczy gotować dla trzystu osób. Przede wszystkim mówi do mnie, a ponieważ ja nic nie rozumiem, uśmiecham się do niego i mówię, żeby się zwrócił do mojego teścia.

Wchodzimy do pomieszczenia na pierwszym piętrze, które wygląda jak skrzyżowanie pałacu prezydenckiego Saddama Husajna z salonem Liberace. Kładziemy nasz prezent obok innych i stwierdzamy z zadowoleniem, że przynajmniej opakowanie odpowiada ogólnemu gustowi.

Z przodu sali miejsce zajmuje młoda para. Królują pośrodku długiego stołu, za którym wolno zasiąść także rodzicom, babciom, wujkom i rodzeństwu. Dla pozostałych są stoliki dziesięcioosobowe. Siedzimy wraz z dwoma kolegami z pracy Paola, z supermarketu, i ze zdecydowanie zbyt mocno pachnącą fiołkami jego ciotką i jej małżonkiem, moimi teściami i Markiem. Marco przyprowadził swoją nową dziewczynę, co do której nie jestem pewny, czy nie jest przebranym mężczyzną, ponieważ ma niższy głos niż ja. Na każdym stole stoi woda, do tego białe i czerwone wino w dużych butelkach.

Pytam Sarę, co jest w planie.

- Nic - odpowiada i wzrusza ramionami.

- Nic?

- Nic. Tylko jedzenie.

Włoskie wesele przypomina targowisko próżności. Bez długiego wstępu wystarczy powiedzieć, że chodzi tu o udowodnienie gościom, że ma się dość pieniędzy, by tak nakarmić stu pięćdziesięciu ludzi, żeby nie mogli już chodzić

prosto. A więc je się, je, i je przez dwanaście godzin. To wszystko wygląda tak, jakby Paolo chciał zemścić się na swoich krewnych za każde wesele, na które był zaproszony. Teraz to wszystko dostaniecie z powrotem, pomyślał pewnie. Dobre włoskie wesele różni się od złego liczbą potraw.

Później dowiaduję się, że na ten przepych Paolo się zadłużył. Funkcjonują tu bowiem dość popularne kredyty weselne w bankach, tak by nikt nie musiał się kompromitować skromnym ślubem.

Liczyłem się z tym, że podobnie jak u nas w Niemczech, podczas wesela trzeba będzie słuchać nadętych mów albo oglądać kompromitujące scenki rodzajowe, w których życzliwi przyjaciele naśladują najważniejsze wydarzenia z życia pana młodego związane z poszukiwaniem jego wybranki, co często prowadzi do konsternacji zebranych, czasami nawet do burzliwych sporów. Spodziewałem się też, że szybko będzie można poluznić krawat, napić się dużo wina, a później w nocy wypalić wspólnie z panem młodym papierosa na parkingu. Oczywiście tu jest inaczej.

Jestem już po piątym daniu (grillowanej rybie z koprem włoskim) i nie byłbym w stanie nawet zapalić papierosa. Moja wina - za każdym razem jadłem wszystko do końca. Sara ostrzegła mnie co prawda już w domu: „Nie jedz wszystkiego, bo nie dasz rady”.

Ale ponieważ zostałem tak wychowany przez nonnę Annę, każdy stawiany przede mną talerz grzecznie wymiatałem do czysta. W brzuchu mam risotto i makaron, sałatkę koktajlową, jagnięcinę i rybę, i więcej już nie mogę. Niestety nie jest to nawet połowa uczyty. Pogryzając szóstą potrawę, małą, ale budzącą wstręt roladę cielecą, zauważam, że kelnerzy przynoszą nie tylko danie, lecz także folię aluminiową. Jest bowiem przyjęte, że jedzenie zabiera się ze sobą do domu, bo przecież szkoda by było je wyrzucić.

Prawdopodobnie tym można wytłumaczyć wielkie torby, które przyniosły ze sobą panie.

Gdzieś pomiędzy siódmym a dziewiątym daniem znika mój teść. Ursula wychodzi, by go poszukać, ale po kilku minutach wraca, nie znalazłszy go. A co, jeśli miał zawał serca w toalecie? Albo kłóci się z kucharzem w kuchni? Sara pyta fotografa Anselma, ale on też nie widział Antonia.

- Czy możesz go poszukać? - prosi mnie Sara, która poważnie się martwi, ponieważ Antonio już raz się zgubił.

Jechali wtedy autokarem do Wiednia, a zniknął w zajeździe koło Norymbergi. Kiedy kilka godzin później zdenerwowana na dobre Ursula zawiadomiła policję, zadzwonił do mnie i do Sary. Jego głos brzmiał tak, jakby był w kosmosie, ale nie był w kosmosie, tylko w Pradze. Po przerwie na toaletę wsiadł do niewłaściwego autokaru i wraz z klubem kręglarskim z Wiesbaden pojechał do Czech. Ci ludzie byli tacy mili, opowiadał później. Dlatego nie zauważył, że siedzi w nie swoim autokarze. A poza tym Praga jest o wiele ładniejsza niż Wiedeń i Ursula koniecznie musi tam pojechać, bo naprawdę warto.

Szukam więc Antonia w kuchni, na parkingu, w sąsiednim barze, wreszcie w męskiej toalecie, gdzie przyłapuję tylko dwóch młodych chłopaków na paleniu papierosów.

W końcu przechodzę obok sali, gdzie bawi się inne towarzystwo. I kogo tam widzę? Gwałtownie gestykulującego Antonia, który stoi przed parą nowożeńców i przekonuje ich do czegoś. Pozostali goście przyglądają się temu z największym napięciem. Podchodzę do niego równocześnie z pewnym korpulentnym panem, który przygląda mi się, jak sędzia najwyższy skazanemu na śmierć.

- Tu jesteś, Toni.

- Gdzie wy wszyscy są? Przychodzę z toalety i nikt nie ma.

Okazuje się, że mój teść spokojnie zjadł dwa dania na niewłaściwym weselu, ale potem został przepędzony przez pewnego grubianina, który twierdził, że Antonio siedzi na jego miejscu. Następnie poskarżył się nowożeńcom na brutalne traktowanie i poinformował ich, że nie jechał tu czterystu kilometrów (według rachuby Antonia), żeby jakiś tłuścioch pozbawiony dobrych manier, jak ten tu, popsuł mu ten dzień i że takie coś w Niemczech nigdy by się nie zdarzyło.

Rzeczony tłuścioch to brat narzeczonego. Dokładnie w chwili, gdy Antoniowi grożą cięgi, na scenie pojawia się ja. Brat rozpina właśnie guziki mankietów koszuli. Z powodu nieznamości języka mój wkład w rozwiązanie konfliktu bez użycia przemocy wyraża się tym, że ciągnę Antonia za ramię. Ten wcale nie widzi, że igra ze swoim życiem.

- Toni, chodź już.

- To nie jest sposób, jak traktować gości.

- To nie jest też wesele, na które jesteś zaproszony.

- Nie jest?

- Czy ta kobieta wygląda jak twoja bratanica Pamela?

Nie, oczywiście, że nie, bo ta panna młoda jest wyraźnie ładna. Antonio nie mógł tego nie zauważyć.

- Ach, nie ta zabawa.

Mój teść zaczyna się teraz niestosownie śmiać, co tłuścioch bierze do siebie i ciągnie go za drugie ramię. Teraz Antonio pokazuje sztuczkę, którą widziałem już u niego kilka razy: natychmiastowe wmanewrowanie przeciwnika w sytuację kryzysową i próba odwrócenia ról. W ciągu kilku chwil atmosfera się zmienia. Wreszcie podaje grubemu rękę, następnie staje przed nowożeńcami i mówi do mnie:

- Zostaliśmy serdecznie zaproszeni do tego cudowne święto.

- Toni, przede wszystkim jesteście serdecznie zaproszeni tam, na górę. Uciekajmy stąd.

W końcu odrywam go od jego nowych przyjaciół i idziemy na górę.

- Jak to zrobiłeś? Co im powiedziałaś?

- Powiedziałem tylko, że wino na naszym weselu smakuje jak ośle siki i dlatego chciałem się napić porządne wino i że to weselo jest lepsze niż na góra i dlatego on musi być zadowolony za honor, jaki mu ukazałem.

No, to na pewno ucieszy Paola.

Gdy docieramy do sali w stylu pomnika Liberace, jest właśnie po jedenastym daniu, co mi akurat nie przeszkadza. Ursula i Sara, widząc nas, oddychają z ulgą. Makijaż Pameli rozpląnął się w międzyczasie, a Paolo patrzy zza swojej góry jedzenia, jakby do głębi żałował całej tej imprezy. Tak wygląda zmęczone szczęście miłosne. Nie dziwi więc, że Anselmo zrobił zdjęcia nocy poślubnej już w ubiegłym tygodniu. Twierdzą z absolutną pewnością, że tych dwoje dziś już niczego więcej nie skonsumuje, a już na pewno nie swojego małżeństwa. Fiołkowa ciotka obok mnie lekko drzemie i mruczy przy tym jakąś piosenkę. Towarzystwo na chwilę ożywa, bo zbliża się tort.

Chodzi o ogromne wielopiętrowe monstrum z masła, jajek, śmietany i cukru w kolorach: różowym, ciemnoróżowym, purpurowym, fioletowym i białym. Na czas prezentacji tego dietetycznego koszmaru zgaszono światła w sali. Czterech mężczyzn wnosi do sali monstrum, na którym iskrzą się sztuczne ognie. Ups! Staruszka obok mnie nagle się przebudziła i przewróciła moją szklankę z wodą.

Taki kawałek tortu, jako słodka przekąska przed snem, brzmi nieźle, jednak zanim go dostanę, minie jeszcze z godzinę, bo najpierw Anselmo musi go sfotografować. Na tym nie koniec. Każdy ma się ustawić przy torcie. Najpierw

oczywiście młoda para z rodzicami. Potem z dziadkami. Następnie z rodzeństwem. Z kuzynami. Z wujkami. Z ciotkami. Z wujkami i z ciotkami. Z księdzem. I tak dalej. Wreszcie jest też zdjęcie, na którym jestem ja i Sara z młodą parą. Jest jeszcze fotografia z Vaskiem, z Benitem, z jakimś starcem bez zębów, ze mną i z nowożeńcami. Myślę, że Anselmo uznał to za zabawne.

Po torcie jestem trochę zmęczony. A jak muszą się czuć Paolo i Pamela, którzy są na nogach od czternastu godzin? Ale najszcześniejszy dzień ich życia jeszcze się nie skończył, a właściwie zabawa dopiero się zaczyna.

Po pierwsze, podają teraz tak zwaną zupę o północy dla wszystkich, którzy od dziesięciu minut nie dostali nic do jedzenia. Po drugie, do sali wchodzi organy Bontempi wraz z muzykiem. Stoliki w mgnieniu oka ustępują miejsca niezwykle Magic Manfredino, który oprócz fałszywych zębów prezentuje także fałszywe włosy oraz kolorowy wachlarz fałszywych tonów, które hojnie rozdaje ludowi.

Wielka zabawa. I to prawie na trzeźwo, bo tu naprawdę niewiele się pije. I jest śmiesznie, szczególnie gdy fiołkowa ciotka postanawia ze mną zatańczyć. Na szczęście pomocnik Anselma robi z tego kilka ładnych zdjęć.

Antonio i Ursula już dawno poszli spać, możliwe też, że zmienili tylko wesele, lepiej rozejrzę się później jeszcze za nimi. Vasco tańczy z panną młodą, wszyscy klaskają. Moja Sara sunie przez parkiet z wujkiem Egidiem, transwestyta zawiesił się na starszym mężczyźnie z łysiną, któremu się to podoba. Przy odsuniętych na bok stolikach siedzą starsi goście i szepczą między sobą. Magic Manfredino to artysta estradowy starej szkoły. Dawkuje napięcie swojego programu: najpierw gra międzynarodowe evergreeny, potem nowsze szlagiery, a na końcu tradycyjną muzykę ludową.

Później łapię moją Sarę i w końcu tańczymy. W przeciwieństwie do mnie ona dobrze sobie radzi z tarantelą, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Obok nas tańczy jakiś chłopak z kelnerką, i nie wygląda to idiotycznie. Przychodzi mi na myśl, że godność tkwi niezmiennie w ludziach i że jest jej obojętne, gdzie ci ludzie akurat się znajdują. Bawimy się w restauracji Mazzini, pierwsze piętro, sala numer dwa. Niezwykła noc.

Rozdział piąty

Często wracamy myślami do tego wesela i cieszymy się, gdy dwa miesiące później dostajemy kasetę wideo ze wspomnieniowym „The Best of...”, na której nagrano trzy godziny zabawy. Opus magnum Anselma zawiera nie tylko śmiałe ujęcia i bardzo eksperymentalne perspektywy, lecz także liczne triki dodane w ramach tak zwanego post production, z których płynne przejścia jednego ujęcia w drugie oraz fragmenty z zastosowaniem filtra zmiękczonego są jeszcze najmniej zdumiewające. Najbardziej podobają mi się sceny w trybie podzielonego obrazu początku filmu, w których jesteśmy świadkami porannej toalety Pameli i Paola. On ubiera się po lewej stronie, ona po prawej, a sekundują jej przynajmniej cztery przyjaciółki i moja żona.

Mój status - postaci marginalnej - Anselmo potraktował poważnie i jestem zawsze albo w połowie zakryty, albo do znalezienia tylko przy dużej dozie wyobraźni. I dobrze.

Właściwie na dłuższą metę nie planuję już żadnej podróży do Włoch, nawet Sara chce tam pojechać najwcześniej w przyszłym roku. I naraz telefon od Antonia.

- Drogi chłopak, jak się masz?
- Dziękuję, dobrze, a ty?
- Zawsze dooobrze.

Następuje dłuższe sprawozdanie o jego stanie zdrowia oraz pewnych dolegliwościach, które zapewne nie pierwszy i nie ostatni raz wymienia, sapiąc i jęcząc. W końcu wyłuszcza właściwą sprawę. Komoda w korytarzu już od dawna mu przeszkadza, a więc zdecydował się ten przepiękny mebel wspaniałej niemieckiej produkcji podarować swojemu ulubionemu siostrzeńcowi, Marcowi. Ponieważ jednak Marco nie może go sobie odebrać, Toni sam musi mu go zawieźć.

- Aha, to udanej podróży - mówię, nie mając nic złego na myśli.

- Musisz też jechać. Nie mogę tego sam, to za ciężko dla stary Toni.

Pytam go, czy zamierza nieść komodę na plecach przez Alpy, ale słysząc jego śmiech syreny alarmowej, zrozumiałem, że siedzę już właściwie w jego samochodzie. Od początku byłem nieodzowną częścią tego planu. Nic dziwnego, że mnie tak szybko przekonał do transportu komody. Od czasu naszego wspólnego urlopu stale zadawałem sobie pytanie, co mnie w tym człowieku tak fascynuje. Nawet dla włoskich krewnych Antonio jest raczej ekscentryczną postacią. Czasami wpada w melancholię i siedzi godzinami w milczeniu, by następnie gorliwie naciągać szwy w kostiumach nerwowych swoich bliźnich. Miałem nadzieję, że nasza podróż mi to wyjaśni i się nie rozczarowałem. W końcu zostaliśmy nie dwa dni, lecz siedem, a między nimi leży całe życie.

Po tym, jak Antonio po mnie przyjechał, usadowił się wygodnie na fotelu pasażera i natychmiast zasnął. Z tyłu nie ma już miejsca dla niego, bo tam rozłożyła się leniwie komoda. Przejechał sześćset pięćdziesiąt kilometrów od swojego domu do naszego w bliskim rekordzie tempie dziewięciu i pół godziny, „tippe - toppe bez żadnej sytuacji pericolosa i żadne korek”.

Wyruszamy więc, żuję kanapki z serem, które dała nam moja żona, a Antonio swoim chrapaniem rozbawia mieszkańców terenów wzdłuż autostrady brennerskiej. Dziwne: w domu nigdy nie śpi, w podróży - zawsze. Może powinien sobie kupić łóżko obrotowe do sypialni?

Na południowym krańcu jeziora Garda Antonio budzi się i od tego momentu mówi już bez przerwy aż do samego Campobasso. Gdzieś na wysokości Bolonii wyjaśnia mi fenomen Silvia Berlusconi: „On jest imbroglione, oszust, ale ma sukces. Włosi nie lubią polityka, ale lubią sukces”.

Zgadzam się, w końcu włoscy piłkarze też najczęściej grają okrutny, ale skuteczny futbol. Zamiast się teraz obrazić, Toni wykrzykuje z zachwytem: „To jest to, dlaczego kochamy Niemców”.

Chwilę później zatrzymujemy się przy autogrillu, by kupić kanapki. Po tym, jak Antonio sumiennie wypytał się, czy każdy ich rodzaj jest dobry, bierzemy tramezzini i suche bagietki z serem.

Mniej więcej koło San Benedetto, na południe od Rimini, uczę się, dlaczego poręcze drogowe we Włoszech są zardzewiałe: „To od słone morze. Powietrze wieje od jedna strona do druga i dlatego jest corrosione. Ale nie szkodzi, trzeba wolniej jechać, wtedy tak nie boli”.

Tuż za zjazdem na Perugię dowiaduję się wszystkiego o Albanii, o tym, gdzie Antonio jeszcze nie był, o włoskim rybołówstwie i Mussolinim. Pięć godzin później docieramy na miejsce.

Po tym, jak nonna Anna uszczypnęła mnie w policzek, zeszli się ci krewni co zawsze i można było zasiąść do stołu. Zostałem już na tyle wprowadzony do rodziny, że nikt specjalnie się o mnie nie troszczy, ja po prostu jestem i to nikomu nie przeszkadza. Antonio tłumaczy wyczerpująco, ale raczej niezbyt wiernie, co nie ułatwia akurat konwersacji. Mimo wszystko jestem w stanie w jakimś stopniu śledzić najważniejsze tematy. Mój włoski jest już o wiele lepszy od czasu miodowego miesiąca. Sara nakazała mi wtedy pod jej nieobecność mówić takie oto włoskie zdanie: „Nie znam włoskiego, ale moja żona zna. Chwileczkę”. Gdy kiedyś w jakiejś restauracji musiała iść do toalety, przyszedł oczywiście kelner, żeby zapytać o coś w związku z zamówieniem, co przekraczało moje możliwości językowe. Wyrecytowałem zatem swoje zdanko. Kelner popatrzył na mnie zdziwiony i

zaczął się głośno śmiać. Potem zniknął, a w kuchni dał się słyszeć rechot.

Jak tylko Sara wróciła z toalety, opowiedziałem jej, co się stało i ona też zaczęła chichotać, co mnie zdenerwowało. Gdy kelner znów się pojawił, moja żona zaczęła sobie z nim żartować i oboje w najlepsze bawili się moim kosztem. W końcu żona wyjaśniła mi, że poinformowałem kelnera, iż nie znam włoskiego, ale mój sweter zna. Pomyliłem słowa „moglie” i „maglia”.

Znajomy opowiadał mi, że także zaliczył taką piękną wpadkę, gdy kiedyś w hotelu w Weronie zażyczył sobie pokoju z ładnym widokiem na dachy i do pani w recepcji powiedział: „Vorrei una camera con una bella vista sulle tette”. Kobieta wzięła to do siebie i pouczyła go, że w tym hotelu takich pokoi nie ma. Bagażowy przywołany do wyjaśnienia sprawy wytłumaczył mojemu znajomemu, że zamówił właśnie pokój z ładnym widokiem na cycki (tette), a nie na dachy (tetti). W porównaniu z tą historią udało mi się do tej pory bezwypadkowo poruszać się po włoskim obszarze językowym.

Następnego ranka wnosimy komodę do domu Marca, który właśnie w wieku trzydziestu jeden lat wyprowadził się od swoich rodziców i może dobrze spożytkować ów kawałek porządnej niemieckiej roboty. Historia z dziewczyną jest już nieaktualna. Na moje pytanie, jak ona się ma, Marco odpowiada dyplomatycznym frazesem: „Nie miała właściwego nastawienia”. To zostawia szerokie pole do domysłów. Duszę w sobie dalsze pytania i zajmujemy się komodą.

Ta z pewnością została osobiście zrobiona przez Liczyrzepę z jakiegoś pnia dębu. Na wąskich bokach znajdują się kunsztownie wyrzeźbione przez snycerza historyczne widoki Moguncji i Frankfurtu nad Menem, zaś podłużne

brzegi ozdobione zostały staroniemieckimi motywami bajkowymi. Są tu różne krasnale, konie, księżniczki. Mam wrażenie, że oni wszyscy siedzą w środku skrzyni, bo waży chyba ze czterysta kilo.

W domu Marca jest winda na monety. Tylko ten, kto wrzuci pięćset lirów, może nią jechać, zapobiega to ciągłemu psuciu jej przez dzieci. Oczywiście winda jest za mała na komodę, a więc musimy ją wnieść na górę po schodach. Na szczęście Marco mieszka na piątym, a nie, jak zapowiedział Antonio, na szóstym piętrze. Po wejściu na górę okazuje się, że mebel nie zmieści się w drzwiach wejściowych.

Na moje pytanie, jak to się stało, że wcześniej nie zmierzono, czy komoda nie jest za duża, wszyscy wzruszają ramionami. Pięćset kilometrów (rachuba Antonia) na nic. Oczywiście Antonio widzi to inaczej. Proponuje, by wyjąć spód komody i dookoła ściąć piłką piętnaście centymetrów, a potem ponownie przykręcić spód. Wszyscy uznają to za fantastyczny pomysł. Znosimy więc znowu mebel na dół, ponieważ odpowiedzialnym za wszelkiego rodzaju roboty z piłką jest Gianluca, który pracuje jako stolarz w zakładzie produkującym trumny, obok cmentarza, a to również dobrze się składa, bo będzie można odwiedzić Calogera.

Komoda, teść, Marco, Egidio i ja znowu pakujemy się do auta, którego tylna część groźnie ciągnie się po ulicy, i jedziemy na cmentarz. Tam przekazujemy skrzynię Gianluce i idziemy do grobu dziadka Calogera. W międzyczasie wszystkie przegródki w jego ścianie zostały wypełnione, można więc zacząć wypełniać nowy mur. W Campobasso umiera dużo ludzi. Gdy już wszyscy wymieniliśmy uwagi o tym, jaka piękna jest ściana, którą Calogero niegdyś otrzymał, robimy znak krzyża i wracamy do stolarni.

Gdy przyszlśmy, okazało się, że połowa Moguncji zniknęła ze skrzyni. Gianluca niewzruszenie przepiłowuje

królową Śnieżkę i ścina głowę krasnalowi, który tańczy z zajaczkami. Takimi drobnostkami moi krewni się nie przejmują. Kuzyn odważnie dobiera się do budynku Romer we Frankfurcie, następnie pod spód idzie nowa płyta wiórowa i zaledwie godzinę później Marco jest dumnym posiadaczem nowiuteńkiej komody z Niemiec.

Właściwie moglibyśmy teraz coś zjeść, może przejść się przez Corso Vittorio Emanuele, pospać trochę, a potem wrócić z pustym autem. Z tego jednak nici.

Tego wieczoru kategorycznie i uparcie odmawiam jedzenia po raz pierwszy od czasu mojego dzieciństwa. Podano dziś specjalność regionu - gotowane małe kałamarnice z grochem. Nie lubię owoców morza, a kałamarnic w szczególności. Unikam wszystkiego, co śliskie. Próbuję, napycham sobie usta grochem, mackami i neutralizującym smak białym chlebem, z trudem przełykam trzy duże łyżki. Ale mój przełyk się zamyka. Już ciepły, lekko spermatyczny zapach sprawia, że mam dość. Odsuwam więc talerz i pociągam duży łyk.

- Co z nim? - pyta nonna Anna.

- Co jest, drogi chłopak?

- Nic, nic. Włącza się nonna:

- Na pewno mu nie smakuje. Bronię się słabo:

- Ależ tak. Smakuje. Dobrze.

- Ale przecież widzę po tobie.

Jest mi obojętne. Nic nie mówię. Maria, która do tej pory jadła w milczeniu i słuchała, co mówią w telewizji, pyta:

- Nie jesteś już głodny?

Na to nonna Anna tonem lamentu:

- Marysiu, nie smakuje mu.

Tak się fatalnie składa, że wyjątkowo ma rację. Co teraz zrobić? Proszę Antonia, żeby dla mnie skłamał i mówię:

- Przykro mi, nie mogę. Nie potrafię. Proszę, powiedz jej po prostu, że nie jestem głodny.

Antonio tłumaczy jej oczywiście, że powiedziałem, że mi nie smakuje. No świetnie, wielkie dzięki! Teraz nonna Anna jest obrażona. Ale nie mogę tego zmienić. Gra po raz pierwszy zakończyła się na moją korzyść.

Następnego ranka Antonio jest śmiertelnie chory. Prawdopodobnie zatrzał się owocami morza i oświadczył, że nie może nigdzie jechać. Przez cały dzień siedzę z moją zapakowaną torbą w salonie i piję kawę, którą robi dla mnie nonna Anna. Staruszka jest żwawa i zdrowa jak ryba, kałamarnica nie wyrządziła jej żadnej krzywdy.

Nie jest też już na mnie zła, chyba dlatego, że wszystkich swoich sił potrzebuje teraz dla Antonia. Tego ostatniego dokładnie zbadał dottor Neri, który zdiagnozował coś w rodzaju szoku białkowego i zaordynował dwa dni odpoczynku w łóżku. Dzwonię do domu i proszę Sarę, by wzięła w moim imieniu urlop.

Siadam przy łóżku Antonia.

- Ty oszuście, nie chcesz po prostu jechać do domu - szepczę mu do ucha, by go pocieszyć.

- Tak, dobry Bóg uczynił taka sytuacja, że jesteśmy tu razem. Jutro ci coś pokażę, pójdziemy gdzieś.

- Jutro nigdzie nie pójdziesz, leżysz chory w łóżku.

- Muszę ci pokazywać, to jest ważne dla mnie i dla ciebie.

Patrzy przy tym na mnie boleśnie swoimi latarkowymi oczami i marszczy czoło jak piesek z kiwającą się główką na tylnej półce jego samochodu. Kładę się wcześniej spać, ale przedtem odwracam obraz z płaczącym chłopcem.

Rozdział szósty

Jestem świadkiem cudownego ozdrowienia. Ledwo co zgłosiłem urlop, mój teść znowu jest na nogach. Według nonny Anny odpowiada za to ojciec Pio, który w swojej dobroci usunął jego problemy żołądkowe. Już wieczorem Antonio z wielkim apetytem pałaszował makaron, a potem liczne plastry szynki z oliwkami i krakersami.

Nonna Anna zaproponowała mu zresztą, by spał w jej sypialni. On jednak odmówił. Nie mógłby spać na łóżku po stronie swojego ojca, wyjaśnia mi w nocy, stojąc w piżamie w drzwiach. Moją ofertę, by spał obok mnie, również odrzuca, sprawdza, czy okno jest otwarte i przez resztę nocy chodzi po mieszkaniu.

Rankiem, gdy się budzę, już od dawna jest ubrany.

- Idziemy do miasta - zapowiada, gdy piję poranną kawę.

Wyruszamy więc. Antonio maszeruje ulicami nowego miasta w górę stałe w kierunku Castello Monforte. Leży ono na szczycie wzniesienia, którego mocno trzymają się domy Campobasso, by ich nie zdmuchnął wiatr. Campobasso widać z daleka tylko z drogi do miasta z kierunku południowego. Północna strona góry jest zbyt stronia, by budować tam domy, a więc z daleka widać tylko zamek, który zdaje się samotnie strzec leżących dookoła wzgórz. Po stronie południowej góra jest kompletnie zabudowana małymi kolorowymi domkami. Tam zmierza Antonio. Na swoich krótkich nóżkach pędzi przez Via Petiti i zatrzymuje się w końcu na Via Orefici.

- To tu - mówi i obraca się do mnie.

- Tu jest co? - pytam.

- Porta Mancini, stara brama do miasta. - No i?

- Coś ci pokażę.

Idzie dalej przez bramę miejską, gdzie zaczyna się historyczna część Campobasso. To zupełnie inny świat, który nie ma nic wspólnego z zabudowanym i zabetonowanym

miastem. To świat Antonia. Labirynt wąskich uliczek i domów, z których wygląda wilgoć, których przewody elektryczne kiedyś zostały rozciągnięte na zewnątrz i teraz dyndają przy nich jak sznury do wieszania bielizny. Na niektórych rzeczywiście ona wisi.

Idziemy dalej w górę, dawno już straciłem orientację w tych uliczkach. Nasze kroki po kamiennych posadzkach odbijają się echem od żółtych i szarobiałych ścian. W końcu stajemy przed niezbyt szerokim domem, do którego - jak i do innych - da się dojść tylko przez wąskie kamienne schody. Nad drzwiami widnieje wyblakły napis: Vico Vaglia No. 9.

- Tutaj, w tym piękny dom, urodziłem się w rok 1938.

Antonio spogląda na mnie swoimi jasnoniebieskimi oczami i wskazuje na domek. Najpewniej jest niezamieszkały, okna są zabarykadowane, na niższym piętrze przyklejono na drzwiach plakat z zaproszeniem na zabawę taneczną. Obok jakiś bogaty człowiek odnowił z rozmachem swój dom, ale jest to jedyny zamieszkały budynek przy Vico Vaglia.

- Naprzeciwko mieszkał Scarperi, nauczyciel muzyki - mówi Antonio i wskazuje na inne schody, które znikają w mroku domów.

Idziemy dalej i dochodzimy w końcu do zamku. Stoimy teraz przy murze i spoglądamy w dół doliny. Jest wietrznie.

- Chodźmy do kawiarnia, jest zimno dziś. Wchodząc do Cafe Montefiori, Antonio zdejmuję czapkę z daszkiem i idzie prosto do mężczyzny za kontuarem. Ten ściska go mocno. Po tym, jak się już wycalowali, obaj podchodzą do mnie, a barman podaje mi rękę.

- Daniele będzie mi przerywać, gdybym mówił złe rzeczy.

- Jakie złe rzeczy? - pytam.

- Siadaj, mój drogi chłopak.

I Antonio zaczyna opowiadać. O tym, jak jego ojciec Calogero urodził się na Sycylii i jako dziecko wraz ze swoją rodziną (oraz wujkami, ciotkami i dwudziestoma krewnymi) szukali najpierw szczęścia w Kalabrii, gdzie jednak nie byli mile widziani, i jak w końcu trafili do Campobasso, in culo al mondo.

- Antonio, po co mi to wszystko opowiadasz?

- Bo powinneś to wiedzieć. Nikt na świecie już to nie wie. I byłoby szkoda. Ja mogę martwy jutro i nikt nie opowie całą historia.

Teraz zaczynam niektóre rzeczy rozumieć. Cały ten teatr z komodą był oczywiście tylko pretekstem, by mnie przyprowadzić do tej kawiarni. Zapewne nie podjąłbym takiej podróży, gdyby nie było praktycznego powodu. Albo stale bym mu odmawiał, a on mógłby - to zdaje się jest jego zmartwienie - z tego powodu umrzeć.

- Ale dlaczego ja?

- Bo nie jesteś głupia sałata.

Daniele śmieje się i stawia kawę na stoliku w swoim małym barze, w którym oprócz nas nie ma żywej duszy.

Antonio Carlo Marcipane urodził się 2 listopada 1938 roku w Campobasso. Jego matką była Anna, Piękna, jak nazywano ją w sąsiedztwie. W 1933 roku poślubiła Sycylijczyka zwanego Calogero Marcipane. Było to małżeństwo z miłości, chociaż nie wolne od zgrzytów, ponieważ rodzina Anny, Scalferowie, miała duży majątek, urodzajną ziemię i bydło. Calogero natomiast należał do ubogiej klasy napływowych, o których nikt dokładnie nie wiedział, co ich tu zagnało. Z Kalabrii - tak opowiadano - szybko ich wypędzono. Rządziły tam rodziny, których prawo bardzo różniło się od tego obowiązującego na Sycylii. Dla rodu Marcipane i jego ludzi nie było więc tam miejsca. A jeśli chodzi o Campobasso, to też nie trafili szczególnie

szczęśliwie. Marcipane mieszkali u podnóża północnego wzgórza, w dolinie, gdzie każdego ranka robotnicy dniówkowi, przeważnie Cyganie, szli na rynek. Tam zabierali ich bogaci chłopcy i zatrudniali na swoich polach i w winnicach.

Musiało to być w sierpniu 1931 roku, gdy robotnik Calogero Marcipane po raz pierwszy zobaczył Annę.

- Nie patrz na nią - radził mu jego brat. - Będzie awantura.

- Dlaczego, co z nią nie tak? - zapytał Calogero i dalej patrzył ukradkiem na dziewczynę, która siedziała pod drzewem i przyglądała się pracującym mężczyznom.

- To córka Scalfera. On nie lubi, gdy oglądamy się za jego córką.

- To musi ją zamknąć - odparł Calogero kwaśno i starał się nie patrzeć więcej w jej stronę.

Gdy tylko mógł, Calogero pracował wyłącznie dla ziemianina Scalfera. Pomagał pilnować owiec, zbierał oliwki, ścinał winne krzewy, orał ziemię, ale Anny więcej nie zobaczył. Wreszcie w każdą niedzielę zaczął przeszukiwać kościoły, co wieczór chodził na mszę, by w końcu znaleźć ją w kościele San Giorgio, gdzie wraz ze swoimi siostrami siedziała w pierwszym rzędzie.

Usiadł nieruchomo w ławce za nimi i szepnął jej do ucha:

- Cześć, poznajesz mnie jeszcze?

- Pssst!

- Popatrz na mnie.

- Nie.

- Proszę.

Wtedy się odwróciła, a on zobaczył jej twarz z tak bliska, że ze strachu niemal postradał zmysły. Była jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętał.

- Chcesz za mnie wyjść?

- Chyba zwariowałeś.

Wstydził się swojego sycylijskiego dialektu i blond czupryny, która w Campobasso była tak samo egzotyczna jak rude włosy czy czarna skóra.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Nazywam się Calogero - wyszeptał, podejmując nową próbę.

- Wiem. Mój ojciec mówi, że jak na Sycylijczyka jesteś pracowity.

Calogero puścił mimo uszu tę obraźliwą uwagę i dotknął włosów Anny.

- Natychmiast przestań!

- Czy mogę cię jeszcze zobaczyć? - Nie.

Calogero uznał, że lepiej będzie zmienić taktykę i przez resztę mszy siedział cicho. Gdy msza się skończyła, Anna się odwróciła. Cały czas miała nadzieję, że jeszcze raz ją zagadnie. Ale Calogero zniknął.

Historia powtarzała się w każdą niedzielę. Wśród karcących spojrzeń ludzi siedzących wokoło Anna i Calogero szeptali do siebie i w ten sposób nieuchronnie się do siebie zbliżali, aż w końcu dalsze kontakty były nie do uniknięcia.

Po kilku tygodniach spotkali się także poza kościołem San Giorgio. Siostra Anny, Maria, zorganizowała spotkanie w zakątku pod zamkiem. Było to ustronne miejsce, ponieważ nikomu zazwyczaj nie przychodziło do głowy wspinać się do zamku od strony, gdzie nie rósł żaden krzak, gdyż przez cały rok wiał tu silny wiatr. Calogero i Anna nie musieli już szeptać, zamiast tego w ogóle nic nie mówili.

- Czy to znaczy, że się całowali? - przerywa Daniele, gospodarz.

- Co znaczy: już całowali? To znaczy, że nie potrzebowali słów dla swojej miłości. Przynieś mi Campari i nie wtrącaj się - rozkazuje Antonio.

Tajemnica tej pary musiała oczywiście kiedyś wyjść na jaw i rzekomo Anna miała dostać straszne cięgi za swój związek z Calogorem. Ale to tylko jeszcze bardziej utwierdziło ją w miłości do Sycylijczyka, który znosił każde upokorzenie i nigdy nie dawał po sobie poznać żadnej obrazy.

Gdy po roku Calogero poprosił o rękę Anny, jego ojciec godzinę przeklinał go w najdzikszych tyradach, wyrzucając z siebie najgorsze obelgi, jakby chciał go sprawdzić. Twarz Calogera pozostała niewzruszona. Nie wyszedł, nie odpowiadał. Stał tylko i zdawał test. Kiedy stary Scalfero w końcu zrozumiał, że nie zdoła ich rozdzielić, z ciężkim sercem dał im swoje błogosławieństwo, wnosząc pewien ciężar do ich małżeństwa. W przeciwieństwie bowiem do sióstr Anny, które awansowały w społecznej hierarchii i zostały wyposażone w bogate posagi, Anna spadła stopień niżej do robotników dniówkowych, Cyganów i próżniaków z północnej strony. Dostała śmiesznie mały posag, który miał raczej znaczenie symboliczne, mianowicie oznaczał obrazę.

Calogero wyruszył na poszukiwanie domu dla swojej rodziny. Po północnej stronie góry coś znajdziesz, mówili mu przyjaciele, ale on tam nie chciał mieszkać. Pewnego dnia zabrał ze sobą swoją żonę, która spodziewała się już dziecka, i poszedł uliczkami południowej części miasta, wspinając się coraz wyżej i wyżej, aż widać było kawałek nieba. Zatrzymał się przed żółtym domem i powiedział:

- Witamy na Vico Vaglia.

Była to bezczelność, prowokacja, że Sycylijczyk w środku miasta kupił dom. I z czego też mógł zań zapłacić? Pewnie ze zleceń zabójstwa, napadów czy grabieży. Od pierwszego dnia Calogero musiał znosić uprzedzenia sąsiadów. Nie walczył z nimi. Wychodził spokojnie z domu, pracował dalej w polu i pozwalał głupcom drwić z siebie. W rzeczywistości nikogo

nie zabił ani nie obrabował, żeby kupić ten dom. Pieniądze pożyczył, i to od Scalfera, chociaż ten o tym nie wiedział.

Do licznych interesów, które prowadził ojciec Anny, należało bowiem także pożyczanie pieniędzy. Wysokość jego odsetek była korzystniejsza niż w banku w mieście, do którego zresztą nikt ze wsi chętnie nie chodził, żeby z brudnymi paznokciami nie prosić o kredyt. Większość chłopów pożyczala więc pieniądze od Scalfera, ale nie po to, by kupować za to nowe narzędzia do swoich gospodarstw czy paszę. Pożyczali je dalej swoim robotnikom na o wiele gorszych warunkach. Calogero prosił o kredyty z pięćdziesięciu znajomych. Ci z kolei musieli zapożyczać się u chłopów, którzy w ten sposób stawali się dłużnikami Scalfera, a ten pożyczal chętnie i dużo. W ten sposób Calogero zadłużył się u swojego własnego teścia, którego nigdy osobiście nie poprosiłby o pieniądze.

W 1934 roku na świat przyszedł Raffaele, a cztery lata później Antonio. Doszło jeszcze sześcioro rodzeństwa, a wszyscy urodzili się w trzech pokojach domu przy Vico Vaglia, gdzie mieszkał jeszcze ojciec Calogera, Alfredo Marcipane, który w podejrzanym okolicznościach podczas walki w Kalabrii stracił nogę, a potem swoje życie poświęcił winu.

Antonio dzielił piętrowe łóżko z leżącym nad nim kalekim dziadkiem, który dzień i noc cuchnął alkoholem, chrząkał, rzeził i odsypiał swoje upojenie. Materac Antonia był wypełniony liśćmi kukurydzy, w których grasowały pluskwy. W nocy wypełzały, żeby gryźć Antonia albo toczyć kikut pijanego starca, który niczego nie zauważał. Trwało to do czasu, gdy wdała się infekcja i noga została jeszcze raz amputowana kawałek wyżej, co przyniosło mu piękny przydomek „Latorośl”, ponieważ został przycięty jak szczep winny. Antonio cierpiał z powodu robactwa o wiele bardziej

niż jego dziadek, któremu jego własna noga była obojętna, dopóki Anna miała jeszcze w domu wino. Bestie nie dawały się wyplenić ani zwalczyć. Gdy Antonio którąś złapał, rozgniatą ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i karmił tym kota. Przysiągł sobie, że kiedyś będzie leżał w prawdziwym łóżku, a wcześniej spali ten dom ze wszystkimi jego pajakami, chrabąszczami, pluskwami, równonogami i szczurami.

Dom rodziny Marcipane nie miał bieżącej wody, a zatem nie miał też wanny, nie mówiąc już o prądzie - taka przynajmniej była wersja oficjalna. Calogero potajemnie rozdzielił bowiem jeden z przewodów biegnących wzdłuż domu. Przez długie lata zaopatrywał w ten sposób swoją rodzinę w elektryczność, której zresztą używano tylko do ledwo tłących się lamp. Marcipane nie mieli nawet radia. O ważniejszych wydarzeniach dowiadywano się w piekarni albo z plakatów przytwierdzonych do ścian domów przy Via Ziccardi.

Wodę dzieci nosiły parę razy na dzień ze studni, która kilka domów dalej tryskała z kamiennej lwiej głowy i zaopatrywała trzy ulice. Antonio starał się przebywać w domu tak rzadko, jak to tylko było możliwe, bo nie mógł znieść ciemnego i zakopconego mieszkania. Palenisko miało zły ciąg, a dym osiadał na ścianach. Nie przeszkadzało mu więc, gdy matka wysyłała go po wodę. Poza tym spędzał czas, wędrując uliczkami, które bez żadnego ładu ciągnęły się wzdłuż domów, czasami prowadziły stromo pod górę, potem znowu schodziły prawie pionowo w dół, przy czym nigdy prosto, lecz zawsze po linii krętej, zupełnie jak w miejscach, które bez żadnego planu zostały zabudowane według czyjegoś kaprysu.

Calogero Marcipane miał mało czasu dla swojej rodziny. Przyjmował każdą pracę, robił zawsze to, czego od niego

wymagano i za co mu płacono. Kto ma pieniądze, jest wolny, brzmiała jego maksyma. On sam ich nie miał, a jego największym marzeniem, jak każdego zniewolonego człowieka, było to, by móc przejść przez miasto z podniesioną głową i zyskać szacunek mieszkańców. Na to jednak nie mógł liczyć. Nawet gdyby pewnego dnia spłacił wszystko, musiałby znosić pogardliwe spojrzenia innych. Sycylijskie pochodzenie czyniło zeń outsidera, tego nie można było zmienić.

Został więc faszystą: przyłączył się do ruchu, w którym każdy mógł odegrać jakąś rolę. Odtąd nawet jeżeli nie był poważany, to przynajmniej się go bano. On sam nie czuł strachu i nie stronił od konfrontacji. Dość często wracał do domu z krwawiącym nosem, który Anna następnie opatrywała, a dzieci w półmroku lampy przysłuchiwały się opowieściom ojca o jego bójkach. Wszczynano je przede wszystkim z komunistami z dzielnicy na północ od Via San Abate, z Carduccimi i Lazzarimi, którzy nie umieli inaczej rozwiązywać konfliktów, więc dostawali po gębie. Calogero w żadnym wypadku nie był przekonany faszystą, na to brakowało mu politycznego zapału. Powodowało nim raczej pragnienie wyrażenia uznania dla duce, którego podziwiał za jego siłę i piękne mundury.

Calogero nie mógł sobie pozwolić na mundur, ale posiadał odznakę, którą z dumą nosił także wtedy, gdy szedł na wojnę, zostawiając swoją żonę z pięciorgiem już wtedy dzieci i dziadkiem Alfredem. Zgłosił się dobrowolnie, ponieważ sądził, że będzie mógł współdecydować o miejscu swojego stacjonowania. Jednak tak daleko jego wpływy nie sięgały. Calogero został wysłany do Afryki i nie był świadkiem śmierci swojego ojca. Ten ostatni umarł, ponieważ z jedną nogą nie zdołał zejść schodami w dół, gdy wszyscy inni biegli, do piwnicy nauczyciela muzyki Scarperiego, by schronić się przed atakiem bombowym Amerykanów. Scarperi

był lubiany w dzielnicy, ale nie ze względu na swoją wielką muzykalność, lecz dlatego, że jego dom jako jedyny posiadał rzekomo zabezpieczoną przed bombami piwnicę, do której podczas ataków z powietrza zapraszał na muzyczne przedstawienia.

Scarperi grał wtedy zawsze krótkie utwory skrzypcowe Paganiniego, nie zbliżając się przy tym nawet do właściwych tonów, co rzeźnikowi Baffonemu, który nieco znał się na muzyce i posiadał gramofon, tłumaczył tym, że po pierwsze, jego skrzypce mają tylko dwie struny, po drugie, w tej ciemnej kryjówce nie da rady czytać nut. I jeżeli jemu, Baffonemu, to nie pasuje, może, bardzo proszę, wyjść na zewnątrz.

Amerykańska bomba zakończyła zarówno koncert skrzypcowy nauczyciela muzyki Scarperiego, jak i życie dziadka Alfreda. Trafiła w dom naprzeciwko Vico Vaglia numer 9 akurat w chwili, w której Alfredo wyszedł na ulicę, by pójść do Scarperiego. Anna nie zdołała obudzić go z jego otrzeźwiającego snu i - z wyrzutami sumienia, z dziećmi pod pachą i za rękę - pobięła do piwnicy Scarperiego. Po tym, jak wszyscy wypełzli z piwnicy, Antonio odnalazł zwłoki starca wśród gruzów sąsiedniego domu, a jego pierwszym, niechrześcijańskim uczuciem była ulga. Żadnego więcej rżenia, sapania i pierdzenia w nocy.

- Nie miałem wyrzuty sumienia, wiesz - mówi Antonio i wpatruje się w swoją szklanę. Obraz martwego starca zdaje się w nim pozostać.

- Bałeś się bomb?

- Nie, bałem się tylko o moja matka. Nie jestem straszliwy.

Płacimy i żegnamy się z Daniele. Jest już popołudnie, schodzimy znowu w dół wąskimi uliczkami. Na Vico Vaglia zwracam uwagę na lukę pomiędzy domami. Tam, gdzie dom rozerwała bomba, stoi teraz małe drzewo, a obok skuter.

- Drzewo sadziłem ja, wtedy z ojcem - mówi Antonio i stuka w pień.

Po śmierci Alfreda Marcipane Antonio awansował i rościł sobie teraz prawo do wyższego łóżka. Na dole wylądował Matteo, piąte dziecko rodziny Marcipane.

Calogero nie pozostał długo w Afryce, ponieważ po siedmiu miesiącach zachorował na biegunkę i wrócił do Campobasso, gdzie szalała wojna pozycyjna.

Na górze, na zamku Niemcy ustawili ciężkie działa i ostrzeliwali Amerykanów, którzy wylądowali w Termoli, by metr po metrze, zmierzając w kierunku Rzymu, zajmować kraj. Armaty nie działały dobrze, amunicja się skończyła, wola obrony słabła i Amerykanie ostatecznie zdobyli miasto, którego jedyną militarną korzyść stanowił cudowny widok, jaki roztaczał się z zamku na okolicę. Antonio z innymi dziećmi rozbierał działa, budował sobie zabawki z pojedynczych elementów i sprzedawał łożyska kulkowe Amerykanom, którzy dawali im za to papierosy i inne drobiazgi. Pierwsza guma do żucia była dla Antonia także ostatnią w jego życiu, bo smakowała naprawdę obrzydliwie.

- Wiesz dlaczego? - pyta mnie Antonio chytrze.

- Nie, dlaczego?

- Bo to wcale nie była kuma do żucia. To był kondom - Włączyła się syrena, wielki ubaw.

Gdy wojna ostatecznie się skończyła, Calogero wrzucił odznakę partyjną do pieca i jako saper zgłosił się do Amerykanów na ochotnika. Nie bał się min i miał dobre wyczucie zagrożenia, a jednak to Antonio uratował ojcu życie.

Pewnego dnia wezwano Calogera, odważnego Sycylijczyka, jak go w międzyczasie, przynajmniej w okolicy Vico Vaglia, nazwano, do rozbiorzenia amerykańskiej bomby. Antonio chciał pójść z nim, ale tak się guzdrał i zwlekał, że obaj przyszli spóźnieni.

- Potrafisz zaczarować każdą bombę? - spytał Antonio, który już nieraz się przyglądał, jak ojciec wyczuwa miny, unieszkodliwia granaty i rozbija bomby.

- Może nie każdą, ale większość.

- To niebezpieczne. Dlaczego to robisz?

- Bo nikt inny nie chce. Wiesz, niektórzy ludzie zarabiają pieniądze, zajmując się tym, do czego inni są za delikatni. Zapamiętaj sobie jedno: my, Marcipane, urodziliśmy się do brudnej roboty.

Po czym roześmiał się i położył rękę na ramieniu Antonia. Chwilę stali w milczeniu obok siebie, aż Antonio spytał: „A jak stąd odejdziemy? Jak pojedziemy do Ameryki?”

- Ach, wybij to sobie z głowy. Co byśmy robili w Ameryce? Dobrze nam tu, a jak rozbiję dużo bomb i będę bogaty, to kupię ci wspaniałą tort śmietanowy. Zanim to nastąpi, musimy się jednak zadowolić pomarańczami.

I poszedł do sklepu z owocami przy Porta San Paolo, by kupić dwie pomarańcze, które scyzorykiem obrał, siedząc na murku. Ponieważ Calogero uważał, że spędza ze swoimi dziećmi zbyt mało czasu, siedzieli tak dziesięć minut i jedli w milczeniu. Gdy w końcu ruszyli z miejsca, w dali usłyszeli eksplozję. Bomba wybuchła, gdy jeden z policjantów jej dotknął. Z pewnością nudził się, czekając na sapera Marcipane i chciał, jak to Amerykanin, odpalić zapalnik od bomby. Oprócz policjanta było jeszcze pięciu lżej lub poważniej rannych. Gdyby Calogero przyszedł wcześniej, byłby jej dotknął. Ale syn go przed tym uchronił.

- Bombę było słyszeć aż w Ferrazzano! - zawołał Antonio tak głośno, że kilka starszych pań odwróciło się w naszą stronę. Zdjął więc kapelusz i rzekł: - Przepraszam. Marcipane. Dzień dobry!

- Jutro ci opowiem o urzędnik Bertone i jego żona - zwraca się znowu do mnie.

- Dlaczego dopiero jutro? Możesz mi to równie dobrze już teraz opowiedzieć.

- Teraz muszę grać w lotto, mój drogi chłopak.

Gra w lotto należy w rodzinie mojej żony do najważniejszych czynności. Chodzi im wszystkim nie tyle o widoki na wielkie bogactwo, ile o czynność samą w sobie, plotki w kiosku z papierosami, śledzenie w telewizji trafionych liczb, o całość, jak usiłuje mi wieczorem wytłumaczyć Marco, gdy zbieramy się przed telewizorem, by sprawdzić, czy dziś jakiś Marcipane stanie się bogaty. Totolotek - jak się uczę - to nabożeństwo dla tych, którzy w kościele mają za mało drobnych, by każdego dnia stawiać nową świeczkę.

Wielka msza graczy - losowanie liczb - odbywa się niczym rytualny obrzęd. Nie jest tak jak w Niemczech, gdzie wygrywa tylko jeden ciąg szczęśliwych numerów, tu na każdy region przypada inny od czasu, gdy przed kilkoma laty oszuści zamienili kule, co spowodowało, że zadziwiająco często wygrywali gracze z Neapolu.

Wujek Egidio prowadzi zielony notatnik, w którym zapisuje wszystkie liczby, także te z Turynu czy Rzymu. Analizuje ich powtarzalność i gra tak zwanym systemem Egidia, którego w rodzinie się boją, ale nie dlatego, że pozwala mu często triumfować, tylko dlatego, że od dwóch lat nic mu jeszcze nie przyniósł.

We Włoszech numery lotto losuje przed publicznością około czternastoletnia puszysta dziewczynka, która stoi za szklaną kulą. Ma na oczach przepaskę z czarnego sukna. Cała sytuacja budzi grozę, ponieważ za nią stoi uzbrojony w pistolet maszynowy osobnik wyglądający jak żołnierz. Nie wygląda to na spokojne losowanie szczęśliwych numerów, raczej na pluton egzekucyjny. Dobra wróżka, ociągając się, wyławia z bębna grube plastikowe kulki. Potem trzyma je

najpierw wysoko i, jak zawsze we włoskiej telewizji, podaje je szczególnie pięknej kobiecie, która następnie z zachwytem przekazuje je drugiej kobiecie. Ta otwiera powoli kulę i wyjmuje z niej właściwą kulę ze szczęśliwym numerem.

Uroczysty charakter tej operacji przypomina mi losowanie par drużynowych w Pucharze Niemiec. Po każdej liczbie trwają długie oklaski, jakby dziecko właśnie odkryło ciągłość czasoprzestrzeni. Wyciąganie kul to podobno wielki honor. Przecież oglądają to miliony ludzi. Po losowaniu - Antonio ze swoimi datami urodzin ma trzy trafienia, a Egidio i inni żadnych - telewizor pozostaje włączony. Właściwie i tak przez cały czas jest włączony, bo zawsze jest w nim nadawane coś głośnego i kolorowego, a to szczególnie przykuwa uwagę Włochów. To nie przypadek, że tak chętnie jeżdżą na Oktoberfest i że z upodobaniem przywożą stamtąd różowe słonie z pluszu.

Dzika awantura to taka „taśma klejąca”, do której włoskie rodziny się przyklejają, a najwięcej dzikich awantur jest właśnie we włoskiej telewizji, która nie na darmo uchodzi za imperialistyczną maszynę ogłupiającą. Liczne stacje premiera ogłuszają naród bez przerwy i bez żadnego wstydu. Jest show poranne, południowe i wieczorne, po nich często jeszcze nocne albo lekkie filmy z Budem Spencerem.

Już w porze śniadania z migoczących schodów schodzą skąpo ubrane blondwłose prakobiety, by następnie śpiewać na wyścigi z niskimi grubymi mężczyznami.

Charakterystyczne u prezenterów włoskiej telewizji jest to, że oprócz błazeńskiego ubioru stale tańczą. Po każdym skeczu czy rozmowie musi nastąpić bodaj krótki taniec.

Kulminacyjny moment telewizyjnego tygodnia to oczywiście sobotni program wieczorny, który może trwać i trzy godziny. Prowadzący, wyglądający jak połączenie kretoszczura i gubernatora Haidera, dokładnie siedem razy na

godzinę schodzi ze schodów - to jest po każdej przerwie reklamowej. Sprawia mu to tyle radości, że jeszcze przy tym śpiewa. Poza tym trzy razy tańczy, gra w czterech skeczach i rozmawia z innymi gwiazdami show, które czysto przypadkowo znalazły się w jego programie i które - zgadnijcie! - również śpiewają i tańczą. Nonna Anna przyjmuje to wszystko z kamienną twarzą.

Nagle gasną reflektory w sali. Robi się cicho, potem pojawia się samotny snop światła z projektora. Haider stoi za stołem i otwiera wielką księgę. W tle pojawia się sekwencja z filmu, która nikogo nie może pozostawić obojętnym. Obrazki z dziećmi o wyдутych brzuskach, tragiczna susza, okaleczeni przez wojnę mężczyźni i kobiety, potem powódź, trzęsienie ziemi, wybuchy wulkanu i bezdomni ludzie. Słysząc muzykę skrzypcową. Spiker czyta łamiącym się głosem chronologię ostatnich wydarzeń, które wstrząsnęły naszą małą planetą. Jego oczy napełniają się łzami, wolno potrząsa głową i zamyka książkę z wyreżyserowanym trzaskiem. Krótka cisza, a potem hej! zapalają się wszystkie światła, scena połyskuje perłowo, a zza sceny wychodzi w białym cylindrze nierozgarnięta blondi. Niesie ze sobą wieszak na kapelusze, wokół którego ośmiela się na lekko erotyczny taniec z prowadzącym.

Ulubiony program nonny Anny nazywa się La Speranza, co znaczy „nadzieja”. Jest to południowoamerykańska telenowela, która rozgrywa się w latach czterdziestych na wsi. Czyli dokładnie tak, jak życie nonny. W tym serialu młodzi mężczyźni nieprzerwanie muszą iść do wojska, więc mniej lub bardziej dramatycznie całymi odcinkami żegnają się ze swoimi matkami, siostrami i potajemnymi kochankami. Płacz jest stałym elementem. I oczywiście śpiew. W serialu tym wprawdzie nie pojawiają się schody takie jak w show, jest za

to dworzec, z którego jedni bohaterzy odjeżdżają, a przybywają nowi.

Nonna Anna siedzi w swoim fotelu i ma na głowie bejsbolówkę, żeby światło z sufitu jej nie oślepiało. W ręce dzierży pilota, który znajduje się w grubym pokrowcu z gumy. Kiedyś się zmęczy, a pilot wyśliznie jej się z ręki, gdy zaśnie. Spadając miękko na podłogę, nie robi hałasu.

Rozdział siódmy

Jeżeli Antonio natychmiast nie dostanie swojego Teksa, będzie zły. Stoimy już przy drugim kiosku z gazetami, ponieważ w pierwszym wykupiono niestety wszystkie egzemplarze. Antonio przemierza z nim prerie od jakichś pięćdziesięciu lat. Czyta ten komiks nocami, gdy nie śpi.

Tex to samodzielny strażnik wychowany przez Indian, dzięki którym zdobył najważniejsze indiańskie szlify. Jest mistrzem w rzucaniu nożem, strzelaniu i skradaniu się. Zawsze ma na sobie czystą, wyprasowaną żółtą koszulę i niedbale zawiązaną chustkę na szyi, do tego dżinsy i brązowy kowbojski kapelusz. Towarzyszy mu kompan, który podróżuje w skórzanym ubraniu z frędzlami. Carson to postać drugoplanowa. Ma spiczastą bródkę i w porównaniu z Teksem nie wygląda zachęcająco. Ma także małego konia. Pierwowzorem postaci Carsona był Buffalo Bill Pate. Na moje pytanie, czy Carson i Tex są parą, Antonio reaguje ze spokojem.

- Nie są pedały, obaj. Carson był raz żonaty, ale mu nie wyszło.

Dziś spokój duszy mojego teścia jest w poważnym niebezpieczeństwie, bo sprzedawca gazet donosi o trudnościach z dostawą zeszytów o Teksie. Jestem pewien, że to żadna strata, ponieważ Antonio zna większość stale przedrukowywanych przygód. W piwnicy jego domu stoi regał, na którym leżą setki wydań, niektóre podwójne. Ale to jest w Niemczech, a Niemcy są daleko i dlatego Antonio na chwilę traci humor.

Zmartwiony bierze dwa egzemplarze Dylana Doga. Dylan Dog rozwiązuje zagadki kryminalne, w których, najogólniej mówiąc, chodzi o erotykę i siły nadprzyrodzone. Czasem rysownicy szaleją i całymi stronami malują urojenia po LSD

albo krwawe mordy, w których party girls dostają śrubokrętem w oko. Ale za to sceny seksu są doskonałe.

W końcu wspinamy się do baru. Daniele już na nas czekał.

- Wiesz, co się stało z Pisellim? - pyta go Antonio mimochodem, gdy już zajęliśmy miejsca.

Daniele spienia mleko i zastanawia się. Potem przynosi nam kawę.

- Piselli? Nie mam pojęcia, od dawna go nie widziałem. Na pięć lat wyjechał, potem nagle znów się pojawił i pracował na placu targowym. Podobno mieszka w Campodipietra.

- Kim jest Piselli? - pytam, wsypując cukier do kawy.

Piselli był przywódcą bandy z Porta Mancina, okolicy, w której mieszkała rodzina Marcipane. „Piselli” znaczy groch i dokładnie tak on wyglądał ze swoją małą, okrągłą głową, osadzoną na szerokich barkach niczym wisienka w pucharku lodów. Piselli był najodważniejszy z grupy chłopaków, której liczebność wahała się pomiędzy trzy a dwadzieścia. W tamtych czasach biegali oni po uliczkach i zajmowali się tym, czym chłopcy w wieku trzynastu lat zwykli się zajmować.

Antonio zawsze im towarzyszył. Piselli był jego przyjacielem, podobnie jak Giovanni, syn rzeźnika Baffonego, i Mauro, którego ojciec był dyrektorem banku, Luigi Canone, którego ojciec pracował jako murarz, Carlo, syn szewca, czy Luca Nannini, którego inni namawiali, by kradł owoce swojemu ojcu, właścicielowi sklepu warzywnego.

- Ja też do nich należałem! - woła Daniele zza baru.

- Daniele też, ale był tkórz, musiał być zawsze w domu, ze swoją mamma i nie robił żadne lewe rzeczy - orzekł Antonio i przetłumaczył natychmiast na włoski, żeby Daniele mógł się od razu zdenerwować.

- Ty chyba chcesz gdzie indziej wypić tę kawę - wycedził Daniele obrażony.

Ta banda była dla każdego z nich wszystkim. Było się razem albo nie znaczyło się nic, szczególnie gdy chodziło o chłopaków z San Antonio Abad. Te bękarty z dolnej dzielnicy starego miasta, która leżała na północnym zboczu góry, rzucały kamieniami albo czatowały na Mancinich (jak nazywano mieszkańców okolicy wokół Porta Mancina), którzy wypuścili się zbyt daleko w kierunku Abad, czego szczególnie trudno było uniknąć w niedziele, ponieważ dokładnie na granicy tych części miasta stał kościół, w którym Antonio, Piselli i inni mieli swoje nabożeństwo.

W San Antonio Abad mieszkali imigranci, robotnicy i Cyganie. Antonio nigdy nawet słowem nie wspomniał, że kiedyś mieszkał tu jego ojciec, Calogero, ze swoją rodziną. Wystarczyło, że musiał tam chodzić przy okazji urodzin krewnych. Ryzyko, że zostanie rozpoznany i pobity, było tak samo duże jak to, że któryś z jego znajomych dowie się o jego pochodzeniu.

Luca Nannini nie był tak ostrożny jak Antonio. Prowokował bandę z Abad, gdy tylko nadarzała się okazja i zapuszczał się przy tym daleko w głąb San Antonio Abad. Pewnego dnia jednak zbyt daleko. Właśnie obrzucił wyzwiskami jakąś grupkę chłopaków (mogli oni na przykład usłyszeć, że byli synami kurwy i mieli takiego zeza, że w środę widzieli obie niedziele) i próbował uciec. Wbiegł w wąską uliczkę, która prowadziła stromo do góry i był pewien, że ze swoją przewagą dotrze do wylotu drogi przed świniami z Abad. Tam zaczynała się jego dzielnica, bezpieczny teren, na który te skurwysyny nigdy nie ośmielały się wejść. Tak myślał. Aż naraz zobaczył wynurzających się na końcu uliczki w świetle słońca dziesięciu z nich. Wiedzieli, którą drogę wybierze i było im obojętne, że stali na terenie wroga. Powoli podchodzili do niego. Z tyłu nadciągała kolejna dziesiątka. Luca był w pułapce. Gdyby akurat nie przechodził tamtędy

młody ksiądz Alfredo, przypuszczalnie pobiliby go na śmierć. Przez tydzień Luca leżał w łóżku i trzeba się było nim opiekować. Tydzień, w którym knuł zemstę, podczas gdy jego przyjaciele siedzieli przy nim bez słowa.

Zaplanowano ją spokojnie. Banda Pisellego obmyśliła plan, który na zawsze miał zaprowadzić porządek między wrogimi obozami i zapewnić, że bękarty z dolnej dzielnicy już nigdy nie zaatakują żadnego Manciniego. Udało się to wprawdzie, ale za wysoką cenę.

Luca ustawił się w roli przynęty, choćby z tego powodu, że był głównym bohaterem planu i wszyscy go już widzieli. Ponownie zapuścił się na plac kościoła w San Antonio Abad i zaczął sypać najdzikszyimi wyzwiskami:

- Wychodzić, zasańcy! Gdzie jesteście, kurwiarze, ciemniaki, maminsynki!

Banda nie kazała na siebie długo czekać. Kilka sekund później dwudziestu jej członków pojawiło się na posterunku, jakby wypełzli ze szczelin w murze jak szczury.

- Brudne świnię, tchórze, niemyte dupki! - krzyczał Luca z całych sił, czym wywołał u swoich przeciwników wrażenie, że jest zmęczonym życiem samobójcą, który wybrał szczególnie bolesną drogę śmierci. Następnie zerwał się w kierunku znanej uliczki, ale w pewnym momencie skręcił w lewo, w inną ulicę niż wcześniej, najciaśniejszą w całym mieście, tak wąską, że nawet chłopak taki jak Luca szedł tu z przykurczonymi ramionami i lekko przechylony na lewo. Poza tym było tu tak ciemno, że musiał się raczej przeciskać po omacku, niż biec.

Potykaçąc się, doszedł do połowy uliczki i zatrzymał się. U jej górnego wylotu, podobnie jak ostatnim razem, pojawiły się postacie, które zmierzały ku niemu wolno. Pewna zwycięstwa reszta nadchodziła z dołu z zaciśniętymi pięściami. Jednak gdy obie grupy się spotkały, Luki już nie było. Po prostu

znikł. Banda z Abad obmacywała ściany w poszukiwaniu kryjówki, w której mógł się schować. Gdy chłopcy odkryli zamknięte drewniane drzwi, było już za późno.

Z góry wylał się na nich potok wrzątku, a potem sos pomidorowy i syrop. Porta Mancina wyrzucała z okien wszystko, co się gotowało, było zgniłe i wilgotne. Jeszcze dobrych kilka tygodni później śmierdziało w tej uliczce tak strasznie, że w końcu zamknięto ją i do dziś nie ma przez nią przejścia.

Gdy było już po ataku i chłopaki z Abad, poparzeni, oblepieni mazią i upokorzeni, opuścili uliczkę, już ich wyczekiwano. Dostali potężne cięgi. Każdy cios, który otrzymał Luca, oddawany był potrójnie. Na tym rzecz mogła się zakończyć, ale jeden z Abadich, niejaki Francesco Pozzi, wyciągnął nóż i zranił nim Giovanniego Baffone w nogę. Broń była dotychczas zabroniona. Wieczorem signora Baffone zrobiła najbardziej słuszną rzecz, jaką mogła i poszła ze swoim synem na policję. Powiedziała, że ma dość bijatyk idiotów z obu obozów i żąda wyciągnięcia konsekwencji. Wobec wszystkich.

W końcu wszyscy chłopcy pomiędzy trzynastym a szesnastym rokiem życia z San Antonio Abad i Porta Mancina zostali wezwani do prefektury. Za dźgnięcie nożem Francesco Pozzi został wysłany na pół roku do zakładu poprawczego w Rzymie. Chłopcy z San Antonio Abad dostali karę sprzątnięcia rynku przez rok, co było brudną robotą dla głupich. Przeciwnikom z Porta Mancina oberwało się jeszcze gorzej: musieli zamiatać ulice w zniechęconym Abad i usuwać brudy ich mieszkańców na oczach wszystkich. Piselli, który był prowodyrem planu, czemu nie zaprzeczył i czego tym bardziej nie żałował, dostał ostrzeżenie: jeszcze jedna taka sprawka, powiedziano mu, a trafi do poprawczaka jak Pozzi, co w jego przypadku równałoby się karze więzienia. Walki

ucichły, ale poczucie przegranej z urzędnikami pozostało na długo.

- To było niesprawiedliwe! - woła Daniele i stawia z hukiem swój kieliszek aperolu. - Niesprawiedliwe - powtarza i śpieszy za kontuar, bo właśnie dzwoni telefon.

- Niesprawiedliwe, ale też i sprawiedliwe - mówi Antonio. - Bo musieliśmy przestać ten bezsens, było za niebezpieczne. Ale może nie zrobilibyśmy sprawy z Banane, gdyby nie pokój z Abad.

Rozejm z San Antonio Abad oznaczał nudę. Chłopcy znów grali w piłkę i wystawali na Vico Vaglia, gdzie było ich miejsce. Czasami ciężka piłka ze skóry, którą zrobił szewc Navelli dla swojego syna Carla, wpadała w warzywa signora Nanniniego, który wysyłał ich za to do diabła. Nieraz wpadała przez czyjeś okno, a czasami ściągała pranie ze sznurka.

Via Ziccardi była wprawdzie dość szeroka, ale jednak szczególnie nadawała się na piłkarskie rozgrywki, ponieważ lekko się wznosiła, przez co drużyna grająca na górze była zawsze w korzystniejszej sytuacji. Ale tylko do momentu, gdy strzeliła pierwszego gola, bo wtedy bramkarz musiał jakby za karę biec za piłką i przynosić ją z powrotem, co trochę trwało.

Jedynym sąsiadem, który nigdy nie skarżył się na ową bandę, był signor Banane, zegarmistrz, który siedział przez cały dzień w swoim maleńkim zakładzie mającym szerokość drzwi wejściowych i małe okno wystawowe, gdzie widniało wypisane złotymi literami jego właściwe nazwisko - Giuseppe Falcone. Okno otaczały szerokie, brązowe, drewniane ramy. Chłopcy z Porta Mancina nazwali go Banane, ponieważ za szybą nie można było dojrzeć nic więcej poza pochyloną do przodu łysiną jego wąskiej czaszki usianej plamami wątrobowymi, która wyglądała jak przejrzały banan.

Falcone pracował skupiony nad swoimi zegarkami i rzadko podnosił głowę, by wtedy, nieobecny duchem i pustymi oczami, popatrzeć przez chwilę na ulicę. Wszelkie próby sprowokowania samotnego człowieka spełzały na niczym. Jak przystało na zegarmistrza, nic nie było go w stanie wyprowadzić z równowagi. Około godziny osiemnastej wyjmował szkło powiększające z oka, podnosił blat stolika, chował biżuterię i zegarki, nad którymi pracował, gasił światło, opuszczał swój zakład, spuszczał kratę na szybę i powoli szedł do domu. Na twarzy miał czerwony odcisk lupy, który obramowywał jego prawe oko, jak ozdoba wodza Indian, i zawsze pozdrawiał wszystkich poważnym tonem. Podnosił przy tym lekko swój kapelusz i kiwał głową dzieciom, które z wyszczerzonymi zębami naśladowały jego gest.

Antonio wiedział od swojego ojca, że Banane jest zacynym człowiekiem, ponieważ bez żadnego rozgłosu postarał się w banku o posadę dozorcę dla Calogera. Umiał on bowiem wszystko naprawić, no może poza zegarkami, czym bardzo zaimponował staremu Banane. Zegarmistrz był dobrym, choć introwertycznym człowiekiem, który nigdy nikomu nie wyrządziłby żadnej krzywdy.

Być może właśnie ten fakt sprawiał, że plan Pisellego, który pewnego dnia uknuł i przedstawił kompanom w czasie wspólnego spotkania, był tak niecny. Był to przestępczy spisek i nie miał nic wspólnego z niewinnym płatanem figli. Antonio, który przysiągł wierność bandzie, był zafascynowany pomysłem Pisellego, chociaż od razu się zorientował, że gdy rzecz wyjdzie na jaw, pociągnie za sobą poważne kary.

- Co miałem robić? - jęknął Antonio.

- Nic nie można było zrobić - sekunduje Daniele, dziko przy tym gestykulując. - Jak bierzesz w tym udział, to bierzesz. I basta.

- W czym? - pytam zaciekawiony.

- W największa rabunka wszystkich czasów - odpowiada Antonio chmurnie, ponieważ krótka kariera przestępcy właśnie na niego czeka.

Plan Pisellego był prosty, ale genialny. Aby dostać się do zegarków i biżuterii signora Banane, trzeba było je sobie wziąć, gdy go tam nie było.

- Dobrze, biurko nie jest zamknięte. Można po prostu podnieść pulpit i wyjąć rzeczy - orzekł Baffone. - Ale w tym celu trzeba najpierw wywabić faceta z jego sklepu.

- Po co go wywabiać ze sklepu? I tak każdego wieczoru idzie do domu.

- Dobrze, pięknie, ale jak się dostaniemy do sklepu? On zamyka drzwi i zakłada kratę. A innego wejścia nie ma - zauważył Antonio, który do tej pory nie dostrzegł niczego przekonującego w planie Pisellego.

- W ogóle tam nie będziemy wchodzić, wy zakute pały - powiedział Piselli przeciągle.

Następnie wyjaśnił, jak zmierza uszczuplić własność signora Banane o biżuterię jego i jego klientów. Biurko stało przed oknem. To oznaczało, że należało jedynie wywiercić dziurę w ramie okiennej i znajdującej się za nią w tylnej ścianie biurka, by następnie z zewnątrz po prostu wyjąć wartościowe rzeczy. Pręty kraty przed sklepem były na tyle szeroko rozstawione, że za pomocą piły można było wyciąć kwadrat w ramie. Ręce Ricarda Lorenziego, najmniejszego z grupy (zawdzięczał temu swoją ksywę Topolino, Myszka), powinny dosięgnąć zegarków i pierścionków.

Nikt nie zadał sobie pytania, co potem zrobić z tymi rzeczami. Ponad wszelką wątpliwość chłopcom taka biżuteria

na nic się nie zda, bo po pierwsze, są to wyłącznie rzeczy wymagające naprawy, o niewielkiej wartości, a po drugie, należały przecież do matek i ojców członków bandy oraz innych krewnych lub znajomych ich rodziców, tak iż na miejscu praktycznie nic nie można było sprzedać. Trzeba by jechać do Neapolu, żeby pozbyć się łupu.

Ale nie o to w ogóle chodziło. Bandę kusiała przygoda, sam plan, szaleństwo. Machnięciem ręki Pisseli odparł zarzut, że rama może okazać się za gruba.

- Ależ co tam. Mamy przecież czas. Najpierw wywiercimy dziurę, a potem zobaczymy, jak pójdzie.

Sześciu niedorostków zebrało się w nocy i wiertarką do drewna z zasobów szewca Navellego wywierciło otwór w ramie okiennej signora Banane, a potem w stojącej za nią ścianie biurka. Następnie zamaskowali dziurę głęboką na grubość kciuka Baffonego pastą do butów.

- Jak się ktoś dokładnie nie przyjrzy, to nic nie zauważy - stwierdził Piselli z zadowoleniem.

- A co z wiórami drewna pod blatem? - spytał spryciarz Mauro, który nawet w szkole zawsze stawiał właściwe pytania.

- Poczekamy, czy ktoś coś zauważy, jeżeli nie, to wkraczamy do akcji.

Następnego dnia Piselli, Antonio, Daniele i inni specjalnie kręcili się pod oknem signora Banane, który jak zawsze ze spuszczoną głową skupiał się na swojej pracy i nie zwracał uwagi na chłopców. W związku z tym, że nie wydarzyło się nic szczególnego, Piselli zdecydował, że wieczorem po zamknięciu sklepu wracają. Carlo, syn szewca, przytargał od razu całą baterię pił, którymi w nocy chłopcy mieli ciąć okno. Po upływie dobrej godziny z wywierczonej prawie bez hałasu dziury powstał bardzo ładny, wycięty kwadrat. Daniele,

którego sytuacja przerosła nerwowo, stał najpierw na czatach, aż w końcu się ulotnił. Tchórz.

- Nie, byłem zmęczony, nie stchórzyłem. Musiałem wracać do domu, do mamy, pomagać przy obieraniu cebuli.

- O trzeciej w nocy, tak, tak. Ale to nieważne. I tak poszło.

Ricardo Topolino dawno już spał i trzeba go było budzić na akcję, ale zdał egzamin bez zarzutu i w półmroku ulicznych latarni, sztuka po sztuce, wyciągał zdobycz z dziury. Łup, optymistycznie rzecz ujmując, nie wart był zachodu. Składał się z kieszonkowego zegarka, który Baffone od razu rozpoznał jako własność jego wujka Paola, kilku pierścionków nikłej wartości i jednej broszki ze srebra, która miała urwane zapięcie. Piselli schował wszystko do kieszeni i banda szybko się rozeszła.

Następnego dnia przed szkołą Antonio ukrył się za ścianą domu, ponieważ chciał zobaczyć, jak też Banane zareaguje na zuchwałą kradzież. Skonsternowany Giuseppe Falcone stał długie minuty przed swoim sklepem i nie zdjawszy kraty, pospiesznie odszedł. Wrócił po chwili z policjantem Gazzanim, najgłupszym przedstawicielem swojego zawodu, który jeszcze nigdy nie przyczynił się do wyjaśnienia żadnej sprawy, co Antonia wielce uspokoiło.

Bardziej przeszkadzały mu wyrzuty sumienia, które dały o sobie znać i ciągle przywoływały mu przed oczy scenę, w której Falcone, czyli Banane, stał przed swoim sklepem z dłonią na ustach. Nie była to tylko kradzież, nie tylko uszkodzenie jego pięknego sklepu. Było to upokorzenie, które Pisellemu sprawiało chyba radość, a jego, Antonia, zawstydzalo.

Czy ma iść na policję? To nie wchodziło w grę, bo oznaczało zdradę. Z nieprzewidzianymi skutkami dla wszystkich. Antonio zdecydował się na inny krok. Poszedł do

spowiedzi. Wysłuchał jej młody ksiądz Alfredo. Przybył tu niedawno z północy i cieszył się szczególną sympatią, ponieważ był ponad miarę otwarty i nad wyraz rozmowny. Wszyscy wiedzieli, ale nikt nie mówił o tym, że ów Alfredo absolutnie nie był w stanie zachować dla siebie tajemnicy - nawet jeżeli była to tajemnica spowiedzi. Ta cecha księdza otwierała ludziom w Campobasso nieprzebrane możliwości w rozpowszechnianiu nowości i plotek.

„Możesz od razu powiedzieć don Alfredowi” było w ostatnich dziesięcioleciach jego pracy ulubionym miejscowym powiedzeniem. Jeszcze dziś człowieka, który nie umie trzymać języka za zębami albo plotkę, która akurat się szerzy, nazywa się Alfredem. Gdy ktoś opowiada swojemu sąsiadowi rzekomą tajemnicę, mawia się wtedy, że przedstawia mu Alfreda.

Antonio naradził się z Baffonem, Carlem, synem szewca, Luigim i Lucą. W końcu rzucili monetą, żeby przesądzić, kto ma pójść do spowiedzi. Antonio przegrał i wszystko opowiedział don Alfredowi. Ten, żądny wiedzy, dopytywał się jeszcze w tym czy innym miejscu i wkrótce było jasne, że w ciągu dwóch dni sprawa stanie się znana w całym mieście. Dobrą stroną było jedynie to, że Antonio nikogo nie zdradził i nie złamał przysięgi. Pod osłoną tajemnicy spowiedzi rozmawiał wyłącznie z księdzem. Nie wymienił też żadnych nazwisk, lecz tylko niejasno wspomniał o „kolegach”. Mimo to nie ulegało wątpliwości, kogo miał na myśli. Wszyscy zostali aresztowani o wiele szybciej niż sądzili, mianowicie już tego samego dnia. Antonio także.

Całą bandę, nawet małego Ricarda „Myszkę” Lorenziego, który w ogóle nie pojmował, co w tym żarcie miało być takie złe, spotkały dotkliwie kary, które na zawsze odstręczyły jej członków od kolejnych postępów tego rodzaju. Tylko dla Pisellego, który z kolei, pełen dumy, do wszystkiego się

przyznał i natychmiast wydał łup, sprawa źle się skończyła. „Groch” wylądował faktycznie w zakładzie poprawczym koło Iserni, skąd już nie wrócił.

Pozostali, mimo lania od ojców, uparcie milczeli na temat swojego udziału w sprawie, tak iż wyczyn przypisywano już później tylko Pisellemu, a jego zniknięcie ucieszyło miejscowe matki, ponieważ tym samym zły wpływ na chłopców się skończył, a upiór znikł.

Banda w żadnym razie nie odpuściła, ale znalazła nowe cele. Te były zazwyczaj czarnowłose i nosiły spódnice. Moment, w którym obudziło się u nich zainteresowanie dziewczynami, można stosunkowo dokładnie datować, mianowicie na maj 1953 roku. Otworzono wtedy, do dzisiaj jedyne i tym samym największe, kino w Campobasso. Pierwszy film Antonia już wtedy był prastary, ale chłopcy ulegli czarowi jego nieskrepowanej erotyki. Był to Tarzan z Johnnym Weissmullerem. Pasjonujące dzieło, które Antonio i jego przyjaciele obejrzeliby cztery razy jednego dnia, ponieważ po każdej projekcji ukrywali się za siedzeniami i wynurzali dopiero wtedy, gdy zaczynał się Przegląd tygodnia. Pokazywano w nim eleganckich ludzi w Mediolanie i Paryżu, cudowne kraje, jak nazywano Stany Zjednoczone, wielkie statki, samoloty Sofię Loren podczas wizyty w Londynie i wspaniałe produkty przemysłu samochodowego w Turynie. Dla Antonia stało się to wkrótce ważniejsze niż główny film, ponieważ jego cuda były tylko wymyślone, a świat Przeglądu tygodnia istniał naprawdę.

Największą odległością, jaką do tej pory pokonał - a i ona wydawała mu się ogromna - była ta z Campobasso do Termoli, gdzie dziesięcioosobowa rodzina Marcipane raz w roku jeździła na urlop i przebywała tam, aż skończyły się pieniądze.

Tęsknota Antonia sięgała Księżyca, ale realnym celem wydawał mu się jedynie Neapol. A teraz mógł równie dobrze zostać w domu. Marzył o Ameryce i bogactwie, które widział w Przeglądzie tygodnia, kiedy pokazywano audycję o życiu milionerów w Nowym Jorku. Jego przyjaciele chcą zostać stolarzami, szewcami czy listonoszami. Im wystarcza szukanie jaszczurek wokół murów zamku i łapanie ich rękami, by zrobić wrażenie na dziewczynach. Ich przyszłość ogranicza się do grania na pieniądze w Cansinie i picia tam taniego piwa.

Antonio patrzył z zazdrością na Maura, gdy rodzice zabierali go ze sobą do Kalifornii. Ojciec Antonia był na to za biedny. Mimo to Marcipane wkrótce się przeprowadzili do suchego i jasnego mieszkania niedaleko Starego Miasta. Było to w 1954 roku.

- Co się właściwie stało z Maurem? - pytam Antonia.

- Jest sławny aszitekt w Ameryka, nigdy nie wrócił, jest bardzo sławny człowiek.

- A co z tymi dziewczynami?

- Aaach, z dziewczynami. To był trudny temat, molto difficile i delikatny, ale dobry.

Po tym, jak Antonio i jego przyjaciele zdali sobie sprawę, że kino przydaje się jako miejsce nawiązania kontaktów, ale nie pomaga w pogłębianiu związku, przyłączyli się do socjalistów, bo ci organizowali wieczorki taneczne. Płyty do tego celu załatwiali skomplikowanymi drogami z Rzymu. Puszczano je w co drugą sobotę miesiąca w pomieszczeniach należących do jednego z funkcjonariuszy Partii Socjalistycznej. By zakosztować tej przyjemności, trzeba było jednak być jej członkiem, na co Antonio i jego przyjaciele bez skargi przystali, tym bardziej, że ta reguła nie obowiązywała dziewcząt, które w wystarczającej liczbie dwa razy w miesiącu przychodziły na tańce. Kroki podpatrywało się w

Przełazie tygodnia, gdzie od czasu do czasu pokazywano programy o amerykańskich gwiazdach rock and rolla.

Bardziej niż daremne próby zdobycia ręki niejkiej Loredany zajmowała go budząca jego ciekawość egzystencja signory Bertone. Mieszkała ona przy drodze, którą codziennie przemierzał do szkoły i przeważającym zdaniem wszystkich męskich mieszkańców miasta była zdecydowanie najpiękniejszą kobietą w całym Campobasso.

- Pamiętasz tę Bertone? - woła Antonio przez całą salę.

Daniele wychyla głowę zza drzwi prowadzących do małej kuchni, w której od dłuższego czasu był zajęty.

- A, oczywiście, umarła przed dziesięcioma czy jedenastoma laty. Była już przecież wiekową kobietą. Złamała serce przynajmniej dziesięciu chłopakom. I jeszcze swojemu mężowi.

Zamyśliwszy się po tych słowach, Daniele patrzy spomiędzy torebek z czipsami ziemniaczanymi wyeksponowanymi na stojaku za barem.

- On był jednym z tych chłopaki, musiał wiedzieć - mruczy Antonio i kiwa głową z przekonaniem.

- Co się stało z tą kobietą? - dopytuje.

Była żoną urzędnika, który był o głowę niższy od niej i stale rozglądał się na prawo i lewo jak łasica, gdy szedł drogą w górę do prefektury, gdzie jako kierownik biura wypełniał różnego rodzaju ważne, choć nudne obowiązki. Nikt nie wiedział, co tę parę trzymało przy sobie, bo na pewno nie były to dzieci. Signora Bertone miała bowiem trzy córki, a jej mąż był bezpłodny. Każdy wiedział albo się domyślał, że dzieci pochodziły z jej znajomości z innymi mężczyznami, ale nikt nie śmiał powiedzieć tego głośno, bo wtedy trzeba by się zastanawiać, kim są ojcowie, a kobiety z okolicy były tym jeszcze mniej zainteresowane niż ich mężowie. Mimo wszystko Bertone wychowywał dziewczynki sumiennie.

Mówiło się, że signora Bertone łąpała każdego szesnastolatka, by wprowadzić go w tajniki miłosne. W kręgu znajomych Antonia było już trzech młokosów, którzy twierdzili, że ukończyli jej kurs. Ich opisy do tego stopnia Antonia ekscytowały, że nie był w stanie przejść koło domu Bertone, żeby nie myśleć o signorze. W ostatniej klasie droga Antonia do szkoły prowadziła go dwa razy dziennie pod balkon signory. Za każdym razem ryzykował spojrzenie do góry, by sprawdzić, czy może jest w domu, czy mu pomacha, czy w końcu go do siebie zaprosi, by go następnie uwieść. Matko Święta, co to były za myśli? Ale nie umiał ich stłumić.

Zbyt wiele czasu mu nie zostało na to, by dać się jej uwieść, ponieważ zbliżał się koniec jego edukacji. Był przeciętnym uczniem, jednym z tych, którzy sobie radzą, ale nie wykazują żadnych ambicji. Lubił Odyseję Homera i książki Juliusza Verne'a pokazujące różne zakątki świata. Na lekcjach rysunku - które prowadził osobliwy facet z wystającym brzuchem i któremu było najzupełniej obojętne, czy uczniowie jego klasy malowali, jeżeli tylko siedzieli cicho i czymś się zajmowali - Antonio nie wiedział, co ma robić. Gdy pewnego razu wystający brzuch zapytał go, dlaczego wygląda przez okno, zamiast rysować, odpowiedział, że nie widzi nic, co by warto było narysować.

- Nie chcesz rysować?

- Nie.

- No to dobrze, to idź do piwnicy i wyczyść mój rower. Szkoła nie była dla Antonia ważna, myślami był już dalej: zgłosił się na naukę do ślusarza, ponieważ ślusarz - tego był pewien - to zawód, który można było dobrze wykorzystać w Ameryce, bo tam były fabryki. Co w takiej fabryce miałby do roboty piekarz czy kapelusznik? Poza tym, gdy zacznie się jako ślusarz, można jeszcze próbować zostać inżynierem.

Cukiernik zaś zawsze zostanie cukiernikiem i co najwyżej może awansować na starszego cukiernika.

Im bliżej było końca szkoły, tym wolniej mijał dom, w którym mieszkała jego radość. Pewnego dnia, gdy już prawie się poddał i ponowił starania o względy Loredany, która jednak również wydawała mu się bardzo odległym owocem, signora Bertone rzeczywiście pojawiła się na balkonie. Starał się zmusić, by nie popatrzeć do góry, ale oczywiście zerknął, a wtedy ich spojrzenia się spotkały. Signora Bertone miała na sobie fartuch bez rękawów i rozwieszała bieliznę.

- Ty jesteś najstarszy z Marcipane, prawda? Odezwała się do niego. Teraz tylko nie zrobić fałszywego kroku.

- Dzień dobry, signora Bertone. Jestem Antonio - powiedział, kładąc palce na piersi. - Jestem drugi pod względem starszeństwa.

- A ile masz lat, Antonio Marcipane?

- Już prawie szesnaście.

- To musisz być pewnie już bardzo silny.

Nie pojmował, do czego zmierzała, ale na wszelki wypadek odpowiedział, że niewątpliwie jest jednym z najsilniejszych w całej szkole, co nie było kłamstwem.

- Skoro jesteś taki silny, to na pewno mi pomożesz, prawda?

- A co miałbym zrobić? Nie mam dużo czasu. Muszę iść do domu na obiad.

Kłamstwo. Miał mnóstwo czasu, ale sprawa go przerosła. Był romantykiem, kimś, kto nie był natychmiast do wszystkiego gotowy. Jego odwaga topniała.

- To pójdzie szybko, trzeba przestawić tylko kilka mebli.

- No dobrze.

Wszedł do domu, a następnie na drugie piętro, gdzie z uśmiechem przyjęła go signora Bertone.

- Mój wybawiciel - powiedziała nie bez ironii i zaprowadziła go do mieszkania, które było gustownie urządzone, jak uznał. Szła przed nim, a jej pośladki odznaczały się pod fartuchem niczym wielka obietnica. Szedł za nią, aż spostrzegł, że zmierza do sypialni. Został w drzwiach.

- Signora Bertone, co mam robić w pani sypialni?

- Boisz się? - odpowiedziała i zaczęła się śmiać. - Z wami, chłopakami, jest zawsze to samo. Na ulicy jesteście bohaterami, a jak tylko się do was zbliżyć, zamieniacie się w dzieci.

Antonio wpatrywał się w podłogę zmieszany.

- Czyli pomożesz mi teraz czy nie? - spytała z udawaną niecierpliwością.

- To co mam zrobić?

- Spadł mi pierścionek za łóżko. Musisz je przesunąć, żebym mogła go poszukać.

Antonio skinął głową i chwycił łóżko od spodu, by odsunąć je od ściany. Było ciężkie, ale nie na tyle, by signora Bertone nie mogła sama go przesunąć.

Położyła się na brzuchu na łóżku przykrytym zdecydowanie zbyt różową narzutą i zanurzwszy palce między poduszki, zaczęła szukać.

- Pomóż mi, może ty go znajdziesz. Przeszepował z nogi na nogę. Uznał, że spełnił swój obowiązek lepiej niż dobrze i był gotowy ponownie przysunąć łóżko do ściany. Pani Bertone odwróciła się i patrzyła na niego w milczeniu. Wówczas położył się obok niej i oboje szukali pierścionka, co do którego Antonio miał gorącą nadzieję, że wkrótce się znajdzie. Nie chciał, by signor Bertone strzelił mu w plecy, gdyby nagle pojawił się w pokoju i przyłapał ich razem.

- Widzisz go?

- Nie, signora.

Co to było? Poczul jej rękę na swoich spodniach. Przesuwała się po pośladkach w dół. Jak oparzony odskoczył i wybiegł z mieszkania. Coś jeszcze za nim wołała, ale już nie rozumiał co.

Już na ulicy stwierdził, że zostawił na górze swoją teczkę. Idiota, pomyślał. Gdy już niemal się zdecydował uzasadnić utratę teczki i zeszytów napadem jakiejś bandy z San Antonio Abad, co wydało mu się honorowe i przekonujące, signora Bertone wyszła na balkon z jego rzeczami i zawołała:

- Słodziutki, zapomniałeś czegoś.

Zamachała teczką i rzuciła mu ją prosto w ręce. Sąsiedzi i przechodnie odwracali głowy. Jeden z mężczyzn stojących pod barem skinął nawet głową w jego stronę z uznaniem. Antonio przemknął do domu. Chociaż bezpośrednio nie zdobył punktu, nie wyszedł też na głupka, bo signora Bertone go nie upokorzyła. Co za kobieta!

- A więc to tak było! Wtedy opowiadałeś co innego, ty wariacie! - woła Daniele w międzyczasie. - To nie może być prawda! Jesteś pierwszym człowiekiem na świecie, który zdobył sobie miejsce w raj.

Tego zdania jest nie tylko Daniele, lecz także kierowca ciężarówki, który stoi przy barze i je orzeszki ziemne do swojego negroni.

- Ja też głęboko żałowałem - mówi Antonio i uśmiecha się tym swoim wiele i nic niemówiącym uśmiechem.

Wieczorem dzwonię do domu. Potrzebuję jeszcze jednego dnia, może nawet dwóch. Czuję, że to ważne, by tu być. Ale nie umiem tego wyjaśnić Sarze.

- Co wy tam robicie cały dzień?

- Nie wiem - próbuję odpowiedzi, co do której wiem, że spotka się z nieufnością. - Spacerujemy i rozmawiamy.

- O czym też mój ojciec z tobą rozmawia? Biedaku.

- Nie jest tak jak zazwyczaj. Opowiada mi swoją historię życia.

- Co?

- Opowiada mi o swoim życiu. Ma taką potrzebę. Muszę kończyć, bo Antonio kręci się koło mnie z otwartym zeszytem Teksa w dłoni.

- Kiedy wracasz do domu?

- Nie wiem. Wkrótce.

Rozdział ósmy

Idziemy do hali targowej i spotykamy tam Benita, wariata, który wywołał wojnę rodzinną i który pracuje w sklepie rybnym, gdzie wykonuje różne proste prace. Niezmiernie się cieszy, gdy nas widzi i od razu z dumą opowiada, że dzisiejszego ranka zabił młotkiem (który teraz trzyma mi przed nosem) ogromną rybę - pokazuje rękami około półtora metra.

Jestem zachwycony i cieszę się z nim.

- Benito - odzywa się Antonio poważnym tonem - znasz tu, na targu, kogoś, kogo nazywają Piselli?

- Ee, nie.

- Ma czarne kręcone włosy i całkiem okrągłą głowę. Znasz go?

Ale Benito stracił zainteresowanie nami. Wali młotkiem w kilka brudnych brył lodu i patrzy na mnie przy tym jak na dorsza.

Naciskam, żeby już iść. Wolno posuwamy się w przedpołudniowym upale przez mały park i siadamy w końcu na ławce. Antonio zdejmuje kapelusz i obraca rondo między palcami.

- Na czym skończyliśmy?

- Chyba na dziewczynach.

- Zawsze dobry temat, jeśli wiesz, co mam na myślach - uśmiecha się i pokazuje mi baterię złotych zębów.

Niedoszła przygoda z signorą Bertone miała swoją dobrą stronę. Odwaga Antonia w stosunku do kobiet wzrosła do niemal nieznośnych rozmiarów po tym, jak opowiedział swoim kolegom o przygodzie, oczywiście w podkoloryzowanej wersji. Teraz nie tylko Loredana była łatwą zdobyczą, ale także większość innych dziewczyn, które miał na oku. Gdy rozpoczął naukę zawodu ślusarza, miał nie mniej niż trzy dziewczyny naraz, co wymagało od niego zręcznej

organizacji i nieco sprytu. Każdego dnia jeździł do Frosolone, gdzie ukończył już naukę i spotykał się z pewną Clarą, którą poznał w autobusie. Wieczorami wymykał się do domu Baffonego, żeby potajemnie szeptać miłosne obietnice siostrze Giovanniego - Elvirze, natomiast weekend należał do Loredany, która się go uczepiła jak atramentowa plama.

Antonio zapewne zarzuciłby swoje plany opuszczenia tego miasta chociażby z wygody, jednak był w nim niepokój, którego nie umiał sobie wytłumaczyć, tęsknota, której nie umiały zaspokoić ani Clara, ani Elvira, ani Loredana, a już na pewno nie Campobasso. Gdy autobus zatrzymywał się na przystanku we Frosolone, za każdym razem zmuszał się, by na nim wysiąść. Wolałby tak po prostu pojechać dalej, dokąd by go zaniósł. Przez sześć lat patrzył przed zaśnięciem na obrazek Nowego Jorku, który powiesił sobie nad łóżkiem.

Zrobił też dodatkowe szkolenia z rysunku technicznego, skończył kurs angielskiego, równolegle zaczął naukę zawodu tokarza, bo chciał być dobrze przygotowany, gdyby pewnego ranka wsiadł do autobusu jadącego do Rzymu i po prostu zniknął. Jednak nie potrafił się na to zdobyć. Jego rodzeństwo było od niego zależne, potrzebowało jego i pieniędzy, które przynosił do domu. Szczególnie Maria, która go przejrzała, choć trzymał swoje plany w tajemnicy, i błagała, by został. Popatrzyła mu wtedy w oczy i wiedziała, że któregoś dnia po prostu odejdzie, ponieważ unikał jej spojrzenia.

Wreszcie włoskie wojsko zadbało o to, że uniknął losu życia w Campobasso. W styczniu 1961 roku Antonio dostał list. Kazano mu zgłosić się na przegląd poborowych. Powołanie było przewidziane na maj. Antonio zasięgnął informacji, czy ewentualnie nie mógłby zostać marynarzem, jednak powiedziano mu, że powinien zadowolić się tym, co mu się oferuje. Podczas badania zaglądano mu w oczy, do ust i do tyłka. Ustawiono chłopców w szeregu, wrzeszczano na

nich, zniesławiano, celowo przekręcając nazwiska. Zrobiono więc wszystko, co tylko możliwe, by zmusić Antonia do ucieczki.

Pieniądze, nawet najskromniej licząc, nie wystarczyłyby mu na Amerykę. O wizie też nie miał co marzyć. Natychmiast sprawdzono by, czy ten chłopak nie otrzymał powołania do wojska. A gdyby przedostał się do Francji, a stamtąd pojechał dalej? Zbyt ryzykowne. Dezerterów surowo karano, nawet gdy znajdowano ich tylko w pobliżu granicy. Słyszał, że w Niemczech zatrudniano zagraniczną siłę roboczą i że dobrze ją opłacano. Jednak wolno tam było wyjechać z niezbędnymi kwalifikacjami. Antonio musiał się śpieszyć. W maju miał się zgłosić do wojska, musiał więc zniknąć wcześniej. Egzamin na tokarza wyznaczono pechowo na koniec kwietnia. To było o wiele za późno, ponieważ aby starać się o posadę w Niemczech, wcześniej należało mieć ważne dokumenty. Musiał więc skłamać.

Napisał do Wydziału Zagranicznego w Weronie i zgłosił się jako robotnik. Wymagane zaświadczenie po prostu zapomniał załączyć. Dla bezpieczeństwa nie wspomniał także o swoim powołaniu. Odpowiedź przyszła w ciągu kilku dni. Pewna firma w Osnabruck w Niemczech szuka tokarza z jego umiejętnościami. Przyjazd do Werony po sprawdzeniu dokumentów - 30 kwietnia. Może przyjechać już 29, nocleg zapewniony. Te suche słowa przyprawiły Antonia o bicie serca. Oczywiście nie podał swojego adresu zwrotnego, lecz adres Clary, bo wiedział, że nie zwróci ona uwagi na nadawcę listu. Nawet gdyby zrozumiała, co znaczy Wydział Zagraniczny, nie mogłaby opowiedzieć o tym nikomu, kogo znaliby oboje.

W ostatnim tygodniu kwietnia zdał swoje egzaminy z wyróżnieniem. Jeszcze tego samego wieczoru spakował małą walizkę, którą pożyczył od Baffonego. Powiedział mu, że

musi teraz częściej jeździć do Rzymu, by tam chodzić do średniej szkoły technicznej. Nie miał odwagi powiedzieć koledze prawdy, przyrzekł sobie jednak, że odeśle mu walizkę pocztą.

- Dlaczego pakujesz swoje rzeczy do walizki? - spytała go Maria, stojąc w drzwiach i przyglądając się, jak bez pośpiechu, ale pewnymi ruchami pakował walizkę Baffonego.

- Muszę wyjechać - odrzekł krótko, ponieważ czuł, że żadne wyjaśnienie by jej nie uspokoiło.

- Dokąd?

- Po prostu muszę wyjechać. - Dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego? Za dużo pytasz. Czasami mężczyzna musi odejść. Mężczyźni tacy są.

- Tata nie. On chodzi codziennie do banku. Maria, podobnie jak wszystkie dzieci rodziny Marcipane, poza Raffaele i Antoniem, wierzyła, że Calogero stał za okienkiem bankowym i dlatego była z niego bardzo dumna. Nikt do tej pory nie powiedział jej prawdy, mianowicie, że jej ojciec pracuje po prostu jako portier w Banco di Napoli.

- Tata też wyjechał, na wojnę. Nie było cię jeszcze wtedy na świecie.

- Ty też idziesz teraz na wojnę?

- Coś w tym stylu.

Maria podbiegła do niego i uczepiła się jego nogi. Płakała i szlochała. Antonio usiadł na łóżku, wziął ją na ręce i głaskał po głowie, dopóki nie przestała.

- Obiecuj mi, że nie odejdziesz.

- Nie mogę. Ale obiecuję ci, że wkrótce wrócę. Jeżeli nie spodoba mi się tam, gdzie jadę, to natychmiast jestem z powrotem.

Dziewczynka odpowiedziała, że jest pewna, że mu się nie spodoba, on natomiast myślał odwrotnie. Wiedział, że dawał

jej fałszywe nadzieje, czuł bowiem, że wszędzie będzie lepiej niż tu. I że nigdy nie wolno mu tego powiedzieć.

Następnego ranka wstał, umył zęby i wyszedł z domu jak zawsze. Walizkę już w nocy zniósł na dół i ukrył w piwnicy za kilkoma starymi skrzyniami na owoce, aby nie wzbudzać podejrzeń. Zastanawiał się nawet nad tym, czy nie lepiej będzie schować ją kilka ulic dalej na wypadek, gdyby jego matka wyglądała przez okno, ale to wydało mu się zbyt niebezpieczne. Co będzie, gdy ktoś znajdzie jego (czy raczej Baffonego) walizkę i zabierze ze sobą? Wtedy jego ucieczka skończyłaby się, zanim jeszcze na dobre by się rozpoczęła.

Antonio nie pojechał do Frosolone o 6.10. Przeczekał w barze przy przystanku i o 7.20 wsiadł do autobusu jadącego do Rzymu. Kazał sobie rozpisać połączenia i już we Frosolone - nie w Campobasso oczywiście - kupił bilet kolejowy. Całymi dniami nosił go w kieszeni spodni i co chwilę sprawdzał, czy jeszcze tam jest.

Z Rzymu pojechał do Werony, gdzie przybył wieczorem. Tu sprawdzono dokumenty podróżnych. Nikt nie zwrócił uwagi, że atrament pod jego świadectwem ukończenia szkoły ledwo zdążył wyschnąć i że data wystawienia jest sprzed dwóch dni, co oznaczało, że w momencie ubiegania się o tę posadę nie mógł być jeszcze w posiadaniu tego świadectwa.

W nocy Antonio nie mógł spać ze zdenerwowania, więc następnego dnia wsiadł do pociągu śmiertelnie zmęczony. W jego przedziale podróżowali elektryk z Florencji, jeden ślusarz z Pizy, dwóch ślusarzy z Bolonii i on, Antonio Marcipane, ślusarz i tokarz z dyplomem w zakresie rysunku technicznego i stosunkowo dobrą znajomością angielskiego. W walizce Baffonego leżały dwie koszule, dwie pary butów, skarpetki, mydło, spodnie, budzik, bielizna na tydzień, zeszyt Teksa i zdjęcie Nowego Jorku. Były tam też jabłko, mleko i w papierowej torebce czysty nowy banknot dziesięciomarkowy,

który dokładano mężczyznom - to o wiele za mało do życia, ale wystarczająco dużo na nowy początek. 1 maja 1961 roku w godzinach południowych przekroczył granicę Niemiec. Nie oglądał się za siebie, nie bał się. I został tu, na zawsze.

- Żałowałeś? - pytam Antonia, który w ostatnich minutach stał się nieco melancholijny.

- Nie żałowałem, nie mogę tak powiedzieć. Ale byłem samotny, rozumiesz?

- Ando, mam pytanie.

- Strzelaj.

- Co się stało z walizką? Odesłałeś ją do Baffonego?

- Walizek? Czekaj, nie. Nie odesłałem. Jest gdzieś w piwnicy. Są tam ozdoby dla choinka.

- Myślę, że powinieneś ją zwrócić. - Tak myślisz?

Przed powrotem do nonny Anny robimy jeszcze zakupy. Niedaleko jej mieszkania otwarto nowy supermarket. Trzeba tam włożyć jedno euro do koszyka jako kaucję. Kuzyn Marco uważa, że jedno euro to superkorzystna cena za wózek zakupowy tej wielkości. On sam ma już takie dwa u siebie w domu, za pomocą palnika i piły do metalu przerobione na ciekawe pod względem formy fotele do oglądania telewizji.

W supermarkecie też są fotele telewizyjne. W ogóle wydaje się, że są to meble o strategicznym znaczeniu. Siedziska te mogą być regulowane w najdziwniejszych miejscach, bo gdyby ktoś na przykład wpadł na szalony pomysł oglądania telewizji z głową na jednym oparciu, a pośladkami na drugim, fotel ma pozostać w dalszym ciągu wygodny. Włosi już wiedzą, czym jest prawdziwy luksus, mianowicie nie skorzystać z okazji, która się nadarza. Prawie wszystkie fotele mają ukryte klapy na napoje, kieszeń na papierosy, piloty i obrazki ojca Pio. Są one (fotele, nie obrazki) pokryte wodoodpornym materiałem, którego chemiczne składniki przypuszczalnie przenikają przez ubranie

do organizmu, żeby siedzący z zachwytem konsumował program telewizyjny. Kolory tych mebli pokrywają się z kolorami ich posiadaczy, którzy znikają w nich zupełnie. Antonio długo stoi przed fotelem z wbudowaną funkcją masażu.

- Umie budować meble, Włosi. Wiele z nich to głupia sałata, ale mają chrust.

- Gust.

- Taaak, jaaaki spryyytny.

Kiwa z uznaniem i puka się w głowę. Potem kupujemy ser i wino.

Rozdział dziewiąty

Nonna Anna o nic nie pyta. Nie chce wiedzieć, jak długo zamierzamy zostać i jest jej obojętne, co robimy przez cały dzień. Wychodzimy z mieszkania jak każdego ranka około jedenastej i wracamy sześć, siedem godzin później. Potem odbywa się - będąca dla mnie szykaną - kolacja w szerszym gronie rodzinnym. To, że nie płaczemy się cały dzień po domu, oczywiście bardzo jest na rękę nonnie Annie, która nie musi stale przygotowywać espresso. Najpewniej zdaje się jej, że mam niezaspokojone pragnienie kawy, ponieważ co godzinę pyta mnie, czy mam ochotę na kawę.

Przygotowuje ją na kuchence w jednej z tych zakręcanych aluminiowych kawiarek. Jej kawa jest doskonała, zdążyłem się już do niej bardzo przyzwyczać. Przynosi mi ją w maleńkiej filiżance z porcelany i stawia obok cukiernicę z zatkniętą srebrną łyżeczką, której uchwyt przypomina precyzyjnie wyciętą cierniową witkę.

Dziś była przy tym szorstka. Może miała zły humor, bo po wstaniu z łóżka zapomniałem odwrócić obraz z płaczącym chłopcem, a gdy wróciłem z toalety, zobaczyłem, że ustawia malowidło przodem do siebie. Mogę zrozumieć, że jest na mnie zła, ale nie mogę spać, gdy żałośnie wpatrują się we mnie oczy tego dziecka. Chcąc uniknąć skandalu, nie mówię Antoniowi o moich obawach popadnięcia w niełaskę. W każdym razie ten incydent umacnia mnie w postanowieniu, żeby pomału wracać do domu.

Napiłbym się też w końcu dobrej kawy z filtra, a tu takiej nie ma. W domu zresztą też nie. Kawa naturalna zdaje się znikać na poziomie globalnym.

Co takiego poza kofeiną było w niej złego? Było zawsze tak miło napić się normalnej kawy, zalanej wrzątkiem, bulgoczącej w papierowym filtrze. Dobrze, trzeba przyznać, że nie każdy jest w stanie zrobić przyzwoitą kawę, a

większość ludzi, którzy piją tzw. kawę biurową, średnioterminowo od niej zachoruje, ponieważ oblepia ona żołądek jak asfalt i przeważnie tak też smakuje. Jest też głównym sprawcą tego, że urzędnicy się pocą i że cuchnie im z ust bagiennym trupem. A jednak okazało się, że kawa z filtra nie była taka zła, odkąd jej miejsce zajęło coś o wiele gorszego: latte macchiato, bezkofeinowe espresso, cappuccino z chudym mlekiem.

Winni temu nie są jednak Włosi, jakkolwiek nazwy tych napojów mogłyby na to wskazywać, lecz - oczywiście - jacyś Amerykanie (w typie studenckiego kumpla Billa Gatesa), którzy jeszcze wierzą, że swoją zawiesiną sprawili światu podobny prezent, jak teflonowa patelnia czy kostka Rubika.

Degradację kawy przypieczętowali paradoksalnie tym, że pozwolili jej się rozpowszechnić w owych kioskach, które w dużych miastach nazywają się zazwyczaj Chicago Coffee Corporation lub podobnie. Nie podają tam już właściwej kawy, a tylko star - dust eon low - fat lat te decaf medium size czy inne świństwo w papierowych kubkach. Nie chodzi o to, że to coś nie smakuje, ale o to, że to już nie jest kawa. Kto raz pił ją u nonny Anny czy Daniele, doceni jej jakość.

Globalizacja kawy prowadzi do tego, że nie można już rozróżnić, w którym zakątku świata się znaleźliśmy, ponieważ świat wszędzie smakuje tak samo. Czasem w tych filiach światowego spisku dla poniżenia smaku można dostać coś do jedzenia. Na przykład wrapped tuna burritos albo fresh french charmin rolls. Kanapki z kiełbasą niestety nie ma.

Ta degradacja dotyczy nie tylko samego produktu, lecz także formy podawania. Na czym polega postęp ludzkości, skoro dorośli tak cofają się w rozwoju, że dobrowolnie trzymają kubek z plastikową pokrywką i otworem w kształcie dzioba, z którego nie plamiąc się, mogą ssać. A przecież te przyzwyczajenia trzeba porzucić najpóźniej w momencie, gdy

za picie można już płacić własnymi pieniędzmi, a więc w wieku mniej więcej sześciu lat. A jednak jest mnóstwo ludzi, którzy nie czują się głupio, targając ze sobą papierowy kubek zglobalizowanej kawy do ssania i torebkę jagodowych muffinów, chociaż papierowe kubki nadają się raczej na kinderbale. Przecież wino też pije się z kieliszka. Mała czarna zasłużyła na odpowiednie naczynie - to coś więcej niż tylko kwestia honoru, to kwestia dobrego smaku i stylu.

U Daniele dostajemy naszą porcję w małych grubych filiżankach. Antonio wsypuje tak dużo cukru do środka, że jego espresso zamienia się w roztwór nasycony. Ja natomiast zadowolam się jedną łyżeczką. Lubię też ją mieszać. Uważam, że ma to w sobie coś z medytacji. Dziś Antonio nie pyta, na czym stanęliśmy. Zaczyna swoją opowieść w chwili, gdy minutowa wskazówka dużego zegara Cinzano na ścianie w Cafe Montefiore przeskakuje na 11.30. Klik.

Gdy 2 maja Antonio przybył do Osnabruck, nikt na powitanie nie zaserwował mu espresso. Nikt też nie powiedział „dzień dobry”. Na dworcu stał przygotowany autobus, który przybyłych pracowników zabrał do baraku, w którym mieli mieszkać i w którym Antonio z powodu alfabetycznej bliskości nazwisk został umieszczony w czteroosobowym pokoju z dwoma mężczyznami z Hiszpanii i jednym z Portugalii. Był on wyposażony w dwa piętrowe łóżka, cztery wąskie szafy na ubrania i jeden stolik z dwoma krzesłami. Oba krzesła od razu zajęli Hiszpanie, podczas gdy Portugalczyk i Antonio przez pół dnia siedzieli ze swoimi walizkami na łóżkach i w milczeniu przyglądali się, jak ci dwaj grali w karty.

Praca nie była dla Antonia obciążająca. Co więcej, miał wrażenie, że w zakładzie naprawy karoserii wypełniał głównie zadania, na które niemieccy pracownicy nie mieli ochoty. Jego kwalifikacji ani nie wykorzystano, ani nie przyjmowano do

wiadomości. Nikt go też nie zagadywał, tak więc pracował godzinami w milczeniu i myślał przy tym o Ameryce. Po kilku tygodniach zrozumiał, że tu, w Osnabruck, był bardziej oddalony od Nowego Jorku niż kiedykolwiek wcześniej. Wyciągnął z walizki zdjęcie i przykleił je na ścianie obok łóżka na wysokości głowy.

Jednak tęsknoty za domem nie odczuwał. Najmniej. Po dwóch tygodniach napisał list do matki (oczywiście bez nadawcy, aby nie naprowadzić służby wojskowej na swój ślad), w którym próbował wyjaśnić, że musiał ją opuścić, by poszukać swojego szczęścia tu, w Niemczech. Był to pierwszy z całej serii listów, które co kilka tygodni wysyłał do ojczyzny. Nie mógł wprawdzie otrzymywać poczty, ale jego własne słowa pomagały mu pokonywać niezadowolenie, ponieważ w opisach upiększał znacznie swoje położenie, pisząc o komfortowym mieszkaniu i dalekosiężnych planach, jakie zakłada już teraz z nim wiąże. Opowiadał o eleganckich ulicach miasta i doskonałym wyżywieniu, które nie dorównuje temu w ojczyźnie. W rzeczywistości niczego bardziej nie nienawidził niż rozgotowanej papki, którą nazywano tu Pichelsteiner Eintopf, i czteroosobowego pokoju, w którym Hiszpanie do późna w nocy przepijali swoje pieniądze, a potem szukali z nim zaczepki. Antonio nie schodził im z drogi. Kto z nim zaczynał, musiał liczyć się z tym, że trafił na twardego i bezwzględного przeciwnika. Wściekłość i frustracja torowały sobie drogę. Prawie każdego wieczoru w jednym z pokoi ktoś obrywał.

W międzyczasie poznał rodaków pochodzących z Kalabrii i Apulii. W ich mieszkaniu przyrządzali sobie dobre ragu. Czasami, gdy weekend zapowiadał się nudno, wychodzili wspólnie i poznawali nocne życie w Osnabruck. W domu, kilka miesięcy wcześniej, w atlasie znalezionym w bibliotece

nie odnalazł tego miejsca. A teraz tu mieszkał i patrzono na niego jak na przybysza z dalekich krajów.

Niemieckie dziewczyny mu się podobały, szczególnie ich blada cera i życzliwa ciekawość, z jaką mu się przysłuchiwały, gdy po włosku paplał o swoim życiu. Z kolei ich uwagę przykuwały jego barwa głosu i niebieskie oczy. Wkrótce zakochał się w pewnej młodej kobiecie imieniem Monika, która pracowała w fabryce, w księgowości.

Po dwóch tygodniach mniej lub bardziej potajemnych spotkań, podczas których przeważnie rozmawiali bez słów w międzynarodowym języku miłości, Antonio poznał jej narzeczonego, który naturalnie sceptycznie podszedł do ich znajomości.

Ktoś z baraku musiał zdradzić mu coś o związku Moniki i mężczyzna ten, niezgrabny operator stacji benzynowej imieniem Heinz, zaczął się na Antonia, gdy ten po powrocie ze zmiany wchodził akurat do domu.

- Co ty wyprawiasz z moją żoną?! - wrzasnęła na zaskoczonego Toniego.

- Ja nie rozumiem - To nie było kłamstwo.

- Znasz Monikę?

- Nie, nie znam. To było kłamstwo.

- Pokażę ci, co robimy z wami, zasrańcami, jeżeli się dobieracie do niemieckich kobiet! - zaryczał i przyłożył Antonioniowi dwa razy w nos, który od razu się złamał.

Antonio mógłby rozerwać tego faceta na kawałki, podpalić stację benzynową i nasikać na grób tego skurwysyna. Wiedział, że ma więcej siły niż ten robak, a już na pewno więcej odwagi. W Campobasso gość byłby załatwiony. Jednak gdy krew kapiała mu z twarzy, zdał sobie sprawę, że bójka z Niemcem, obojętne z jakiego powodu, skończyłaby się jego wyjazdem. Pozwolił więc, by spływała na jego koszulę. Zniósł też śmiechy Hiszpanów i powstrzymał chęć zemsty.

Tego wieczoru, w którym Heinz Krawczyk z Osnabruck złamał mu nos, Antonio leżał na swoim łóżku i płakał. Płakał, bo ktoś zdarł mu ze ściany jego zdjęcie Nowego Jorku. Płakał, ponieważ musiał znieść upokorzenie ze strony tego mężczyzny. Płakał, bo Monika nie była wobec niego szczerą (obelga, która szczególnie go dotknęła, chociaż on sam nigdy nie przejawiał wobec kobiet szczyrych uczuć). Płakał, ponieważ wiedział, że w tej fabryce karoserii nigdy nie zdobędzie pozycji, którą wedle swoich listów od dawna miał. Wreszcie płakał, bo bolał go nos.

Podczas tej bezsennej nocy, w której jego serce biło tak gwałtownie i głośno, że bał się, czy nie obudzi obłąkanych Hiszpanów, którzy mogą znowu szukać z nim zaczepki, Antonio Marcipane zdecydował się na następną ucieczkę. Było mu najzupełniej obojętne, dokąd go zanieśie, ponieważ takie miejsce jak tu znajdzie wszędzie. Pokój w tym chlewie kosztował go czterdzieści marek na miesiąc. Prądnik do gotowania czy światło: co dziesięć minut jeden grosz.

Podobnie jak za pierwszym razem, Antonio dał sobie czas na rozeznanie w możliwościach. Te zdawały się ograniczone, nie miał absolutnie żadnego pomysłu czy choćby mglistego wyobrażenia tego, dokąd mógłby się udać. Z początku pracował więc dalej jak gdyby nigdy nic, podobnie jak zrobił to jego ojciec, gdy z jednym jabłkiem jako prowiantem wyruszył, by rozbrajać bomby, które spadały na domy innych ludzi, a ci byli zbyt tchórzliwi albo zbyt bogaci, by chcieli ich dotykać. Wtedy podziwiał ojca, ale stale zadawał sobie pytanie, dlaczego tak cierpliwie znosił obelgi, którymi obrzucano go z powodu jego pochodzenia. W międzyczasie go zrozumiał.

Tak jak Calogero, Antonio Marcipane też był obcym, wygnańcem wykonującym pracę, której inni nie chcieli. I

podobnie jak ojciec zaczynał widzieć w niej pewnego rodzaju życiowy cel, by akceptować to, co nieuniknione w tej sytuacji. Jedno jednak odróżniało go od Calogera: podczas gdy ten wcześniej pogodził się ze statusem outsidera i wyniósł go niejako do rangi tradycji rodzinnej, Antonio pragnął tego losu uniknąć. Pytanie brzmiało tylko: jak? Odpowiedź nasuwała mu się jedna: jeśli okrutna rzeczywistość tego życia doprowadziła do tego, że złamano mu kości i duszę, postanowił, że nie będzie dalej brał udziału w takiej rzeczywistości. Będzie żył w swoim własnym wszechświecie, w świecie Antonia Marcipane. Nic nie mogło go powstrzymać, jeżeli nie uznawał barier, które stawiano mu na drodze. Antonio postanowił uznać swoją własną perspektywę patrzenia na świat za jedynie obowiązującą i nie zmieniać jej, nawet jeżeli innym ludziom wydawałaby się odległa i nierzeczywista.

- Czyli właściwie zdecydowałeś się zwariować - wtrącam. Stopniowo zaczynam rozumieć niektóre rzeczy.

- Nie, nie wariować. Jestem wariowany? Bezczelny facet. Nie jestem wariowany, mam tylko indywidualne widzenie rzecz. To kwestia filozofijna.

Daniele kręci głową.

- Jeśli mnie pytacie - mówi, bo nie podoba mu się poziom rozmowy - Ando zawsze miał psychiczny defekt.

Po czym wolno oddała się za bar.

- Nie, wcale nie! - woła Antonio i szepcze do mnie szybko: - Wszystko miało swój sens, dzięki to mogłem przetrwać w ten świat.

Jego strategia przetrwania, którą do tej pory stosuje, szybko znalazła wyraz w niewyjaśnionej wesołości.

W przeciwieństwie do kolegów praca zdawała się iść mu łatwiej, wykonywał ją pogodnie i zadziwiał tym nawet niemieckich brygadzystów, którzy jego dobry humor

przypisywali słynnemu włoskiemu temperamentowi, który wcześniej znali tylko przez Vica Torrianiego (pochodzącego zresztą ze Szwajcarii).

W przeciwieństwie do swoich lokatorów z pokoju, Antonio nie wysyłał pieniędzy do ojczyzny. Oddawał je na przechowanie właścicielowi mieszkania i tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na nowe spodnie czy kino, co było nie w smak obu Hiszpanom mającym dzieci na utrzymaniu. Jedynym człowiekiem, wobec którego Antonio żywił coś w rodzaju przyjacielskich uczuć, był głupi Ugo.

Głupi Ugo pochodził z Toskanii i najpewniej na głowę spadło mu o kilka kasztanów za dużo. Mimo to w Wydziale Zagranicznym dostał pozwolenie na wyjazd do Niemiec, co Antonio tłumaczył sobie korupcją, na którą jednak sam Ugo by się przecież nie zdobył, bo był za głupi. Prawdopodobnie był to sposób na pozbycie się syna. Po przyjeździe do Osnabruck szybko się okazało, że Ugo jest za głupi nawet na to, by wkręcić śrubę. Na domiar złego miał też skłonności do napadów epileptycznych, które uniemożliwiały mu wykonywanie niebezpiecznych prac pomocniczych czy noszenie ciężkich części. Ponieważ jednak potrzebowano kogoś, kto utrzymywałby halę w czystości, wciśnięto mu do ręki miotłę i polecono zamiatać. Osiem godzin dziennie, sześć dni w tygodniu. Ugo chętnie zamiatał na swoje utrzymanie. Gdy odkrywał dużego pająka, biegł do Antonia i ciągnął go za ramię.

- Aaa, pajak!

Antonia bardziej interesowały opisy przerw obiadowych Uga niż opowieści rzekomo mądrych ludzi, ponieważ chodziło w nich zawsze tylko o pieniądze i kobiety. Ugo natomiast był kojąco cichy, jeżeli o to chodziło i chętnie słuchał Antonia, gdy ten opowiadał o Machiavellim i jego długoletniej przyjaźni z Zygmuntem Freudem.

Antoniowi nie przeszkadzało zbytnio, że wkrótce Ugo i on zostali nazwani w fabryce Grubym i Głupim, co patrząc z zewnątrz, było trafnym opisem. Antonio - jeżeli nie był szczególnie gruby - nie był też zbyt wysoki, Ugo zaś wyglądał jak szkielet z małym nosem, którym poruszał w rytm ruchów miotły, co czynności tej nadawało niejako artystyczny wyraz. Gdy fabryka zatrudniła firmę sprzątającą, Uga zwolniono. Załatwiono mu jednak nową pracę w innym mieście. Ugo zniknął bez możliwości pożegnania się z Antoniem. Inni koledzy zdawali się w ogóle nie zauważyć jego zniknięcia.

Dwa tygodnie później Antonio dostał list. Od Uga. O takiej oto treści: „Drogi Antonio, chciałem Cię tylko poinformować, że jestem teraz w Oldenburgu. Jest tu bardzo ładnie i pracuję w restauracji. Mój szef powiedział, że Ty też możesz przyjechać. Ja skubię kury, ale Ty nie musisz tego robić. Możesz podawać, bo powiedziałem mu, że Ty jesteś bardzo mądry. Załączam adres. Przyjedź niedługo. Twój Ugo. Podyktowałem ten list naszemu kucharzowi, bo on umie lepiej pisać”.

Do listu dołączył kartę dań, na której podane były nazwa i adres restauracji. Nazywała się Kombuse i mieściła w Oldenburgu, który nie leżał aż tak daleko od Osnabruck, by nie można było się odważyć tam przeprowadzić.

Antonio złożył wypowiedzenie w pierwszym możliwym terminie, tuż po tym, jak pisemnie potwierdził przyjęcie posady kelnera w Kombuse. Takiej pracy chętnie się podejmie. W zakładzie, jak do tej pory, poza kilkoma chropowatymi sformułowaniami i przekleństwami, nie nauczył się niemieckiego. W restauracji dużo się rozmawiało, prawdopodobnie nawet z takim jak on. Polecił więc sobie wypłacić pieniądze i poczuł się bogaty, choć właściciel mieszkania oszukał go przynajmniej na połowę sumy.

Spakował walizkę Baffonego i bez pożegnania opuścił Osnabruck.

W Oldenburgu Ugo czekał na niego już na dworcu i machał z zapalonym, gdy tylko go zobaczył. Razem pojechali taksówką - Antonio był przecież bogaty - do Kombine. Miejsce to okazało się smażalnią kurczaków prowadzącą sprzedaż uliczną, gdzie można było również usiąść. Antoniowi spodobało się tu od razu, ponieważ lubił kurczaki. I Uga - ten dokonał brawurowej sztuki, znajdując mu również mieszkanie. Właściwie nie było to mieszkanie, tylko niedrogo urządzone pokój w ramach podnajmu, ale Antoniowi wydawało się, że wprowadza się do pałacu. Miał dwadzieścia cztery lata i po raz pierwszy w życiu spał sam w jakimś pomieszczeniu. Pierwszej nocy nie zmrużył oka, bo było tak cicho.

Gospodyni domu nazywała się Eggebrecht i mogłaby być jego matką. Gotowała dla niego makaron i uwiodła go po czterech dniach.

- Tak, byłem dziki chłopak, który lubią kobiety! - woła Antonio przez środek baru.

- Tak, ale nie tak głośno. Nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. - Przepraszam.

To było cudowne zrządzenie losu. Podobał mu się także jego nowy zawód. Jako kelner w czarnych spodniach, białej koszuli i kamizelce w paski nie czuł się już pomocnikiem, nawet jeżeli jego wiedza z zakresu tokarstwa i ślusarstwa tutaj była jeszcze mniej potrzebna niż w Osnabruck. Tu go szanowano, rozmawiano z nim. Ugo, kucharz Rocco i on stanowili wesoły zespół. Większość gości była życzliwa wobec Antonia, który szybko odkrył, w jaki sposób można dostać napiwek od większości niemieckich gości. Tu coś zaśpiewać, tam się trochę uśmiechnąć. I zawsze być szybkim. Niczego bardziej niemieccy goście nie lubili.

Pani Eggebrecht wkrótce chciała już tylko symbolicznej zapłaty za najem. Utrzymywała Antonia według wszystkich reguł tej pięknej sztuki. Gdy codziennie około północy wracał do domu śmierdzący smażonym tłuszczem, brał kąpiel, którą jego gospodyni już mu przygotowała. Czasami brała ją razem z nim, a on, jeżeli akurat nie był zbyt zmęczony, chętnie poddawał się jej staraniom. W zamian w weekendy wyprowadzał jej jamnika. W ten sposób wszyscy troje byli bardzo zadowoleni.

Antonio odkładał zarobione pieniądze, ponieważ nie wiedział, co mógłby z nimi zrobić. Po raz pierwszy od czasu swojej ucieczki z Włoch miał mgliste poczucie szczęścia, które mogłoby trwać, gdyby pewnego dnia Ugo nie wpadł na nieszczęsny pomysł odwiedzenia rodziców.

Już jakiś czas o tym mówił, ale nigdy dotąd nie zrealizował swoich planów. Gdy na początku 1964 roku pojechał w kierunku Greve, Antonio czuł gdzieś głęboko w sercu, że już nie zobaczy swojego przyjaciela. We Włoszech Ugo spóźnił się na pociąg i wsiadł po prostu do innego, jadącego do Rzymu. Gdy tam przybył, przestraszył się. Zdezorientowany biegł przez perony i ze zdenerwowania dostał ataku padaczki. Upadł na tor, na który wjeżdżał właśnie pociąg regionalny. Ugo poniósł śmierć na miejscu. Antonio dowiedział się o wypadku, gdy spytał jego rodziców, kiedy przyjaciel zamierza wrócić.

Bez Uga praca w Kombuse nie sprawiała już przyjemności. Była znacząca różnica, czy kury skubał Ugo, czy ktoś inny nieposiadający jego talentu dodawania nowego tekstu do śpiewanych piosenek. Pustkę z powodu utraty jedyne go prawdziwego przyjaciela Antonio zauważył już chociażby w tym, że jego przychody z napiwków znacznie się skurczyły.

Z panią Eggebrecht pokłócił się pewnego wtorkowego wieczoru, kiedy to poskarżyła się, że jego namiętność nie jest już tak autentyczna jak dawniej. On odpowiedział jej w neapolitańskim dialekcie, że - łagodnie rzecz ujmując - powinna się przejrzeć w lustrze, jeżeli coś jej nie pasuje. Potem po części przez nieuwagę, a po części umyślnie przydepnął psa, chociaż nie chciał mu zrobić poważnej krzywdy, bo jamniki są łagodniejsze, niż się uważa. Pani Eggebrecht zakończyła ich symbiotyczny związek i godzinę później ze starą walizką Baffonego i własną nową stał przed drzwiami Rocca. Jego żona nie była zachwycona wizytą Antonia, który już od jakiegoś czasu wieczorami był ich częstym gościem. Ale nie można mu było kazać nocować w przytułku. Pościeliła więc sofę i miała nadzieję, że pan Marcipane nie zostanie u nich na dłużej.

Antonio spał dokładnie jedną noc u Rocca. Przy śniadaniu powiedział:

- Muszę jechać do domu.

Był już trzy lata w Niemczech, a przypadek Uga uświadomił mu, że powinien zobaczyć się z rodzicami, choćby po to, żeby pokazać im, jak dobrze mu się wiedzie - wyruszył przecież z jedną walizką, a zaledwie po trzech latach zarobił na zawartość drugiej.

Ciągle jeszcze obawiał się interwencji włoskiego wojska, nadal nie odczuwał bowiem najmniejszej chęci odbycia służby. Możliwe, że przechwyciło ono jego listy i dlatego nigdy nie zapominał podkreślać w nich, że w żadnym wypadku nie zamierza wracać do ojczyzny. Wziął urlop i wsiadł do pociągu, nie zapowiadając swojego przyjazdu. Przez te trzy lata nie odczuwał tęsknoty za domem, nie miał też ochoty na powrót do piętrowego łóżka ani tym bardziej do ciasnego miasta, w którym ludzie spuszczaali rolety w oknach, gdy tylko słyszeli obce głosy na ulicy. Zdążył też już

przyzwyczaić się do niektórych rzeczy w Niemczech, nawet do deszczu w Dolnej Saksonii i do marynowanych śledzi, które pani Eggebrecht mu proponowała, gdy wieczorami oglądała w telewizji programy rozrywkowe. W zasadzie podjął tę podróż tylko po to, żeby zobaczyć, czy zrobi na innych wrażenie, czy będą go traktować z podziwem, czy z pogardą, gdy pojawi się w Campobasso w nowym brązowym garniturze.

Efekt, musiał to przyznać, był mizerny. Tylko Maria cieszyła się jak dziecko, którym zresztą jeszcze była. Wszyscy inni, szczególnie Raffaele, nie kryli, że nie pochwalali jego ucieczki i że jego pojawienie się traktują bardziej jak luźną i krótką, miejmy nadzieję, wizytę niż powrót.

- Ubranie było drogie? - mruknął jego ojciec podczas posiłku, który jedli tylko w siódmkę, ponieważ Matteo odbywał w tym czasie służbę wojskową i bywał w domu przez dwa weekendy w miesiącu, zaś Davide i Furio pracowali na targu, bo rodzina potrzebowała pieniędzy.

- To dobry niemiecki garnitur.

- Włoskich tam pewnie nie mają.

- Niemcy nie cenią włoskich garniturów - powiedział Antonio lekko wyniośle. W zasadzie był zirytowany odrzuceniem, jakie go spotkało. Przecież regularnie pisał. Prawdopodobnie nie czytali - jak myślał - jego listów w szerokim gronie, tylko podsycali nimi ogień w piecu.

- I jak się macie? - spytał szczególnie wesoło, a ponieważ nikt nie odpowiedział, uzupełnił: - Tato?

- Dziękuję, dobrze. Oczywiście nie tak dobrze jak ty, bo ty w ziemi obiecanej do czegoś doszedłeś i nie musisz się już martwić o swoich biednych krewnych.

Aha, to stąd wiatr wieje. Zazdrość!

- Ale przecież jestem tutaj.

- Każdy przyzwoity chłopak wysyła pieniądze, gdy w innym kraju zarabia tak dużo jak ty. Każdy. Tylko nie ty. Nie, żebyśmy ich potrzebowali, nie, nie, dajemy sobie doskonale radę i bez twoich niemieckich pieniędzy, ale to jest kwestia szacunku dla rodziny. Co my ci właściwie zrobiliśmy, że tak źle nas traktujesz?

To był właściwy moment, żeby powiedzieć prawdę i przyznać, że po pierwsze, nie zarobił tak dużo, jak pisał w swoich listach i że po drugie, wcale nie zamierzał wracać, że jest tu tylko dlatego, że Ugo podsunął mu ten pomysł. Zamiast tego powoli wstał, poszedł do pokoju, w którym Furio zajął jego miejsce na piętrowym łóżku i wyjął ze swojego kufra sporą torebkę. Przechowywał w niej oszczędności, ponieważ ciągle jeszcze nie założył konta, a w Oldenburgu nie miał już kwatery, w której mógłby zostawić pieniądze. Wziął je i w milczeniu wrócił do pozostałych. Odwrócił torebkę, a jej zawartość wysypała się na stół pomiędzy sałatkę pomidorową a okruszki chleba. Nikt nie powiedział słowa. Antonio napawał się tą chwilą milczącego zdziwienia, które było bardzo bliskie jego wyobrażeniu o wielkim wejściu. Ponownie usiadł i jadł dalej, podczas gdy jego ojciec podniósł banknot dziesięciomarkowy i spojrzał nań pod światło.

- Czy tu jest dużo? - spytał Calogero, który nie znał się na banknotach, ponieważ w banku nigdy nie miał z nimi styczności.

- Tak, bardzo dużo. Około pół miliona lirów - przesadził Antonio z udawaną obojętnością i oderwał kawałek białego chleba.

- Uważajcie trochę z pieniędzmi i nie zabrudźcie ich. W Niemczech używa się tylko czystych banknotów bez plam. W ogóle tam jest o wiele czyszej niż tu.

Calogero, który ciągle jeszcze odczuwał głęboki zachwyt dla wszystkiego, co niemieckie, zaciekał się tymi słowami i

dał się pojednać błogosławieństwem pieniędzy. Antonio cały wieczór opowiadał o Niemczech, gdzie wszyscy jeździli dużymi samochodami, jakich we Włoszech prawie w ogóle nie było, a większość rodzin mieszkała we własnych domach na gęsto zabudowanych przedmieściach.

Tylko Raffaele przeprosił i poszedł do domu do swojej nowo poślubionej żony. Na nim nie dało się tak łatwo zrobić wrażenia jak na jego owieczkopodobnym rodzeństwie i rodzicach. Jako starszy brat miał prawo być kimś szczególnym, głównym mówcą i aktorem rodziny, ale Antonio pozbawił go tego przywileju, a ten nie mógł mu tego przebaczyć. Nawet podczas swojej nieobecności Antonio zawsze był głównym tematem rozmów. A teraz, kiedy fizycznie wrócił, sytuacja miała się nie tylko nie poprawić, lecz pogarszała się z każdym dniem jego pobytu, ponieważ oczywiście wszyscy sąsiedzi, każdy piekarz i rzeźnik w mieście chcieli wiedzieć, jak było w Niemczech i jakie przygody przeżył młody Marcipane w tym zimnym kraju. Raffaele usunął się więc w cień i pojawił dopiero wtedy, gdy młodszy brat wyjechał.

Antonio zakończył swoją wizytę triumfalnym pochodem przez miasto. W końcu stało się to, czego zawsze pragnął: potajemny wyjazd i powrót z wielką pompą. W drodze do pociągu przyjął nie mniej niż dziewięć paczek z prowiantem. Czuł się jak gwiazda filmowa, gdy zrobiono mu zdjęcie, które następnego dnia pojawiło się w gazecie. Nagłówek: „Syn z Campobasso w drodze do Niemiec”.

Nawet wojska już się nie bał. Po pierwsze, wydawało się nieprawdopodobne, żeby jeszcze teraz go powołano, ponieważ było wystarczająco dużo rekrutów, a pieniądze, które miałyby być wyłożone na wytropienie go, przekraczały możliwości włoskiego urzędu. Po drugie, był w posiadaniu ważnego

pozwolenia na pobyt, które umożliwiało podróżowanie bez stawiania mu pytań.

Wizyta w domu dobrze mu zrobiła i postanowił, że będzie teraz regularnie dawał rodzinie możliwość degustacji jego sukcesu, nawet jeżeli za każdym razem będzie go to drogo kosztować. Utrata kilku marek była jednak niczym w porównaniu z tym, co otrzymywał w zamian: podziw, czasem zazdrość, którą cenił niemal bardziej, ponieważ wiedział, jak potrafi być głęboka.

Euforia związana z podróżą minęła, gdy tylko wrócił do Oldenburga. Tych kilka drobiazgów, które przekazał Roccowi na przechowanie, zastał pokryte tłuszczem w kuchennym kącie w Kombuse. Mieszkanie kolegi było opuszczone i ponieważ nie wiedział, dokąd miałyby się udać, poszedł do restauracji.

- Nie ma go - złorzeczył pan Ringel, szef. - Po prostu zwiął i zostawił mnie na lodzie z moimi kurami. Jeden umiera, następny znika jak kamfora. Włosi mnie wykończą.

Choć Antonio był Włochem, dobrze rozumiał rozczarowanie pana Ringela i nie wziął do siebie ostatniej uwagi.

- Zostawił ci list.

Antonio otworzył go i czytał: „Drogi Przyjacielu, znalazłem inną pracę. W dobrej restauracji. Należy do kuzynki Chiary i mieści się w Krefeld. Tu mogę normalnie gotować włoskie specjały. Miasto nie jest wprawdzie tak ładne jak Oldenburg (a na pewno nie tak niepowtarzalne jak znaczące, historyczne i rycerskie miasto Campobasso, o którym mi tyle opowiadałeś), ale jest na tyle duże, że zawsze znajdzie się praca. Odwiedź mnie kiedyś”. Pod spodem widniał adres: Jagerstrasse w Krefeld.

Antonio chwycił walizkę Baffonego oraz swoją i podał panu Ringelowi rękę.

- Dziękuję za tutto, signor Ringele, musiec iść.

- Co to ma być? Wy, Italiańcy, doprowadzacie mnie do szału. Najpierw chcecie koniecznie pracy, potem gwizdżecie na nią i po prostu zwiewacie.

- Przykro mi, musiec iść.

- Ach, no to uciekaj! - wrzasnął Ringel i trzasnął kuchennymi drzwiami.

Antonio znowu poszedł na dworzec i dowiedział się, gdzie dokładnie leży cel jego podróży. Kupił bilet, po czym mijając wielkie kominy i błyszczące fabryki stali, pojechał przez Munster, Recklinghausen i Duisburg do Krefeld, gdzie po pytaniu kogoś o drogę na Jagerstrasse zapukał w końcu do drzwi Rocca, który mieszkał z Chiarą w okazałym wynajętym domu. Nikogo nie zastał, a ponieważ nie znał adresu restauracji, umościł się na schodach. Spał tak chyba ze dwie godziny z walizkami przyciśniętymi mocno do ciała, gdy ktoś stanął mu na but i zawołał do niego po włosku:

- Hej, ty tam, tu się nie śpi. To porządny dom.

Gdy Rocco rozpoznał swojego przyjaciela, podniósł go, postawił na nogi i mocno objął. Antonio został u niego kilka tygodni i znowu pracował jako kelner. Jego iskrzący urok wrócił i wszyscy byli zadowoleni. Poza Chiarą, która coraz częściej z sykiem szeptała na ucho mężowi tylko o jednym, o bezczelnym - jak uważała - wykorzystywaniu jej gościnności.

- On musi odejść - zagroziła Roccowi pewnej nocy, gdy oboje nie mogli spać, ponieważ Antonio chrapał w salonie tak głośno, jakby miał za to wygrać szynkę.

- Albo ja odejdę - była to wprawdzie pusta groźba, ale odniosła skutek.

- Musisz się wyprowadzić! - zawołał Rocco następnego dnia przez okno kuchni restauracyjnej, przekrzykując hałas garnków i patelni, i podał Antoniowi do ręki scaloppine al limone na stolik numer trzy.

- Albo ona się wyprowadzi.
- O czym ty mówisz?
- Ty musisz odejść albo Chiara odejdzie. Mam się zdecydować.
- I na co się zdecydujesz? - spytał Antonio naiwnie.
- Ona ma ładniejsze nogi, musisz to zrozumieć.
- Zawsze lądujesz na ulicy - powiedziałem do mojego teścia.
- Wtedy tylko lichwiarze wynajmowali takimi młode chłopaki jak ja. Nie znalazłem mieszkanie. Ursula była mój klucz do mieszkanie.

Bardzo szarmanckie, naprawdę.

- Jak poznałeś Ursulę?

- Na karnawał poznałem. Opowiem ci jutro.

Antonio płaci, idziemy. Daniele macha ręką.

Muszę wracać, miałem właściwie nadzieję, że wieczorem albo w nocy pojedziemy, ale nic z tego. Daję mu jeszcze jeden dzień. A potem musimy jechać do domu, nic nie poradzę.

Nonnę Annę odwiedziła sąsiadka. Nazywa się Aurora i ma ze sobą grube dziecko nieokreślonej płci, które przez całą wizytę siedzi w kurtce i wpatruje się w piszczącego game boya.

Nonna Anna i Aurora siedzą przy stole i cicho rozmawiają. Nie zwracają uwagi na naszą obecność. Przed nimi stoją talerz, butelka oliwy i szklanka wody. Obok leżą nożyczki. Po wielu nerwowych konsultacjach nonna Anna bierze oliwę do ręki i wylewa kroplę na talerz. Antonio wyjaśnia mi, co to znaczy. Chodzi o wypróbowany środek na klątwy. W tym celu wylewa się na talerz nieco oliwy, która się rozchodzi. Następnie dodaje się kroplę wody i obserwuje, co się stanie. Jeżeli kropla się podzieli, klątwa nie zadziała. Gdy natomiast się powiększy, nie dzieląc się, wówczas przyszłość

jest zła, jak w przypadku Aurory, której milczące przerażenie podkreśla pisk game boya.

- Nic nie szkodzi - szepcze Toni. - Nonna ma swoje sposób.

Nonna Anna sięga po nożyczki i przecina kroplę wody. Klątwa zdjęta. Rozwiązanie może być tak proste.

Rozdział dziesiąty

Współzawodnictwo pomiędzy Antoniem a jego starszym bratem jest wyczuwalne, gdy tylko otwierają się drzwi i Raffaele wchodzi, by odwiedzić swoją matkę. Mnie nie zauważa w ogóle. Jestem dla niego panem Nikt. Inaczej niż Matteo czy mąż Marii - Egidio, którzy chętnie zabierają mnie na spacer po mieście albo na krótkie wypadki do knajp, gdzie przysłuchuję się potokowi słów, piję piwo z butelki, palę papierosy MS i uprzejmie potakuję, gdy ktoś mnie szorstko i bezzębnie zagaduje - Raffaele jest podejrzliwie powściągliwy. Na powitanie całuje mnie tylko raz, a nie dwa razy jak inni. I przygląda mi się przy jedzeniu, co zauważyłem już kilka razy. Krótko mówiąc: nie lubię go.

On też mnie nie lubi. Czuje, że faworyzuję innych w rodzinie i to nie poprawia atmosfery, która i tak jest już napięta, ilekroć Raffaele gdzieś się pojawia. Chwali się tym, że w całym swoim życiu jeszcze nigdy nie pracował. Antonio, jako Niemiec, ze względu na honor uważa to za typowo włoską postawę, która rzekomo jest przyczyną wszystkich trudności w tym kraju.

Raffaele Marcipane to macho w starym stylu. Większość Europejczyków w dzisiejszych czasach uważa za szowinizm zachowanie, gdy mężczyzna po powrocie do domu woła na powitanie: „Skarbie, co jest do jedzenia?” Jednak w przypadku Raffaele to nie on, lecz jego żona wieczorem woła już od progu: „Skarbie, co jest do jedzenia?” Na tę eskalację machismo u kobiety zwraca uwagę nawet Antonio, a to już coś znaczy.

Jakiś czas temu Raffaele osiągnął wiek emerytalny i ponieważ nie otrzymał żadnego listu, w którym poinformowano by go o wysokości jego przyszłych dochodów czy nadaniu mu statusu emeryta, osobiście udał się do urzędu, by tym pierdzącym w stołek darmozjadom przedstawić swoje

zdanie. Urzędnik wszędzie szukał odpowiednich dokumentów, aż w końcu wyjaśnił mu, że w jego przypadku nie dostał żadnej decyzji, ponieważ z dokumentów nie wynika, że ma on prawo do emerytury.

- Co to ma znaczyć? - oburzył się Raffaele i wyciągnął swój paszport, by na podstawie daty urodzenia dowieść urzędnikowi, że jest przeciwnie.

Przytaczając cierpliwie cały szereg dowodów, urzędnik wyłożył Raffaele, że samo osiągnięcie wieku emerytalnego nie oznacza jeszcze prawa do emerytury i że najpierw trzeba pracować, by cieszyć się tym przywilejem. W międzyczasie Raffaele obraził biednego człowieka takimi wyzwiskami, jak: lump, cham, pyszałek czy waśniak. Gdy nadszedł moment, w którym coraz bardziej zniechęcony urzędnik wyjaśnił, że Raffaele musiałby wcześniej pracować, ten przerwał mu i wrzasnął: „Tak? A myślisz, że kto położył dach na kościele? I kto w Małym Warsztacie Baffonego wykopał rów montażowy? Co?”

- Dostał pan za to zapłatę? - spytał chytrze urzędnik.

- Tak, a jak myślisz, półgłówku?

- Przyjmuję zatem do wiadomości, że w dużej części zarabia pan na życie, wykonując pracę na czarno.

- Nikt mi nie mówił, że nie dostanę z tego powodu emerytury - powiedział już ciszej Raffaele i wobec kłopotów, w które się właśnie wpakował, przełączył się z ostrożności na „wsteczny bieg” i swego rodzaju żalony ton, który przed dwoma laty pozwolił mu uzyskać czterdziestoprocentowy rabat podczas zakupu nowego stołu i jadalni.

Urzędnik zamknął swoje notatki i pouczył go krótko: „Proszę czekać na informację od nas”.

Oczekiwana emerytura nie nadeszła, przyszło za to wezwanie w sprawie pracy na czarno, którą w zjednoczonej Europie i we współczesnych Włoszech należy zwalczać, jak

poinformowano go w odpowiedzi. Nic dziwnego, że Raffaele teraz częściej i przeważnie niepytany informuje wszystkich, że Włochy mogą go spokojnie pocałować w tyłek. Europa ze swoimi Duńczykami i Hiszpanami tym bardziej. Jednak do dziś nie jestem pewien, czy Raffaele od początku dobrze wiedział, że nie ma prawa do emerytury i po prostu chciał spróbować, czy uda mu się ją mimo wszystko dostać, czy też rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy, że po pierwsze, trzeba pracować, żeby dostać emeryturę, a po drugie, w żadnym wypadku na czarno. Nawet jeśli mogę zapisać sobie na plus, że całkiem dobrze orientuję się w relacjach panujących w tej rodzinie, to jednak tego rodzaju niuanse ciągle jeszcze są dla mnie nieczytelne. Mam jednak wrażenie, co jest pocieszające, że nawet niektórzy Włosi mają z tym problem.

Raffaele został w końcu skazany na bolesną grzywnę i od tego czasu odmawia zapłaty za autobus. Żeby dokonać zemsty na społeczeństwie, przechodzi też przez publiczne kwietniki i nie daje datków na państwowe instytucje, czego zresztą i wcześniej nie robił, ale wtedy nie uzasadniał tego krzywdą, jaką mu ten kraj wyrządził.

- Witamy w raj - nuci Daniele na powitanie, gdy otwieramy drzwi jego baru.

Jest to jeden z mniejszych barów w Campobasso, a położenie - w dużej odległości od gwarne go ruchu na corso - nie pozwala właścicielowi robić dużych interesów. Za to jego bar jest spokojny i przytulny. Przy kontuarze stoi przeważnie tylko kilku sąsiadów o zmęczonych twarzach i biznesmeni, którzy na szybko potrzebują tramezzino i kawowego kopa.

- Dzień dobry i do widzenia - odpowiada Toni. - Przyszliśmy, żeby się pożegnać. Mój drogi chłopak i ja musimy, niestety, wracać. Moje interesy czeka.

Jego interesy, coś takiego!

Siadamy na naszym stałym miejscu. Nie musimy niczego zamawiać, ponieważ Daniele bez pytania przynosi kawę i żeby uczcić ten szczególny dzień, stawia przed nami jeszcze dwie bomby - pączki z kremem waniliowym (znacznych rozmiarów, na marginesie).

- Gdzie byliśmy, drogi chłopak?

- Karnawał 1965, Ursula - odpowiadam hasłowo.

Antonio nie przywiązywał wagi do karnawału. Dla niego były to po prostu zawsze głośne dni, które oznaczały tylko pracę. Słynna reńska wesołość nawet mu się podobała, ale całe to przebieranie było mu obojętne. Zmienianie stroju tylko po to, żeby w knajpach kołysać się plecami do siebie na zbyt wąskich ławach i wlewać w siebie piwo, uważał za głupie. To można przecież robić przez cały rok, nie wyglądając przy tym jak pirat, clown albo Arab.

Na polecenie kuzyna Chiary, Michele, do którego należała Ristorante da Michele, również jej załoga musiała zaopatrzyć się w kostiumy wedle wyboru. Antonio kupił żółtą koszulę od sąsiada w pensjonacie, w którym za akceptowalny czynsz wynajmował pokój. Dobrał do tego czarny kapelusz z filcu - brązowego nie było - pistolet zabawkę, pasek z nabojami oraz czarną chustkę na szyję i teraz wyglądał jak Teks, którego tutaj w Krefeld oczywiście nikt nie znał.

W Różany Poniedziałek, pierwszego marca 1965 roku, niósł tacę pełną piwa Altbier do szczególnie wesołego stolika, przy którym siedziało siedem młodych kobiet bez męskiego towarzystwa, co Antonio uznał za niezwykle, ale tym bardziej interesujące. Szczególnie zwrócił uwagę na dziewczynę siedzącą po prawej, zewnętrznej stronie, ponieważ nie śmiała się aż tak głośno i właściwie prawie nie była przebrana. Miała na sobie zupełnie niezabawny kostium, a do tego żółty szyfonowy szal. Jedynie papierowy kapelusik z różową woalką legitymował ją jako uczestniczkę tej ekspedycji, która

z pewnością była na męskich łowach. Woalkę podnosiła tylko wtedy, kiedy chciała upić piwa i zaraz pospiesznie spuszczała ją ponownie, jakby się martwiła, że jej i tak skromne przebranie straci wszelką moc, a ktoś jeszcze sobie pomyśli, że zawsze nosi ten kapelusz.

Antonio okazywał jej całą swą uprzejmość i gdy w końcu jej opór nieco stopniał, spytał o imię. Nazywała się Ursula Holtdorf i była sprzedawczynią w sklepie z zabawkami. Koleżanki zmusiły ją do pójścia na tę imprezę. Ursula nie uważała się za szczególnie urzekającą i najchętniej zostałaaby w domu. Mężczyźni nie byli jej wprawdzie obojętni i miała za sobą związki z nimi, jednak wszystko odbywało się według jednego schematu, według którego po jakimś czasie ją zostawiali. Ten kelner, który ciągle do niej mrugał i zupełnie zapomniał doliczyć jej piwo do rachunku, z pewnością był także jednym z nich. Ursula chciała już wracać do domu.

- Nie, proszę zostać, żebym mogłem pani widzieć. Ursula nie chciała jednak, by ją oglądano. W domu,

w jej małym mieszkaniu, czekała na nią jeszcze ważna sprawa. Musiała napisać list po francusku. Podczas ostatniego urlopu, który ze względu na dobre powietrze spędziła z matką w Bretanii, poznała mężczyznę. Ten spławił ją w szczególnie bezczelny sposób i na dodatek okradł. Brakowało naszyjnika, który chciała za wszelką cenę odzyskać. Znała jego adres i postanowiła do niego napisać. Jej francuski nie był najlepszy, dlatego zajęło jej to cały tydzień, a i tak w końcu nie wysłała wiadomości, ponieważ była pewna, że ów Thierry już przy jej czytaniu będzie pękał ze śmiechu.

- Zna pan francuski? - zapytała kelnera o jasnoniebieskich oczach, które natarczywie się jej przyglądały.

- Natiuhralnie - odpowiedział, naśladowując francuski akcent.

- Naprawdę? Czy mógłby mi pan pomóc w napisaniu listu? Bardzo osobistego listu.

- Chętnie, przyjdź pani pojutro, wtedy wszyscy z bólem głowy w domu i mogę pomóc.

- Jak się pan nazywa?

- Anton von Marzipan - odpowiedział, ponieważ stwierdził, że jego elegancko zmienione nazwisko jeszcze bardziej niż we Włoszech nadawało się na dobry wstęp do rozmowy z kobietami. „Von” czyniło zeń niejako szlachetnego Marcipane.

- To przecież tylko żart! - zawołała i roześmiała się, choć przeszywające spojrzenie mężczyzny patrzącego jej poważnie w oczy odebrało jej pewność siebie.

- Bez żarty. Przyjdzie pani w Środa Popielcowa i pokażę pani dowód w moich spodniach - przez co chciał powiedzieć, że będzie miał wtedy swój dowód osobisty w kieszeni spodni.

Ursula oczywiście źle go zrozumiała i została w domu. Gdy trzy dni później list ciągle jeszcze nie był gotowy, zebrała się na odwagę i poszła do Da Michele, gdzie od razu rozpoznała pana von Marzipana. Ten powitał ją wylewnie i posadził przy najlepszym stoliku, gdzie przychodził co pięć minut, żeby ją zapewnić, że ma dla niej mnóstwo czasu i że może jeść na jego koszt.

W końcu dosiadł się do niej, a ona przedstawiła sprawę, którą Antonio od czasu do czasu komentował, grożąc wysoko uniesioną pięścią. Mówił też: „A to łajdak, francuski oszust”. Następnie zaoferował jej, wciąż jeszcze wściekły, że natychmiast napisze taki list, że ten Thierry ze strachu od razu odda biżuterię. Przyniósł papier i pióro do stołu i napisał to, co mu Ursula podyktowała. Gdy skończyła, podpisał się w jej imieniu, starannie przeczytał jeszcze raz list, czy nie ma błędów, zgiął arkusz i włożył go do koperty. zaproponował, że sam ją zaadresuje, żeby Thierry nie zauważył jej

odręcznego pisma, i na odwrocie wpisał jej nazwisko oraz adres.

Następnie życzył jej powodzenia i poprosił, by szybko znowu przyszła mu powiedzieć, jak Thierry z Paimpol w Bretanii zareagował na ich wspólne dzieło.

Antonio zaśmiał się krótko i przeciągle i przerwał. Przygotowuje puentę, dokładnie to czuję, ale on sam nic nie mówi. Próbuję więc czytać w jego oczach, o co teraz chodzi. Mam mu zadać pytanie.

- Ty znasz francuski?

Trafiony, zatopiony. Włączyła się głośna syrena, gwałtowne potrząsanie głową, idziemy dalej.

Byłby to mały cud, gdyby ów Thierry się odezwał, ponieważ żaden człowiek nie byłby w stanie zrozumieć treści listu. Antonio tak znał francuski, jak świnia jazdę na rowerze, nagryzmolił więc Francuzowi jakiś niezrozumiały językowy miszmasz. Najzwyczajniej nie chciał, żeby Ursula utrzymywała dalej kontakt z tamtym chłopakiem.

Gdy dwa tygodnie później rozczarowana kobieta ponownie pojawiła się w Da Michele, doniosła mu, że niestety Thierry pozostał niewzruszony i że musi się chyba pożegnać z naszyjnikiem. Na pocieszenie Antonio zaprosił ją na weekendowy spacer.

Pojechali autobusem do parku miejskiego, a tam Antonio tak długo zasypywał młodą kobietę żartami, aż ta w końcu zaczęła się śmiać. Potem wziął ją za rękę i poprowadził przez kałuże. Gdy po siedmiu dniach znowu się spotkali, podarował jej srebrny naszyjnik z okropną zawieszka, który ze łzami wzruszenia przyjęła. Pobrali się cztery miesiące później.

Nigdy nie opowiedział jej o triku z listem, ale wszystkie jej późniejsze próby nakłonienia go do urlopu we Francji, gdzie przecież doskonale może porozumiewać się po francusku, skończyły się fiaskiem. W osobliwy, ale dla niego

także smutny, a nawet bolesny sposób, cała jego znajomość języka francuskiego w ciągu jednej nocy zniknęła.

- Co powiedzieli na wasz ślub nonna Anna i Calogero? - pytam Antonia, którego występ od dawna jest już legendą. Myślę, że musiało być miło świętować z całą rodziną.

- Dali nam prezenty, ale nie mogły przyjść - odpowiada tak sucho, że mogę się tylko domyślać, jak bardzo go to dotknęło.

Antonio i Ursula byli tak szczęśliwi, jak tylko można być, zważywszy że ich miłość była oczywista wyłącznie dla nich. W sklepie z zabawkami Ursula jawnie stała się wrogiem, ponieważ śmiała pokochać, co więcej, poślubić cudzoziemca. Coś takiego nie uchodziło, co dawano jej odczuć: demonstracyjnie odsunięto się od niej i nie informowano jej, gdy mąż przychodził po nią do sklepu. Skoro tylko pojawiał się w drzwiach, a Ursula nie zdążyła go jeszcze dostrzec, szefowa posyłała ją do magazynu albo do piwnicy, a on musiał długo stać i czekać na jej powrót. Gdy próbował się o nią dowiedzieć, ignorowano go tak długo, jak się dało, albo odpowiadano mu tak pokrętnie i zawile, że nie rozumiał odpowiedzi i tylko grzecznie skłaniał głowę.

Ale Anton von Marzipan się nie skarżył. Nie wiadomo też, czy w ogóle przyjmował do wiadomości obelgi, jakie pod jego adresem kierowano. Chodził po prostu wolno między regałami, oglądał figurki z drewna i kolejki i nucił przy tym cicho jakąś melodię. Gdy Ursula w końcu się pojawiała i ze strachem pytała, jak długo tym razem na nią czekał, mówił tylko: „W ogóle nie czekałem. Jestem klient i rozglądam się tylko, z pani pozwolenie, piękna, łaskawa pani”.

Właśnie za to go kochała.

Sytuacja stała się bardziej napięta, gdy właściciel mieszkania Ursuli, w którym mieszkał teraz także Antonio, zakazał, by ich wspólne nazwisko zamieszczono na dzwonku:

wprawdzie jakoś znosi to, że mieszka u niego cudzoziemiec, ale naprawdę nie każdy musi o tym wiedzieć. Para postanowiła więc, że wynajmie własne mieszkanie, ponieważ z początkiem 1966 roku nie można było nie zauważyć, że wkrótce rodzina Marcipane będzie potrzebować więcej miejsca.

Ladacznicą (jak nazywano Ursulę w pracy nawet w jej obecności) wstydziła się za tych nietolerancyjnych ludzi, o których przez pół życia myślała, że są przyzwoitymi sąsiadami, kolegami i przyjaciółmi. Gdy w domu wieczorami płakała, Antonio uspokajał ją i pocieszał, mówiąc, że tak się dzieje z każdym obcym na emigracji, że to należy do istoty obcości i że gdy pewnego dnia stanie się dla wszystkich znajomy, to sytuacja się zmieni. Wiedział jednak, że to nieprawda. Myślał o swoim ojcu i o tym, że na całe życie pozostał obcym. Dlaczego tutaj miałyby być inaczej niż w Campobasso?

Nikt nie chciał tej dwójce wynająć mieszkania. W końcu Antonio zgodził się zapłacić trzy tysiące marek nieprzyzwoicie wysokiej kaucji wásaczowi mówiącemu w dialekcie krefeldzkim, który wprawdzie nie pozwolił małżeństwu Marcipane obejrzeć ich nowego mieszkania przed podpisaniem umowy, ale obiecał za to usunąć pleśń ze ściany w sypialni, co oczywiście się nie stało.

Z chwilą narodzin Lorelli, starszej siostry Sary, Ursula zwolniła się z pracy w sklepie z zabawkami i tym samym uniknęła skutków pożaru, który niedostatecznie ubezpieczoną firmę Spielwaren Berger w kilka dni doprowadził do ruiny. Musiało to być podpalenie, choć nie znaleziono na to jednoznacznych dowodów. W każdym razie sądząc po uszkodzeniach, ogień wybuchł przy drewnianych figurkach i kolejkach, skąd rozprzestrzenił się na wszystkie piętra. Na szczęście nikt nie został ranny. Gdy Ursula przeczytała

Antoniowi w gazecie o katastrofie, ten wzruszył tylko znudzony ramionami i powiedział:

- Byłem tam kilka razy, ale sprzedawcy tam nie mają dobre maniere. Nic tam nie kupiłem nigdy.

Sam potrzebował nowej pracy, ponieważ jako kelner żył prawie wyłącznie z napiwków. Rodziny w ten sposób nie mógł utrzymać. A poza tym - nawet jeżeli w międzyczasie prawie o tym zapomniał - był ślusarzem i tokarzem ze szczególnym talentem do rysowania. Był przecież kimś, specjalistą z Południa. Udał się więc oficjalnie na poszukiwanie pracy i faktycznie wkrótce znalazł posadę w fabryce stali, nie najgorzej płatną i w niewielkiej odległości od domu. Zrobił prawo jazdy i rok później kupił forda taunusa, swoje pierwsze auto, którym w lecie 1967 roku wyruszył w swoją pierwszą podróż na Południe.

Słowa nie są w stanie opisać dumy i szczęścia, które go przepełniały, gdy trąbiąc, skręcał w Via Tiberio. Po taunusie miał opla rekord, którego niesamowita szybkość niemal pozbawiała Antonia zmysłów, podobnie jak narodziny jego drugiej córki, Sary.

Marcipane znowu szukali mieszkania. I znowu poznawali jowialnych i nad wyraz uprzejmych właścicieli, którzy z wielkim ubolewaniem informowali ich, że mieszkanie z ogłoszenia właśnie zostało wynajęte niemieckiemu małżeństwu. Tym bardziej szkoda ich z powodu dwójki słodkich dzieci, jak ironicznie mówiono. Antonio zdawał się nic sobie nie robić z tych bezczelnych uwag. W końcu uznał, że rynek najmu nie oferuje mu żadnych stosownych obiektów. Owo odwrócenie perspektywy oznaczało dla niego tylko jedno wyjście z impasu: jeżeli nie było dla niego mieszkania, musiał sobie je zbudować.

Zasięgnął więc informacji o działkach i wylądował w końcu z jakimś agentem nieruchomości na podmokłym

terenie, który właśnie udostępniono jako plac pod nową zabudowę i na którym mógł sobie wybrać działkę na dom w zabudowie szeregowej, ponieważ jeszcze żadnej nie sprzedano. Stało się tak dlatego, że tu, podobnie jak w wielu lokalizacjach nad dolnym Renem, woda przenikała przez gliniasty grunt i inwestor musiałby wyłożyć dużo pieniędzy, gdyby mu zależało na suchej piwnicy. Antonio zdecydował się na ostatnią parcelę w szeregu, ponieważ miała większy ogród, który przynajmniej po jednej stronie okalał budynek i niejako w połowie zamieniał go w wolno stojący dom. Fakt ten pozwalał Antoniowi w późniejszych latach nazywać ów dom „swoją małą wilą”.

Kredytu bankowego udzielono mu na niekorzystnych warunkach, ponieważ pan Schulze z działu kredytowego w okoliczności takiej, że Antonio był cudzoziemcem, dostrzegał podwyższone ryzyko dla swojej instytucji. W rozmowie z panem Schulze Antonio poznał niuanse niemieckiego języka, który do dziś zastawia na niego w pułapki. Nie jest to przecież takie trudne, no bo czy ta wrażliwa poniekąd istota może nie odbierać jako ataku na swoją duszę tak odpychającego słowa, jak na przykład „Fremdenzimmer”? Albo „Graupenschauer”. Albo „Eisbein”.

Pan Schulze z działu kredytowego był młodym eleganckim człowiekiem, prawie w tym samym wieku co Antonio. Ale siedział po drugiej stronie stolika.

- Pan jest pracownikiem tymczasowym, prawda? - zaczął rozmowę.

- Tak, jestem tymczasowy już dziesięć rok tu.

- Widzi pan, pracownik tymczasowy to są dwa słowa.

- Dwa słowa - powtórzył Antonio i przytaknął, jakby nie do końca rozumiejąc.

- Składa się z przymiotnika „tymczasowy” i rzeczownika „pracownik”, co oznacza, że jest pan tu zatrudniony tylko tymczasowo. Rozumie pan?

- Rozumiem - skłamał Antonio i szukając pomocy, spojrzał na swoją żonę, która doskonale mogła sobie wyobrazić, co pan Schulze miał na myśli.

- Powinien pracować, a nie robić dzieci niemieckim kobietom i panoszyć się na niemieckich osiedlach - wyrzuciła z siebie. Wystarczająco często obrażano ją, nazywając puszczalską. Zaczęła płakać. Antonio nie zrozumiał, co powiedziała i nie wiedział, jak ma się zachować, więc uśmiechał się przyjaźnie i bawił gumką do wycierania, którą znalazł w kieszeni spodni.

- Ależ łaskawa pani, ja tak nie myślałem - mitygował się pan Schulze. - Miałem na myśli tylko to, że nie wiemy dokładnie, jak długo pan Marcipane u nas zostanie. Być może zechce wkrótce wrócić do Włoch, a wtedy - o czym nieraz się przekonaliśmy - warunki umowy kredytowej mogą nie zostać dotrzymane.

Rodzina Marcipane dostała pieniądze, od których odsetki w przybliżeniu podwajały koszty domu. Antoniowi było to jednak obojętne. Cieszył się tylko, że Lorella i Sara dostały na pożegnanie po śwince skarbonce i baloniku.

Nim jego dom był gotowy - ze względów oszczędnościowych sam podjął się prac wykończeniowych - sąsiednie budynki już stały. Nikt nie przywitał rodziny Marcipane chlebem i solą. Nikt nie wzniósł z nimi toastu za dobre sąsiedztwo. W przeciwieństwie do jego żony, Antonia to nie dotknęło, ponieważ od czasu spotkania z Heinzem Krawczykiem z Osnabruck tak zwani „inni” nie mieli dla niego już żadnego znaczenia. Należał do nich także właściciel mieszkania, który nie zwrócił mu kaucji wynoszącej trzy tysiące marek, ponieważ zastrzegł, że Antonio musi za te

pieniądze usunąć pleśń z sypialni. Ale jemu było to już obojętne. Ursula najchętniej by go oskarżyła, ale mąż ją uspokajał: „Ten facet jest biedak, nie będzie mógł wynająć mieszkanie”.

Tak też się stało. Krótco po wyprowadzce rodziny Marcipane ktoś odkręcił wszystkie przyłącza wody w piwnicy, czego przez wiele dni nikt nie zauważył, a co doprowadziło do ruiny wysłużoną konstrukcję budynku. Trzeba było ją w połowie rozebrać na koszt właściciela. Straty poszły w setki tysięcy.

Jeżeli w przypadku większości osób sprawdza się powiedzenie: „Piekło to zawsze inni”, to dla Antonia brzmi ono: „Inni są zawsze w piekle”. On sam mieszka w niebie małego domku i śmieje się swoim śmiechem syreny.

- To tyle - mówi Antonio i odsuwa swoją filiżankę na bok. - Teraz może iść.

- Jedziemy do domu? - pytam. Na kolejny dzień nieobecności nie mogę sobie pozwolić, ale chcę się też dowiedzieć, co się działo z Antoniem przez następne trzydzieści lat.

- Nic nie działo, nic ważne. Wszystko ważne ci opowiedziałem. Teraz już nic nie będzie, tylko amen - robi znak krzyża i śmieje się krótko.

Mocny uścisk z Daniele, także z mojej strony, i już schodzimy w dół ulic starego miasta, ostatni raz mijamy Vico Vaglia nr 9. Antonio puka w ścianę domu i mówi: „Już tu nie wrócę”.

- Dlaczego nie? Przecież tu jest pięknie.

- Tak, pięknie, ale to przeszłość. Od dziś to dla mnie przeszłość. A przeszłość to głupia sałata, nie da się nic z ona robić.

Pakujemy nasze walizki, a nonna Anna daje mi na pożegnanie panettone, które umieszczam pod siedzeniem

pasażera. Jeszcze tego samego dnia jedziemy do domu. To znaczy Antonio jedzie. Ja leżę na tylnym siedzeniu i nie mogę spać. Myślę o moim teściu. I o Calogerze. O byciu obcym. Jestem teraz jedynym człowiekiem, który zna historię życia Antonia. Już nie jestem dla niego obcy. To wielki zaszczyt. W tej sytuacji można jechać sześćdziesiąt kilometrów na godzinę bez narzekania.

Rozdział jedenasty

Jestem zbyt zmęczony, by opowiadać Sarze o wszystkich szczegółach mojej podróży z Antoniem. Na próbę pytam ją jednak, czy mówi jej coś nazwisko Piselli. Czy słyszała coś o jakimś Baffonem i czy zna restaurację Kombuse w Oldenburgu. Zaprzecza, a na moje pytanie, czy w ciągu minionych trzydziestu lat ojciec opowiadał jej o swoim dzieciństwie i młodych latach, odpowiada:

- Właściwie wiem tylko, że pochodzi z jakiejś zubożałej sycylijskiej rodziny szlacheckiej, że już w młodości angażował się w ruch socjalistyczny i że przyjechał do Niemiec, żeby studiować budowę maszyn gdzieś we wschodniej Fryzji.

Chce wiedzieć, co robiliśmy przez ten cały czas. .

- Piliśmy kawę. - I? Co jeszcze?

- Prowadziliśmy męskie rozmowy. Z Daniele. To mój kolega. Ma bar.

Sara puka się w czoło, nie wie przecież, że mówię prawdę. Dostaje więc streszczenie, a ja w międzyczasie przeglądam pocztę. Wydaje mi się, że nie było mnie trzydzieści lat.

Podróż odeszła wkrótce w zapomnienie. W listopadzie decydujemy się spędzić Boże Narodzenie w Campobasso. Długi czas zwlekaliśmy z potwierdzeniem, po tym jak dostaliśmy paczkę z małym panettone i krótkim listem zapraszającym nas do przyjazdu na święta do Włoch. Panettone wygląda jak próba upieczenia ciasta z pianki budowlanej, rodzynek i skórki cytrynowej w cukrze, i tak też smakuje. Nawet po zjedzeniu kawałka z dużą ilością masła dostaję kaszlu, jakbym cierpiał na zapalenie krtani.

To panettone, które nonna Anna podarowała mi na pożegnanie w lecie, całkowicie ususzyłem i w końcu we wrześniu - na krótko przed otrzymaniem listu z nową porcją - zutylizowałem. Nonna Anna najpewniej wychodzi z

założenia, że kocham to ciasto. Może być też tak, że odpowiedziałem jej kiedyś twierdząco, gdy mnie o to zapytała. Nie potrafię sobie tego jednak przypomnieć, ponieważ gdy ktoś we Włoszech zadaje mi pytanie, z ostrożności zawsze mówię raczej „nie” niż „tak”. A zdarza się to stosunkowo często.

Podróż do Campobasso trzeba dobrze zaplanować - to wiemy na podstawie naszych dotychczasowych wyjazdów. Należy w ciągu tygodnia oblecieć wszystkich krewnych i znajomych, przy czym konieczne jest niezwykle wyczucie, ponieważ także wśród Carduccich jest kilka miłych egzemplarzy, z którymi Sara chętnie by się spotkała, o czym jednak Marcipane raczej nie powinni się dowiedzieć, bo uznaliby nas za wysłanników zła. Frakcja talibów rodziny Marcipane, do której należy też nonna Anna, przekłębą nas wtedy i musielibyśmy na koniec przecinać kroplę wody, żeby uwolnić się od klątwy.

Co prawda już dawno ostatni wspólny gen opuścił rodziny, tak iż pokój jest teoretycznie do pomyślenia i do wprowadzenia w życie, ale ów spór trwa przez pokolenia również dlatego, że bez tego dyżurnego tematu w Campobasso byłoby nudno. Sara rozmawia cały dzień przez telefon z blisko sześćdziesięcioma osobami, żeby na czas naszej wizyty niejako uregulować ruch pomiędzy zwaśnionymi stronami. Należy logistycznie koniecznie zapobiec sytuacji, w której widziano by nas z Carduccimi na corso lub w barze, do którego chodzą też Marcipane. Już teraz wiem, że jest to niewykonalne, ponieważ podczas mojego ostatniego pobytu stale natykaliśmy się z Antoniem na tego czy innego członka wrogiej rodziny. Mój teść rzucił się nawet kiedyś do drzwi domu i szeptał z ciemności: „Poszł już?”

- Kto taki?

- Ten okropny bruttissimo, gość z zielonym uszem.

Rozejrzałem się, czy nie widać gdzieś kogoś z zielonymi uszami i stwierdziłem, że mowa o panu w zielonym kapeluszu.

- Wsiada tam, z przodu, do auta.

- Powiedz mi, jak już go nie ma.

Na mój znak Antonio znowu wychodzi i strzepuje kurz z marynarki. Zignorował moje pytanie, czy przypadkiem nie reaguje zbyt przesadnie i z podniesioną głową zaprowadził mnie do baru Daniele. Nie da się spędzić jednego dnia w Campobasso, żeby nie spotkać kogoś z Carduccich. Staram się to wyjaśnić Sarze, jednak ona upiera się, by opracować plan wizyty, który obejmie także Carduccich. Oczywiście potajemnie. W innym wypadku zostalibyśmy natychmiast wykluczeni z klanu. A tego przecież nie chcemy. Jedyne realne rozwiązanie to nocleg w hotelu, co według mnie jest najlepszym rozwiązaniem, ale nie wchodzi w grę, ponieważ w dolnej części miasta w ogóle nie ma hoteli.

Tym razem nie śpimy u nonny Anny, ponieważ zatrzymają się tam Antonio i Ursula. Zostaniemy u kuzyna Marca, który wprawdzie nie dysponuje pokojem gościnnym, ale ma salon, w którym możemy nocować, jeżeli jego zwierzęta nie będą nam przeszkadzać.

- A co to za zwierzęta? - pytam z ciekawością podszytą obawą, ponieważ zawsze się boję, że w domach z kotami zarażę się toksoplazmozą. Na szczęście Marco nie posiada obecnie żadnego kota. Ma za to dwa węże, liczne pająki i skorpiony oraz akwarium z morską wodą i małym rekinem.

Jedziemy więc do Rzymu i odbieramy naszych teściów z lotniska. Antonio próbuje tam sprzedać swój używany bilet lotniczy jakiemuś skandynawskiemu uczniowi z wymiany za śmiesznie niską cenę pięćdziesięciu euro. Ursula wznosi oczy do nieba i głośno wzdycha. W drodze z Rzymu do Campobasso Antonio wyjaśnia mi różnicę pomiędzy Florencją

a Neapolem: we Florencji lody z trzema kulkami i śmietaną kosztują sześć euro. Jasne? Dobrze. W Neapolu natomiast lody z trzema kulkami i śmietaną kosztują tylko pięć euro. Aha, czyli taka jest różnica. Nie. Różnica jest taka: w Neapolu nie ma lodów pod śmietaną.

Zaczyna padać śnieg. Na zimowo jeszcze tej okolicy • nie widziałem. Przejeżdżamy nawet obok wyciągu narciarskiego, ale ten zdaje się być popsuty. Krzeselka smutno wiszą w powietrzu. Być może brakuje też pieniędzy na uruchomienie wyciągu i jego właściciel zrezygnował z turystyki narciarskiej. Tu, w culo al mondo, marzenia pryskają niczym bańki mydlane.

Jak tylko jedna z nich pęknie, natychmiast zamienia się w betonową konstrukcję. W żaden inny sposób nie potrafię sobie wytłumaczyć wyglądu licznych budowli stojących gdzieś w stanie surowym, składających się z zardzewiałych podpór i betonowych filarów. Tuż przed Campobasso jest ogromny i ukończony tylko w jednej trzeciej parking podziemny, wygląda jak pomnik na środku pustyni. Nie prowadzi do niego żadna droga. Kilka kilometrów dalej widzę halę, prawie tak wielką, jak hangar dla jumbo je\ta, która składa się tylko z dachu z blachy falistej i dwóch ogromnych ścian nośnych. Te monumenty zdają się stać tu dla upamiętnienia czyichś porażek (zupełnie jak fiat ritmo) - z niewiadomych przyczyn pozostają nietknięte i nikt o to nie dba. Nieskrępowane, niemal swobodne obchodzenie się z betonem i innymi rodzajami trwałych i często rakotwórczych materiałów budowlanych za każdym razem wprawia mnie w zdumienie. Ktoś musiał przecież owe bezsensowne rzeczy zaprojektować, ktoś je zbudował, a jeszcze ktoś inny jest w ich właścicielem. Ale właściwie w jakim celu je tu postawiono? Co się z nimi stało? Kto wpadł na pomysł, by w odległości wielu kilometrów od miasta budować parking

podziemny na trzy tysiące aut? A może miało go w ogóle nie być? Albo nigdy nie miał być ukończony? A może wygląd tych urbanistycznych ugorów jest formą sztuki, której nie rozumiem? Zagadkowy i piękny kraj.

Także na peryferiach Campobasso stoi kilka takich szkieleatów, co sprawia, że to miejsce jest brzydkie i odpychające, jednak to zdaje się nikomu nie przeszkadzać. rzeczywistości jednak także Włosi cierpią z powodu owego przymusu budowania nowych domów przy jednoczesnym zaniedbywaniu starych kamienic.

- To wielki smutny lament - skarży się Antonio, gdy wjeżdżamy do miasta i mijamy kościół, który zamknięto z powodu zagrożenia zawaleniem.

- Dlaczego historyczne budynki nie są odpowiednio utrzymywane i rozpadają się? - pytam.

- Dlatego, że za dużo tego mamy w Italii. Jak jest za dużo piękno, utrzymać trudno. Pomyśl o kobiety.

No tak, to wiele wyjaśnia.

Zaraz potem nonna Anna szczypie mnie w policzek i oferuje kawę.

- Panettone do tego?

- Nie, dziękuję.

- Kupiłam świeżutkie panettone u Lombardiego.

- Dziękuję, po drodze już coś zjadłem. Ufff, jestem najedzony.

- Ale przecież nie jesz panettone, bo jesteś głodny, tylko dlatego, że ono jest dobre.

- Ale w tej chwili nie mam apetytu.

- A ja mówiłam Lombardiemu, żeby dał mi takie spore, z dużą ilością skórki cytrynowej, mój niemiecki chłopak to lubi, bo dostaje je tylko u mnie.

- Może później.

- Później wszyscy umrzemy.

Przelykam panettone z dużą ilością wody i bez godności. Sara nic nie je, krótkim ruchem ręki oznajmiła swojej babci, że niczego nie chce. Dlaczego tylko w moim przypadku to nie działa?

Potem jedziemy do Marca, który z węzem na szyi i najpewniej na haju otwiera nam drzwi. Centralnym meblem w jego salonie jest kolorowa kapiąca świeca, która tli się w dzień i w nocy. Dla uczczenia naszego przybycia Marco zapalił kadzidełko, które ma taki zapach, jakby gdzieś tu palił się tchórz.

Układamy nasze torby w koszykach na zakupy, którymi Marco ozdobił swój dom i mościmy się pomiędzy terrarium a akwarium. Jeżeli nie zostaniemy pożarci, to będziemy tu spokojnie spać, ponieważ Antonio z pewnością nie pofatyguje się aż tutaj w środku nocy, żeby stanąć przede mną w piżamie i opowiedzieć mi treść swojego nowego Teksa.

Potem wracamy do normy, bo Antonio koniecznie chce iść ze mną na spacer. Już po kilku minutach jestem przemarznięty do szpiku kości. Sara ostrzegła mnie, że w tej górskiej wiosce panuje specyficzny, szczególnie przenikliwy chłód, który jest ojcem wszystkich chłodów. Powiedziała, że powietrze jest zupełnie suche i że przenika przez ubranie, przez co można odnieść wrażenie, jakby się niczego na sobie nie miało. Spodnie pozostają zimne w dotyku jeszcze długo po powrocie do domu. Ale ja, osioł, jej nie wierzyłem. Mijają nas niscy Włosi, którzy w swoich grubych watowanych kurtkach wyglądają jak pralinki. Poza tym jest pusto. Ludzie zapadli w sen zimowy i czekają, aż śnieg w końcu stopnieje. Gdy ktoś musi wyjść na zewnątrz coś załatwić, porusza się jeszcze wolniej niż zazwyczaj - krew nie płynie przecież tak szybko jak w miesiącach letnich. Nawet motory i skutery „Vespa”, które normalnie zgrabnie przemykają uliczkami, śpią teraz

spokojnie pod szarymi daszkami, które chronią je przed mrozem i śniegiem.

W zimie tylko włoscy piłkarze muszą ciężko pracować, jednak nie ci z Campobasso. Bogaty w tradycje klub, który grał nawet raz we włoskim pucharze, dawno splajtował, a jego zawodnicy siedzą teraz w ciepłych domach i oglądają La Speranzę. Ja natomiast idę w cienkiej kurtce przez stare miasto. Znowu ujawniło się moje typowo niemieckie rozumowanie. Tak jakby na południu Włoch nie mogło być zimno. Stupido, ja.

Antonio ma ze sobą szarą sfatygowaną walizkę, na którą do tej pory nie zwróciłem uwagi. Prawdopodobnie jest pusta, bo Toni niesie ją bez wysiłku.

- Co to za walizka?

- Drogi chłopak, chowałem ją i teraz zwrócam. A ty będziesz mój świadek.

Domyślam się, że to walizka Baffonego. Ledwo minęło czterdzieści lat i proszę, ma już swoją walizkę z powrotem. Chcemy załatwić to od razu, więc idziemy najpierw przez Porta Mancina. Skrećamy raz w lewo, potem dwa razy w prawo, potem znowu w lewo. I gdy właśnie zaczynam tracić orientację, stajemy przed sklepem mięsnym. W jego oknie wystawowym wiszą na hakach zające bez skóry, a w blaszanych pojemnikach leżą wielkie kawały mięsa. Zdaje się, że w sklepie nikogo nie ma, nawet rzeźnika. Za kontuarem znajdują się drzwi do chłodni. Wchodzimy do sklepu, w którym jest zimno i czuć ostry zapach.

Antonio stawia zakurzoną walizkę na ladzie. Teraz jest zupełnie zasłonięty.

Wreszcie słyszymy głos:

- Moja walizka! To naprawdę moja walizka. Pauza.

- Antonio Marcipane oddaje mi moją walizkę. Mięsiasta ręka chwyta walizkę i zdejmuje ją z lady.

Z tyłu wyłania się gruby mężczyzna w poplamionym krwią fartuchu. Na głowie ma wieniec czarnych włosów i bujny zarost. Może mieć około sześćdziesięciu lat. Antonio uśmiecha się do niego i mówi: - Bierz w końcu swoją głupią walizka z powrotem. Tylko mi zawodzi.

Potem obaj obejmują się i całują. Z zainteresowaniem oglądam zawartość misek pełnych zakrwawionych wnętrzności.

Obaj przekrzykują się nawzajem, gdy wymieniają grzeczności, aż w końcu Baffone woła:

- Trzeba to uczcić - zdejmuję fartuch i wkłada brudną marynarkę na sweter.

Walizka towarzyszy nam, gdy idziemy do Daniele uliczkami zaznaczonymi łagodnie padającym, płatek po płatku, śniegiem.

Ten w ogóle nie jest zaskoczony, gdy wchodzimy.

- Patrz! - woła Baffone i macha walizką.

- Ogłaszam 23 grudnia dniem powrotu walizki. Z tej okazji kolejka dla wszystkich obecnych - ponieważ razem z Daniele jest nas czworo, nie stanowi to wielkiej ofiary.

- Dzwon do pozostałych! - rozkazuje Antonio po pierwszym bitterze. - Banda musi się odrodzić.

Chociaż większość członków gangu z Porta Mancina często się widuje, chyba od czasów szkoły średniej nie było już wspólnego spotkania, a już na pewno nie w tak uroczystych okolicznościach. Antonio do tego stopnia jest tym podekscytowany, że najpierw śpiewa, a potem płacze.

Godzinę później wszyscy już są: Luigi Canone, szewc Carlo, a także Luca Nannini. Przyszedł nawet mały Topolino, który wtedy wyciągnął biżuterię Bananemu.

Bar jest pełny. Powoli tracę orientację, chociaż Antonio każdego z nich mi przedstawił, a może właśnie dlatego.

- Może powinniśmy zadzwonić do nonny Anny i powiedzieć, gdzie jesteśmy. Może Sara się martwi - nalegam, gdy tylko Baffone wśród gromkich oklasków skończył wygłaszać bardzo emocjonalną przemowę o swojej walizce. Antonio odmawia. Trzyma przed moim nosem kolorową szklaneczkę z czymś brązowym w środku. Gdy później wracamy do domu, widzę, że Sara jest w złym humorze. Siedzi przy stole i gra z nonną Anną i Ursulą w karty.

- Gdzie byliście? - pyta, nie podnosząc wzroku. To nawet lepiej, bo po drodze do domu Ando i ja się wywróciliśmy, w związku z czym nie wyglądamy teraz zbyt reprezentacyjnie. Za to nie było nam przynajmniej zimno.

- Dziś jest dzień walizki - dukam na nasze usprawiedliwienie. Zresztą mamy ją znów ze sobą. Podarował mi ją mój przyjaciel Giovanni Baffone.

Za karę dostajemy potem nadziewane wieprzowe nóżki, specjał przygotowywany na Boże Narodzenie, o którym nonna Anna mówi zawsze, że są to nóżki diabła, które trzeba mu zabrać i zjeść, żeby nie mógł porwać Dzieciątka Jezus. Łyk wina wystarcza i już nie boję się Marca i jego bestiariusz. Śpię dobrze pomiędzy rekinami i węzami. Jeden z nich leży zresztą w moim łóżku i syczy, żebym przestał chrapać.

Podczas swojego snu zimowego nikt z gminy Campobasso nie usuwa śniegu. Poskarżył się raz na to wujek Egidio. Powiedziano mu, że przecież ma dwie zdrowe ręce, a tacy starzy ludzie jak nonna Anna i tak powinni lepiej zostać w domu, to nie jest pogoda na spacer, jest o wiele za zimno i za ślisko, jeżeli jeszcze tego nie zauważył. Zdrowe ręce Egidia i moje usuwają na drugi dzień śnieg z jego auta. Musimy jechać na zakupy. Odśnieżanie we włoskich małych miasteczkach to wielka zabawa, ponieważ uliczki są tak wąskie, że nie wiadomo nawet, co zrobić z białą czapą zalegającą na

własnym samochodzie. Zrzuca się ją więc po prostu na auto stojące obok.

Przygotowania do Bożego Narodzenia we Włoszech są zdecydowanie skromniejsze niż u nas. Właściwie dopiero w Wigilię można zauważyć, że zbliżają się narodziny Zbawiciela. Antonio klaska w dłonie i woła:

- Stroimy choinka!

Myślę: super! I cieszę się na kolejny spacer, tym razem po choinkę, być może z przystankiem u Daniele. Chwytam szalik.

- A ty gdzie?

- Myślałem, że mamy kupować choinkę? - mówię zirytowany, bo w mieszkaniu nonny Anny nie widzę żadnego drzewka nadającego się do dekoracji, nie ma tu nawet kaktusa.

- Drogi chłopak, nie musimy kupić, już dawno kupowana.

Nonna Anna wyciąga sztuczną choinkę z rozpadającego się kartonu, który trzyma w szafie w sypialni. Toni montuje gałązki i śpiewa przy tym „Dzingelle bells”. Następnie oplata drzewko małymi kolorowymi lampkami, które palą się raz po kolei, a raz w przypadkowym rytmie. To istna świetlna orkiestra, o której w Nashville, w stanie Tennessee, mawiają: „God's own light organ” (Ang. boskie organy świetlne.). Choinka wędruje pod obraz Jezusa w salonie i miga odtąd nieprzerwanie przez sześć dni, wywołując psychodeliczny efekt. Nie tylko u nonny Anny tak to wygląda. W małym górskim miasteczku wszędzie coś świegocze, świeci się, tli kolorowo za szybami okiennymi, za którymi stoły zastawiono nóżkami wieprzowymi i karpiami nadziewanymi oliwkami, podczas gdy w telewizyjnym show mikołajowe panie w dobrze wypełnionych czerwonych bikini schodzą ze schodów.

Po południu zaczynamy nasze wizyty u najważniejszych wujków, ciotek i dalekich kuzynów, czyli u Marca, Pameli i Paola oraz u Mattea, który wita mnie:

- Ciao, Kartoffel.

Radość z naszej wizyty w każdym z domów osiąga swoje apogeum wszędzie, także w mobilizacji sąsiadów, którzy tłumnie przychodzą w odwiedziny, by się z nami zobaczyć, jednak oczywiście przede wszystkim z Sarą, którą każdy tu zna od dziecka. Mój teść szeptem opowiada mi o krewnych i znajomych:

- Ten to nie jest akurat najbystrzy umysł w rodzinie. Nie umie rozróżnić wina i siki psa. Ale jak chcesz kiedyś malować dom, robi taniej niż wszyscy inni. Przyjdzie do was, musisz tylko pytać.

Wczesnym wieczorem, przy wciąż jeszcze proszącym śniegu, jedziemy do dziadka na cmentarz. Nonna Anna przynosi mu kwiaty i zaczyna kłócić się z nim, jakby nadal żył. Potem do kościoła i wreszcie do domu. My, Niemcy, myślimy: teraz będzie najważniejsze - ładnie się ubierzemy, będą wiersze, a potem prezenty. Ale we Włoszech Boże Narodzenie nie jest takie ważne, nie daje się zbyt wielu upominków. Jest to raczej święto dzieci, najmłodszy dostają najczęściej podarków: sukieneczek, świeczek, lalek w czerwonych kostiumach z tiulu, słodczy i zabawek.

Ku wielkiej radości wszystkich obecnych syn Gianluki i Barbary, Antonio (najmłodszy ze wszystkich kuzynów o tym imieniu), rozpakowuje błyskającą śrutówkę, która wydaje tak przeraźliwe dźwięki, że nie potrzeba już żadnej ostrej amunicji, żeby kogoś zabić. Wyjmuje też z paczek liczne świecące kule, zwierzęta mówiące po włosku i laserowy miecz.

Chociaż nie należy przypisywać Włochom zamiłowania do cukierkowych barw, to jednak tylko wtedy, gdy rzeczy są naprawdę kolorowe, mogą przykuć uwagę włoskiego dziecka. Nie muszą nawet działać - w każdym razie nie za długo - ani też niczemu sensownemu służyć, mają tylko zainteresować

sobą właściciela. Ten mechanizm mógłby stanowić konstytutywną cechę Włochów, która zasadniczo polega na tym, by zwrócić na siebie uwagę innych. Jeżeli nie jest to możliwe za pomocą czystej siły magnetyzmu zewnętrznego, to należy użyć dźwięków. Włoscy mężczyźni, nawet jeżeli nie są tenorami w operze, wiedzą, jak akustyka wpływa na siłę przebiccia. Gdyby zasadę tę odnieść do zabawek pod choinką, oznaczałoby to, że prezent, który nie wydaje dźwięków, jest albo dla głuchych, albo dla Niemców.

W związku z powyższym dostaję więc bardzo cichy prezent: panettone. Chyba się rozniosło, że nad wszystko kocham ciasto z pianki budowlanej. Radość żony z mojego nieszczęścia pryska, gdy sama wypakowuje małe kąpielowe czepki w kwiatki.

Kiedy opada fala ekscytacji wywołanej pięknymi prezentami, gramy w karty. To zwyczaj mojej rodziny.

Najczęściej jest to scopa. Gdy jednak w domu zbierają się wszyscy (a zdarza się to najwyżej dwa razy w tygodniu) otwieramy wielki karton. Nadchodzi czas na tombolę.

Każdy dostaje karteczkę, a nonna Anna kręci małym kółkiem. Kto ma właściwą liczbę, krzyczy „Tombola!” Sprawdzamy, czy się zgadza, bo właściwie wszyscy oszukują, a potem koło znowu się kręci. Trwa to godzinami, a zachwyty graczy nie słabnie.

Rok wcześniej świętowaliśmy u nas w domu z Tonim. Niestety, nie mieliśmy zestawu do tomboli i w zastępstwie graliśmy w coś innego. Zabawa polega na tym, że ktoś musi opisać określone pojęcie bez użycia najbardziej oczywistych słów. Gdy zawodnicy odgadną, o jaki wyraz chodzi, dostaje się punkt. Trzeba to zrobić jak najszybciej, ponieważ czas jest ograniczony. To wesoła gra, szczególnie w towarzystwie Toniego.

Wyciągnął na przykład kartkę ze stosu, podniósł i powiedział: - No więc to może być na rzeka, na potok, żeby na to iść.

- Kładka! - woła moja żona.

Miałby w zasadzie rację, niestety na kartce napisane było: „kłódka”. Brak punktu dla Toniego. To jednak długo go nie zmartwiło, bo uznał, że słowo wyjaśnił dobrze, nawet jeśli chodziło o inne.

W następnej rundzie znowu wyciągnął kartonik i woła podekscytowany: „To jest człowiek w czarna długa szata, w duży budynek, ważny człowiek”.

- Sędzia! - wołamy.

- Nie!

- No to ksiądz!

- Tak, to ksiądz.

Na kartce było napisane: „książę”. Teraz tombola. Toni jest w tym mistrzem. Kantuje bez żadnych zahamowań. Pozostali w końcu dają za wygraną. Gdy wygrywa, woła: „Jestem dobrym grakiem? No powiedz: jestem dobry grakiem?”.

- Jesteś najlepszy.

- Czy to nie piękne Boże Narodzenie, mój drogi chłopak?

- Wspaniale. Tu, w Campobasso, pod względem techniki gry

Antonio jest oczywiście na czele. Proponuje teraz partyjkę pokera. Toczy się on w mojej rodzinie według następujących reguł: jeden rozdaje karty, a potem wszyscy zaczynają jęczeć. Gracze skarżą się na słabą kartę, przeklinają, żegnają się i znowu przeklinają. Zanim nastąpi pierwsze wyjście, przynajmniej trzech oznajmia, że pasuje, co oczywiście nie ma miejsca, bo wszyscy blefują. Jakość tego blefowania, narzekania i oplakiwania jest niska. Po pierwsze, zaraz po tym, gdy ktoś wyzna, że ma słabe karty, wychodzi mocnymi, a

po drugie, jasne jest, że każdy, kto nie jęczy, musi mieć najlepszy układ kart, co drastycznie skraca czas gry. Po godzinie jestem bogatszy o trzydzieści centów, ponieważ gramy tylko na centy, które kuzyn Paolo specjalnie na tę okazję przynosi ze swojego supermarketu.

Wkrótce zostaję uznany za wytrawnego gracza, ponieważ wygrałem już cztery rundy. Ale nie dlatego, że dobrze gram w pokera, tylko dlatego, że mój zasób słów do narzekania na słabą kartę nie jest wystarczający. Z tego powodu przeważnie milczę i tylko na palcach pokazuję liczbę kart do wymiany. Antonio natomiast, po którym widzę, że zachowuje się jak Tex, stale przegrywa, co sprzedaje nam jako najlepszy trik, ponieważ w ten sposób usypia naszą czujność. W końcu na zawsze dostaję ksywę „Poker Face”. Na koniec obfitującego w wydarzenia dnia kładę się obok mojej wężowej kobiety.

Egidio, jak mi następnego dnia wyjaśniono, to „dobry widelec”. Kocham te określenia. Jeżeli ktoś jest „dobrym widelcem”, znaczy to, że jest żarłokiem. Ja oczywiście też jestem „dobrym widelcem”, chociaż w przeciwieństwie do Egidia nie jem tak łapczywie, szczególnie dziś, gdy serwowany jest specjał kuchni regionu Molise, mianowicie pasta con la trippa, co z pewnością smakuje dokładnie tak, jak brzmi. Kucharze w tutejszej okolicy chętnie sięgają po wnętrzności, które nawet starannie umyte i przygotowane stanowią sprawdzian dla każdego, nie tylko wrażliwego, żołądka.

Kto mimo to chciałby spróbować owej potrawy, bardzo proszę. Są państwo w końcu dorośli i mają prawo do własnych doświadczeń:

Składniki

- 300 g makaronu rurki;
- 250 g flaków jagnięcych;
- 1 mały seler;

- 1 mała marchewka;
- 2 łyżki stołowe oliwy z oliwek tłoczonej na zimno;
- sól, pieprz;
- 1 mała papryczka chili;
- 100 g sera Pecorino (startego).

Przygotowanie

Flaki umyć, usunąć błony tłuszczowe i pokroić na kawałki wielkości dłoni. Następnie gotować w średniej temperaturze w dobrze osolonej wodzie, aż zmiękną.

Seler i marchewkę umyć i pokroić w drobną kostkę. Mięso wyjąć, pokroić w paski i przysmażyć na oliwie razem z warzywami, posolić i popieprzyć. Podlać obficie wodą (np. przelaną wodą z flaków) i gotować na małym ogniu. Pod koniec gotowania dodać do garnka makaron rurki i doprowadzić do wrzenia. Na krótko przed podaniem dodać posiekaną papryczkę i posypać Pecorino.

Podczas jedzenia moi kuzyni i wujkowie chętnie opowiadają dowcipy. W większości są one dość niewinne. Sprośne kawały w mojej rodzinie nie mają powodzenia. Uszczypliwości nikt nie rozumie i nie lubi. Nigdy nie słyszałem, by Gianluca, Marco, Paolo czy ktokolwiek w moim przedziale wiekowym wyrażał się o kobietach bez szacunku.

Gdy opowiadam rubaszny męski dowcip na temat spikerki we włoskiej telewizji, a Sara, ta diabolica, tłumaczy te głupoty, wychodzę na skończonego łajdaka. Wszyscy przestają jeść, odkładają widelce, nikt się nie śmieje. Uśmiecham się głupio i czuję, że nonna Anna chce mnie zabić. Nie robi jednak tego. Karze mnie jeszcze surowiej, mówiąc do Sary:

- No to się popisałaś.

Dowcipy według ich gustu są takie: pewien mężczyzna przychodzi do nieba. Święty Piotr pokazuje mu, gdzie może zamieszkać. Najpierw odwiedzają czyściec, gdzie dzieci i dorośli siedzą razem za długim stołem, oglądają DVD, jedzą

słodczyce i miło spędzają czas. Mężczyzna jest pod wrażeniem. Następnie schodzą do piekła. Tu widzi zadowolonych ludzi, wygodne kanapy, na których przy blasku świec i pierwszorzędnym winie można delektować się doskonałą sztuką kulinarną. Kwartet smyczkowy gra tu dzieła Mozarta i Brahmsa. Niektórzy stoją przy bufecie i nakładają sobie ogromne desery na talerze podobne do tac. Jeżeli tak wygląda piekło, to jak może wyglądać niebo? Mężczyzna decyduje się więc na raj.

Pierwszego dnia Piotr serwuje mu zieloną sałatę z octem. Mężczyzna jest rozczarowany. Drugiego dnia dostaje zimny makaron z masłem. Zjada, ale postanawia następnego dnia zareklamować jedzenie. Piotr przynosi mu niedogotowany ryż i jednego pomidora. Mężczyzna traci resztki cierpliwości i krzyczy:

- Co to ma być? W piekle hulanki, a tu, w raju, tylko nudna sałata, makaron i ryż. Nie tak to sobie wyobrażałem.

Na to Piotr:

- Sam jesteś sobie winien. Myślisz, że dla nas dwóch to tu się opłaca gotować?

Mimo hałasu i zimna jest to piękne Boże Narodzenie. Głównie dzięki mojej rodzinie, która bardzo się stara. Nie zawsze ma łatwo w swoim zrujnowanym, zapomnianym mieście. Po ostatnim trzęsieniu ziemi wiele domów trzeba było opuścić, a te powoli się teraz rozpadają. Nie, naprawdę ci ludzie nie mają tu lekko, ale nie dają też tego po sobie poznać, gdy na przykład grają w tombolę.

Wyjeżdżając, zapominam niestety zabrać panettone, ale nie szkodzi. Trzy dni później nonna Anna przysłała mi świeże.

Rozdział dwunasty

Wywołuję kryzys małżeński, gdy proponuję wyjazd na wakacje do Grecji.

- A cóż będziemy robić w Grecji? - obraża się moja małżonka, jak gdybym zaproponował ekstremalny urlop w kopcu termitów.

- Och, tak sobie po prostu pomyślałem. Tam też jest ładnie. I łóżka podobno są lepsze.

- A skąd to wiesz? - pyta nieufnie.

- Przeczytałem - odpowiadam przekornie. Jedziemy więc do Włoch, w naszym małżeństwie

moje plecy nie mają większego znaczenia. Poza tym mój teść, Dobroczyńca, zarezerwował w Termoli ten sam domek co przed dwoma laty - przecież wszystkim nam się wtedy tam bardzo podobało. Żeby pozbierać wszystkich urlopowiczów i odwiedzić babcię - to może być już ostatni raz, jak podkreśla Antonio dramatycznym crescendo - kierujemy się najpierw do Campobasso.

Nonna Anna cieszy się tak dobrym zdrowiem, że niemal wyrywa mi policzek na powitanie. Marco w międzyczasie odstąpił nieco od swojego zamiłowania do węży i przedstawia nam piękną dziewczynę, która wydaje mi się niepełnoletnia. Wypakowujemy nasze bagaże u niego i idziemy znowu do nonny Anny, bo tam ma być kolacja. Jest gorący wieczór. Nad lampą przy stole unoszą się otepiałe insekty, które bez opamiętania zlatują się do źródła światła, po czym spalają z przenikliwym trzaskiem w tym istnym naszym krematorium.

Telewizor gra, bo zaraz będzie La Speranza i nonna w żadnym wypadku nie może przegapić odcinka, w którym brutalny posiadacz ziemski żąda wyjaśnień od geodety, ponieważ ten w niestosowny sposób kręci się koło jego córki. Przed tym szokerem lecą najpierw wiadomości, które tutaj nikogo nie podrywają z krzesła. Ciekawe, że polityka

światowa jest mojej rodzinie całkowicie obojętna. Komentarz Egidia do pokazywanych w telewizji wysiłków Jacques'a Chiraca podejmowanych na rzecz powodzenia francuskiej polityki zagranicznej składa się dokładnie z dwóch słów: „elegancki krawat”.

Można to nazwać ignorancją, ale to tylko po części trafna ocena, ponieważ z wielkim zainteresowaniem śledzi się tu informacje regionalne, takie jak ogłoszenie wyników neapolitańskiego konkursu sztuki wyrabiania ciasta na pizzę. Rodzinę Marcipane ekscytuje także nadzwyczaj polityka lokalna. Okolicę nawiedziły w ostatnim czasie trzęsienie ziemi i powódź i jak to zazwyczaj bywa, urzędy nie sprawdziły się w zarządzaniu kryzysowym. Gdy w miejscowości sąsiadującej z Campobasso dwadzieścioro czworo dzieci zostało przysypanych gruzem w szkole, wezwane koparki i urządzenia sprzątające nie zdążyły przybyć na czas na miejsce wypadku, ponieważ w połowie drogi stanęły. Ktoś ukradł ropę ze zbiorników. Tego typu przykre niedociągnięcia każą wątpić Włochom w ich postawę obywatelską. Sprawa ma teraz trafić do sądu, więc wszyscy z rodziny Marcipane wpatrują się w ekran, gdzie widać, jak w holu budynku sądu w Campobasso stoi prokurator i mówi ważne rzeczy odnośnie do śledztwa.

- Same łądaki - mruczy Raffaele, który ma nieco zaburzony stosunek do instytucji państwowych.

W tle miota się jakiś mężczyzna i ostentacyjnie pokazuje jakieś akta do kamery. Ma okrągłą głowę z koroną ciemnych kepek włosów, którą kiwa w takt słów prokuratora.

- No nie! - krzyczy nagle Antonio. - To Piselli!

Antonio jest zelektryzowany. To jego przyjaciel Piselli, którego z powodu wyrzutów sumienia zdradził wtedy po włamaniu do sklepu signora Banane. Antonio chce się z nim koniecznie spotkać. Od razu następnego dnia chce iść do sądu i tam szukać jego śladu. Ja też muszę iść, ponieważ Antonio

podejrzewa tu historyczne wydarzenie, które pragnie dzielić tylko ze mną, po tym jak ze szczegółami opowiedział mi o „Grochu”.

Wyruszamy zatem do sądu. Tam opisujemy Pisellego, którego prawdziwego nazwiska Antonio nie zna. Mężczyźnie, który siedzi w informacji za szybą kuloodporną i je czekoladę, nasze opisy z początku nic nie mówią. Dopiero kiedy Antonio pantomimicznie ilustruje krzaczki czarnych loków na grochokształtnej głowie i pokazuje jej ustawienie na barkach, portier przytakuje i sięga po telefon. Wybiera numer, po czym pokazuje nam niezbyt uprzejmie, że mamy usiąść na ławce. Czekamy dziesięć minut i w chwili, gdy Antonio waży się na kolejne podejście do portiera, otwierają się pancerne drzwi, zza których wychodzi Piselli. Przywódca bandy, genialny umysł z Porta Mancina, zesłany na wygnanie, znikł na czterdzieści lat z życia mojego teścia.

- Czego pan sobie życzy? - pyta Antonia niewzruszony.

- Piselli! Nie poznajesz mnie? Antonio. Marcipane. Ando! Piselli mierzy go długo wzrokiem, w końcu mówi:

- Nie nazywam się Piselli. Pan mnie z kimś pomylił. Nawet ja czuję, że kłamię.

- Ależ Piselli! Nie pamiętasz już? Signor Banane! Nasz plan!

- Banane nie żyje. Czyli jednak pamięta.

- Ty jesteś Antonio Marcipane?

- No, wreszcie sobie przypomina.

- Zdradziłeś mnie wtedy.

- Nie, ja tylko poszedłem do spowiedzi. Spowiedź jest święta. Kto mógł wiedzieć, że ojciec Alfredo nie umie trzymać języka za zębami?

- Każdy to wiedział, Ando. Nie próbuj robić ze mnie głupiego. I nie martw się, jestem ci nawet za to wdzięczny.

Idziemy do baru przy dworcu. Okazuje się, że Piselli pracuje w sądzie jako kopista. Kopiuje umowy i wyroki i nosi je z wydziału do wydziału. To zajęcie, mówi z pełnymi ustami, zawdzięcza rzekomo Antoniowi.

A to z takiego oto powodu: po okresie pobytu w domu poprawczym Piselli jeszcze bardziej się stoczył. Stał się drobnym przestępcą, grasował w całym regionie i tylko od czasu do czasu pracował na stoisku z warzywami na targu. Ponieważ oczywiście nigdy nie mógł sobie pozwolić na żadnego adwokata, spędzał większość czasu w budynkach sądowych Campobasso i Termoli, gdzie wkrótce należał już do „żywego inwentarza”.

Po kilku latach zaczęto powierzać mu już drobne zlecenia gońca, które realizował poza sądem. Kupował kwiaty dla sędziego albo obiad dla prokuratorów, którzy wynagradzali mu to, wymierzając łagodniejsze kary. Pewnego dnia Piselli przyrzekł uroczyście zejść z przestępczej drogi, ponieważ jego działalność w sądzie stała się na tyle samodzielna, że poczuł się częścią wymiaru sprawiedliwości i zapalał niechęcią do wszelkich przejawów łamania prawa. Jego potępienie dla sprawców poszło tak daleko, że powiadamiał o źle parkujących kierowcach przed budynkiem sądu. Wydał też własną matkę, gdy pewnego razu wyniosła komplet prześcieradeł ze szpitala, w którym leżała z powodu skrętu kiszek.

Nawrócony Piselli został uznany za skutecznie zresocjalizowanego i pracował teraz w sądzie z prawem do emerytury. Jego kariera osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy dostał klucze do pomieszczenia z kopiarką i magazynu akt. Miał odtąd wgląd w każdą sprawę. Był to przywilej, którego nigdy jednak nie wykorzystał. Można z całą pewnością stwierdzić, że Piselli, który do tego stopnia zerwał ze swoją przeszłością, że zupełnie o niej zapomniał, jest najmniej

skorumpowany ze wszystkich urzędników wymiaru sprawiedliwości w regionie Molise.

Na pożegnanie Piselli prosi mojego teścia, żeby ten już nigdy więcej go nie odwiedzał, ponieważ jest to dla niego, nawróconego, bardzo trudne. Następnie krótko, ale mocno, obejmuje Antonia, mnie podaje niedbale swoją dłoń kopisty i znika jak duch na niezagrożonym terenie.

Antonio jest poruszony i czuje się jak dobroczyńca. Wieczorem opowiada wszystko ze szczegółami członkom rodziny. W końcu przyjmuje rezerwacje pokoi w swoim Pensione Toni. Już następnego ranka mamy wyruszyć do Termoli.

Tym razem nie jest nas tak dużo. Marco i jego dziewczyna - Pati - jadą oczywiście z nami, Maria i Egidio także. Jest nas więc ośmioro, gdy docieramy do Antoniowej ostoji nad morzem.

Przed podróżą do Termoli długo „rozmawiałem z moim kręgosłupem”. Wyjaśniłem mu, że dla niego najchętniej pojechałbym do Grecji, ale niestety poślubiłem Włoszkę, a nie Greczynkę (czego zresztą nie żałuję), że była to decyzja podyktowana miłością i że bardzo mi go szkoda.

Na miejscu stwierdzam, że ktoś ukradł stelaże z łóżek, być może też rozsypały się one z powodu rdzy. W każdym razie już ich nie ma. To daje nam możliwość poszukania innego pokoju. Ostatecznie kładę pod materac wielki atlas, który w tym celu specjalnie przywiozłem ze sobą. Okazuje się, że to chyba najgłupszy pomysł w mojej karierze turysty we Włoszech, ponieważ książka tylko powiększa dziurę, w której leżę i cierpię. Postanawiam więc znowu kupić nadmuchiwany krokodyla, ponieważ stary także zniknął. Być może złodzieje łóżek potrzebowali jednego dla gości.

Ponieważ Sara też musi zrobić zakupy, jedziemy razem do miasta, w którym są imponujące supermarkety z próżniowo

pakowanymi wnętrznościami i białym chlebem pozbawionym całkowicie smaku. Musimy się śpieszyć, bo wkrótce zamykają sklepy, a wtedy nie wiem, gdzie miałbym spać.

Gdy skręcam w lewo na parkingu, wjeżdża we mnie bus i uszkadza mi kierunkowskaz. Przeznaczenie wyznacza obrót spraw - postanawiamy, że Sara szybko zrobi zakupy, a ja w międzyczasie załatwię wszystkie formalności ze sprawcą wypadku. Jesteśmy w końcu Europejczykami, mój Boże! I dorośli też jesteśmy. W czym zatem problem? W tym, że całkowicie przeceniłem swoją znajomość włoskiego. Sara kazała mi tylko powiedzieć, że kierunkowskaz jeszcze miga. Oznacza to, że przed stłuczką go włączyłem i dałem pierwszeństwo przejazdu właścicielce busa. Ale ponieważ nie ruszyła, skręciłem w lewo, a wtedy ona zdecydowała się na ruch do przodu i wjechała mi w bok. Kobieta z busa jest najwyraźniej zdania, że to mój pojazd zaatakował jej samochód. Sara mówi mi na wszelki wypadek, jak jest po włosku kierunkowskaz (freccia).

Mówię jej grzecznie, że uszkodziła mój kierunkowskaz, który jeszcze miga, każdy więc może zobaczyć, że go włączyłem. Kobieta patrzy na mnie, jak na klauna z czerwonym nosem na gumce i przestaje złorzeczyć. Wkrótce pojawia się kilku przechodniów, którzy przyglądają się, jak wyjaśniam sprawę, gwałtownie gestykulując.

Dziwnym trafem wszyscy są ubawieni, a w którymś momencie przychodzi nawet carabinieri, co we Włoszech nie oznacza niczego dobrego. Przynajmniej nie śmieje się z moich prób opisanie okoliczności wypadku, wręcz przeciwnie - robi wrażenie agresywnego. Pomалу dociera do mnie, że najpewniej coś mylę, nie wiem tylko co.

Później Sara wyjaśnia mi, że chodziło o słowa freccia i fregna. To ostatnie, którego cały czas używałem, znaczy „pochwa”:

- Proszę zobaczyć, tutaj, moja pochwa świeci. Pochwa włączona, wyłączona. Posługiwałem się pochwą normalnie i każdy może ją zobaczyć. Pani nie widziała mojej pochwy? Chyba jest wystarczająco duża?

Policjant już ma mnie aresztować, gdy wraca Sara z zakupami. Pod pachą trzyma nadmuchanego krokodyla.

- Co się tu dzieje?

- Opisywałem im dokładnie, jak to się stało, a wszyscy się śmieją. Poza tym tu. Z nim nie ma żartów.

Sara przeprasza za mnie carabinieri i wyjaśnia także sprawę z kobietą. Każdy płaci za swoją szkodę sam, oznacza to, że najpewniej ja za swoją tak, a ona - nie. Jedziemy do domu. Czuję się upokorzony. Poza tym „pochwa” w moim aucie jest zepsuta.

Na pocieszenie Maria opowiada mi zabawną historię.

Ma koleżankę, serdecznie zaprzyjaźnioną z ewangelickim duchownym z Niemiec, czyli niemieckim pastorem. Pewnego dnia koleżanka chciała odwiedzić ciotkę Marię i zapytała, czy może go przyprowadzić. Maria nie miała nic przeciwko i zaproponowała, że na czas kolacji można go zamknąć w łazience. Koleżanka tak się obraziła, że zmieniła zdanie i odwołała wizytę. Dużo później okazało się, że Maria wzięła niemieckiego pastora za owczarka niemieckiego, którego we Włoszech nazywa się pastore.

Gdy tylko zastosowałem krokodyla jako łóżko, mój urlop zaczął być bardzo przyjemny. Wszyscy przyzwyczaili się już do mojego absurdalnego niemieckiego kaprysu, czyli do tego, że pół dnia czytam. Czasami kupuję nawet włoskie czasopisma, przede wszystkim ze względu na świetne gadżety. Posiadamy już na przykład dwa wspaniałe noże do pomidorów, które były dołączone do półpornograficznego magazynu razem z plastikową deską do krojenia.

Wieczorami przy winie z lemoniadą albo przy szklaneczce piwa gramy w nieskomplikowane gry, które nie mają żadnych reguł i polegają na tym, że wszyscy się przekrzykują i śmieją. Czasem wychodzimy z Markiem i Pati do miasta. Na corso spotykamy zawsze młodzież, której męscy przedstawiciele biegają, jakby mieli zapalenie jąder. Gdy próbuję ich naśladować, Marco mnie stopuje - Włosi wprawdzie rozumieją żarty, ale ironii z seksualnym podtekstem już nie. Wtedy nawet niepozorni mężczyźni stają się niebezpieczni.

Na plaży przykładnie dbam o mój wizerunek odmieńca: nie dość, że sumiennie się kremuję i czytam, to jeszcze odmawiam wejścia do wody powyżej bioder. Nie umiem bowiem pływać. Pozostali mi współczują, ale ja sędzę, że nie ma tu czego współczuć, wprost przeciwnie: kocham być niepływającym. I nie jestem w tym przecież osamotniony. Tak naprawdę to żaden człowiek nie umie pływać.

Pływają złote rybki, koniki morskie i kaszaloty. Każde zwierzę żyjące w wodzie wygląda podczas pływania ładniej i bardziej elegancko niż człowiek. Mieszkańcy morza w ogóle nie muszą się tego uczyć, po prostu to potrafią, w przeciwieństwie do człowieka. Nauka pływania to męka, którą od czasu dzieciństwa stale od nowa muszę znosić.

W czwartej klasie przyszedł do nas dyrektor szkoły i zapytał, czy jest ktoś, kto nie umie pływać. Zgłosiłem się, a on wskazując na mnie, powiedział:

- Co? Ty nie umiesz pływać? To musisz się nauczyć, zanim pójdziesz do gimnazjum. Tam wszyscy muszą umieć pływać.

Rodzice zapisywali mnie więc na kursy. Nie liczyłem ich. Raz w tygodniu matka zawoziła mnie do ponurych pływalni, gdzie musiałem się rozbierać i wykonywać idiotyczne ćwiczenia. Jedną z moich pierwszych nauczycielek była pewna staruszka. Podczas zajęć nosiła czepek kąpielowy,

który wyglądał jak sałata lodowa, a w swoim stroju kąpielowym przypominała mi dziecko z reklamy Michelin. W wodzie miałem kłaść się na jej rękę i „robić tak jak żaba”.

- No dalej, rób jak żaba - mówiła do mnie.

Pływać się przy tym nie nauczyłem, ani nawet kumkać. I chyba już nigdy nie zdobędę tej umiejętności. Nie rozumiem zasad oddychania w pływaniu. Mogę oddychać tylko tak, jak się tego nauczyłem, czyli kiedy chcę. Wtedy gdy ja chcę nabrać powietrza, moja głowa jest pod wodą i nici z oddychania. Nie mam przecież skrzeli ani pęcherza pławnego.

Szybko się z tym pogodziłem. Wszyscy inni nie. Ci, którzy zdobyli umiejętność pływania, ale po drodze zgubili rozum, wrzucali mnie do basenu, zatapiali i męczyli. Nikim nie brzydzą się bardziej, niż tak zwanymi szczurami wodnymi posiadającymi odznakę Konika Morskiego zdobytą w Niemieckim Stowarzyszeniu Ratowników Życia. Otrzymywał ją ten, kto umiał trochę tam i z powrotem pływać kraulem. Było to moje pierwsze doświadczenie z klubem wyczynowym. Nie zdobyłem Konika Morskiego i stałem się ofiarą społecznego darwinizmu zamieniającego małe dzieci w potwory, które nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko męczyć niepływających i ochlapywać ich wodą. Uważam, że dzieci mają prawo same decydować o tym, czy chcą być przemoczone do suchej nitki.

W gimnazjum pozbawiono mnie możliwości podjęcia tej decyzji. W każdy piątek rano zmuszano mnie, bym wsiadał do niebieskiego autobusu, którym klasa jechała na basen. Do przebieralni wchodziłem przeważnie jako ostatni. Była wyłożona kafelkami i śmierdziała stęchlizną, mokrymi ręcznikami i tanim mydłem. Bałem się niesfornych chłopaków. Najpierw pod prysznic. Natryski miały guziki, po naciśnięciu których przez dwadzieścia sekund leciała woda. Zawsze wtedy liczyłem czas. Wyliczałem też, ile jeszcze

zostanie z lekcji pływania po odjęciu dojazdu, przebrania i dziesięciokrotnego prysznica.

W końcu musiałem kiedyś wejść do wody. Była lodowata, okropna i głęboka. Nikt mi nigdy nie powiedział, że przed wejściem do basenu powinno się brać zimny prysznic, żeby później woda wydawała się cieplejsza. Brałem więc zawsze gorący, a potem prawie zamarzałem. Poza tym połykałem za każdym razem przynajmniej trzy litry tej odrażającej chlorowanej zawiesiny, która dezynfekowała mnie od środka.

Potem działały się straszne rzeczy: pływanie na wyścigi, łapanie, skakanie. Gdy nauczyciel sprawdzał obecność, zwracał się do wszystkich po imieniu. Mnie zawsze odczytywał po nazwisku. Ja byłem tym, który nie umie pływać, albo nawet kimś gorszym: byłem „niczym”, a „nic” nie może niczego odmawiać, musiałem więc symulować pływanie. Lewą ręką udawałem ruchy pływackie, prawą ciągnąłem w ukryciu wzdłuż rury odpływowej w niecce. Poruszałem się nawet w dobrym tempie, dopóki nauczyciel nie stanął mi sandałem na palce, mówiąc:

- To nie jest pływanie. Masz pływać. Pływanie to pierwotny instynkt człowieka. Każdy to potrafi.

Ale ja nie potrafiłem i przysiągłem sobie, że nigdy nie będę się tego uczył. Ani dla niego, ani dla siebie, ani dla nikogo innego. Mój pierwotny instynkt nakazywał mi raczej dać mu w gębę, ale na to byłem jeszcze za mały.

W każdy piątkowy poranek nachodziła mnie jakaś nowa choroba. Ciężko pracowałem nad tym, żeby zmylić matkę. W czwartki spałem bez kołdry przy otwartym na oścież oknie po to, żeby się przeziębic. Piłem gorącą colę i trzymałem tytoń po pachami, ponieważ ktoś mi powiedział, że to murowany trik, żeby dostać gorączki. Kaszlałem bez końca, przybierając żalospny wyraz twarzy konającego. Dla wzmocnienia efektu tak długo tarłem sobie czoło, aż zaczynało płonąć. Jeżeli

występ się udawał, zawierałem niepisany pakt z moimi rodzicami, którzy dzwonili do szkoły i informowali, że absolutnie nie jestem w stanie iść na basen. Zdrowiałem za to w cudowny sposób około wpół do dziesiątej i szedłem na matematykę.

Tak się męczyłem w piątej klasie. Gdy na wiosnę 1978 roku po raz ostatni wracałem niebieskim autobusem z pływalni do szkoły, wiedziałem, że nigdy nie zobaczę jej już od środka. Przysiągłem to sobie i tak też się stało.

Kto spędza wakacje nad morzem, stale jest narażony na niebezpieczeństwo ze strony samozwańcych nauczycieli pływania. Niemal na każdym urlopie ktoś próbuje mnie nauczyć pływać. W domu przechowuję liczne zestawy dmuchanych naramienników, które przez lata dostawałem na urodziny od żartownisiów. Chętnie bym je komuś podarował, ale w kręgu znajomych nie mam zbyt wielu sześciolatków.

Marco także zmienia się w Samarytanina i chce koniecznie pokazać mi żabkę, którą nadal uważam za jeden z najbardziej, jeżeli nie absolutnie, śmiesznych i głupich sposobów przemieszczania się. Myślę, że żaby pękają ze śmiechu, gdy jakiś żabkarz, amator tego stylu, przepływa obok lilii wodnej, na której akurat siedzą.

Marco najpierw mnie czaruje, demonstrując swojego kraula, następnie daje krótki pokaz techniki grzbietowej, aż w końcu przechodzi do żabki, która jest „taaaka prosta”. Kładzie się obok mnie na ręczniku, wystawia swoje nieowłosione pośladki i wykonuje ruchy pływackie, które mam naśladować. Udaję, że rozumiem i wyciągam moją kamerę, żeby go sfilmować. Odmawia: nie, nie, to ja mam pływać. Pokazuję na siebie, po czym trzymając kamerę wysoko z zachwytem zaczynam go filmować. Po blisko dziesięciu minutach nagrywania tego, jak Marco pływa na swoim ręczniku, nauczyciel stwierdza, że jestem „myślący inaczej” i znowu

idzie do morza, gdzie znajduje wielu podobnie myślących. Niektórzy z nich mają nawet też dwie nogi, jak on.

Ale sprawa nie daje mu spokoju. Kilka minut później znowu staje przede mną i strzepuje słoną wodę na mój brzuch.

- A co zrobisz, jak znajdziesz się na statku, który idzie na dno?

- Utonę. Ale ty też utoniesz, tylko później.

Tym samym daje w końcu za wygraną i idzie znowu do wody. Pływanie jest nudne i wyczerpujące. Dlatego od czasów szkolnych unikam też odkrytych basenów. Kiedyś klub piłki nożnej zaciągnął mnie na jeden z nich, aż roiło się w nim od kawałków drewna, os i papierków po lodach. Byłem wtedy w klubie sportowym, ponieważ uroiłem sobie, że gra się tam w piłkę nożną. Gdy znaleźliśmy się na miejscu, zrobiłem to, co zawsze: stanąłem na brzegu i patrzyłem. Ludzie w basenie śmierdzieli olejkiem do opalania i sikali w sztucznych falach, co jako zewnętrzny obserwator mogłem odgadnąć po ich wyrazie twarzy. Na trampoliny wbiegali chłopcy i skakali „na bombę”, aż w końcu kierownik basenu wyciągał ich z wody i odsyłał do domu. Ludzie płacili za to, żeby się wzajemnie ochlapywać i pić ciepłą colę. Podczas gdy inni pływali, ja widziałem rzeczy, których nikt nie widział: jak kierownik basenu drapie się w kroku, jak ktoś zgubił spodnie, jak nasz trener piłki nożnej wodził wzrokiem za ładnymi dziewczynami i jak ktoś ukradł jego ręcznik. Nie spostrzegłbym tego wszystkiego, gdybym kotłował się w wodzie. Niepływający czerpią więcej z życia, widzą cały świat, podczas gdy inni widzą tylko wodę.

Marco jednak nie ustępuje. Gdy rozłożeni na ręcznikach jemy melony, które Antonio - nowy pomysł na biznes - wypestkował, za co żąda dwóch euro, znowu zaczyna z pływaniami. Jestem na to przygotowany, bo praktycznie nie ma argumentu, którego bym już sto razy nie słyszał.

- Musisz się nauczyć pływać - nalega.
- Po co?
- Bo to sprawia przyjemność.
- No i co z tego? Wybijanie piłką szyb w oknach też sprawia przyjemność, a mimo to nikt tego nie robi w wolnym czasie.
- Tego nie. Nie wiesz, co tracisz.
- Wiem.

Nawet nie chcę próbować walczyć z żywiołem, którego nigdy nie umiałbym opanować. Nie dam sobą sterować, wolę mieć zawsze twardy grunt pod nogami i nie spoufalać się z meduzami i jeżowcami, które w przeciwieństwie do mnie wyglądają jak mieszkańcy morza.

Marco, podekscytowany, opowiada mi o spotkaniach z murenami i płaszczkami. Ja jednak odpowiadam:

- Dziękuję bardzo - wystarczą mi srebrne rybki w łazience. Jeżeli będę chciał się zabić, nie muszę nurkować, wystarczy, że przejdę przez autostradę z zawiązanymi oczami albo będę robił głębokie wdechy obok jakiegoś uczestnika Oktoberfestu w Dolnej Bawarii. Moim zdaniem krótkie spodenki są okropne tak samo, jak sztuczne jeziora.

Żaden Afrykanin nie był nigdy dotąd najlepszym pływakiem na świecie. Ludzie o ciemnym kolorze skóry nie potrafią szybko poruszać się w wodzie. Na zawodach olimpijskich zawsze startują tylko biali. Ci pierwsi mają podobno cięższe kości. Nie wierzę w to. Sądzę raczej, że Afrykanie nie biorą pływania na poważnie. Po co mieliby to robić, skoro są najszybszymi biegaczami świata. To przecież idiotyczne, gdy ośmiu dorosłych mężczyzn ściga się w wodzie, podczas gdy ich trenerzy spacerują spokojnie wzdłuż niecki i zagrzewają ich do walki.

Tego argumentu Marco nie jest w stanie obalić. Potakuje głową, a ja dokładam następny: sporty wodne są dziwne. Na

przykład pływanie synchroniczne czy piłka wodna. Jedynie surfing i narty wodne robią dobre wrażenie. A uprawia się je na, a nie w wodzie. Nawet do skakania z wieży niekoniecznie potrzebna jest woda, ponieważ tu znaczenie mają akrobacje wykonywane w powietrzu. Jak dla mnie sportowcy nie muszą skakać do wody, równie dobrze mogą rzucać się do basenu wypełnionego musem jabłkowym albo gęsim pierzem.

Myślę, że Marco bierze mnie za outsidera i że mi współczuje. Ja jednak wiem, że w gronie moich znajomych jestem zawsze mile widziany, głównie dlatego, że niechętnie wchodzę do wody. Doskonale zatem nadaję się do pilnowania odtwarzaczy mp3 i okularów słonecznych. Mogę przyglądać się wtedy ich wygłupom i wezwać ratownika albo lekarza, gdy widzę jakiś wypadek. Co często się zdarza, ponieważ nie umiem dostrzec różnicy pomiędzy skokiem na główkę do wody a próbą samobójczą.

Po tygodniu Marco ostatecznie odpuszcza, a ja pozwalam mu się traktować jak bardzo miłego, ale niestety, chorego umysłowo szwagra.

Pewnego razu ośmielam się nawet wejść do morza do wysokości spodenek kąpielowych. Przyglądam się Sarze i jej kuzynom, jak rzucają frisbee nad wodą. Potem dostrzegam w pewnej odległości coś, co wygląda jak boja z włosami. To Antonio, którego kosmaty brzuch wystaje nad wodą. Tam, gdzie leniwie płynie, mam jeszcze grunt pod nogami, a więc brodzę powoli ku niemu. Patrzy na mnie i mówi:

- Wchodź, mój drogi chłopak.
- Nie umiem pływać.
- Nie musisz, możesz drufować.
- Dryfować?

Antonio wiosłuje na płytszą wodę i staje. Patrzy na mnie swoimi reflektorami, zupełnie poważnie.

- Nauczę cię. Jest o wiele proste niż myślisz. Następnie każe mi tyłem oprzeć się na jego rękach.

Robię mu tę grzeczność, bo nie chcę psuć zabawy. Antonio trzyma mnie mocno i chwyta pod pachami. Teraz mam spokojnie oddychać i wyciągnąć całe ciało na wodzie. Nie czuję, gdy uwalnia uścisk i po chwili z przerażeniem orientuję się, że leży obok mnie w wodzie. To całkiem przyjemne uczucie, gdy możemy dryfować, ja - biała i on - owłosiona boja. Patrzymy w niebo, gdzie całują się małe chmurki.

Toni nie ma już ojczyzny, myślę sobie, gdy tak obok mnie dryfuje i cicho mruży. Śni przeważnie po niemiecku, ale w Niemczech na zawsze pozostał gościem. A Italii już nie rozumie.

Jakby czytając w moich myślach, odzywa się nagle:

- Wiesz, gdzie jest całkowiśnie obojętne, czy jest się Niemiec, czy Włoch?

- Nie mam pojęcia - odpowiadam, nie zastanawiając się na tym.

- W niebo, tam na górze, jest całkowiśnie obojętne. Dryfujemy jeszcze długo w diamentowym morzu w Termoli. Wieczorem mam oparzenie słoneczne na brzuchu. Jestem szczęśliwy.

Rozdział bonus

Przychodzi taki dzień w życiu mężczyzny, w którym potrzebuje on nowego samochodu. Nie zawsze oznacza to, że poprzedni jest całkowicie wyeksploatowany, miał wypadek albo był używany w celach uciezkowych. Moment związany z potrzebą posiadania nowego samochodu da się wyznaczyć także tym, czy auto spełnia jeszcze swój społeczny cel albo czy nadal się podoba. To ostatnie kryterium jest zasadnicze, ponieważ z samochodami jest jak z małżonkami: tylko nieliczni pięknieją z biegiem lat. Auto Antonia Marcipane na przykład ma już swoje najlepsze dni za sobą, jeżeli w ogóle kiedykolwiek je miało.

Jest to dwunastoletni mercedes w kolorze oberżyny, diesel, którego specyficzny odgłos stanowi o jego grandezza. Były czasy, że w soboty cała rodzina Marcipane pucowała auto, jakby było Arką Przymierza. Córki i żona szorowały, myły i odkurzały je, a Toni nadzorował prace, a na końcu przejmował zadanie królewskie i jedynie godne podczas mycia samochodu, mianowicie wycieranie karoserii skórką, która miała swój własny gwóźdź w garażu rodziny Marcipane.

Oczywiście mercedes nie ma żadnych odprysków ani zarysowań. Siedzenia w owym skarbie, przypominającym jajo Faberge, mają ochronne pokrowce - ich sensu nigdy nie pojmę. Pokrowiec odzwierciedla niemal paranoidalny stosunek człowieka do jego własności: zakrywa się oryginalne siedzenia, żeby się nie zniszczyły, ale z drugiej strony przez lata siedzi się na coraz brudniejszych przykryciach. Dopiero po zdjęciu ich przed sprzedażą można stwierdzić, że samochód bez tych brudnych części byłby o wiele ładniejszy. Pokrowce Antonia są ciemnoszare i flauszowe. W siedzeniu po stronie kierowcy zniknęło przez te wszystkie lata ładnych kilka kilo okruszków chleba.

Na wewnętrznym lusterku wiszą maskotki z Mistrzostw Świata w piłce nożnej 1990 roku i miniaturowa uzda. Przednia szyba ma u góry zielony pas zmniejszający skutki promieniowania słonecznego, a po lewej, zewnętrznej stronie przyklejono kolorowe znaczki przypominające o opłatach za szwajcarską autostradę, dwanaście sztuk, tkwią tam niczym trofea ułożone równo w pionowym rzędzie.

Antonio wyposażył swój samochód zgodnie z przepisami w zestaw głośnomówiący do telefonu komórkowego oraz uchwyt na napoje. To grzeczne auto. Ma pledy w kratę na tylnym siedzeniu, prawie płynnie działającą skrzynię biegów oraz radio z odtwarzaczem kaset. W środku czuć lekko stęchły zapach kawy i piżma. Antonio jeszcze nigdy nie słuchał kaset w swoim samochodzie, ponieważ po pierwsze, nie robi tego nawet w domu, a po drugie, sama jazda tak go ekscytuje, że nic innego nie jest w stanie go zająć. Ponieważ jest jednak raczej pasywnym uczestnikiem ruchu, samochód jeszcze nigdy nie miał szansy rozwinąć skrzydeł. Gdy kiedyś go zapytałem, jakie prędkości może rozwijać, odpowiedział sucho: „sto”, ponieważ według logiki Antonia samochód nie może jechać szybciej niż jego właściciel. Gdyby miał ferrari, jego maksymalna prędkość z pewnością wynosiłaby „sto”.

Auto jest bezwypadkowe, co Antonio uzasadnia tym, że jest ono jednym z najlepszych - w międzyczasie pokonało 170 tysięcy kilometrów. Z tyłu, po obu stronach klapy bagażnika, są dwie naklejki. Na tej po lewej stronie na tle połyskującego herbu miejscowości widnieje napis: „Miasto jedwabiu - Krefeld”, na drugiej, po prawej - „Latin Lover”. Tę drugą dałem mu dla żartu, gdy w Bolonii zatrzymaliśmy się na chwilę przy autogrillu. Uznałem to za dobry dowcip, ale Antonio się nie śmiał, tylko z poważną miną ściągnął folię i przykleił śmieszna naklejkę na auto. Chciał mi tym zrobić przyjemność.

Ten merc na ropę to dobry towarzysz, jeden z tych wysłużonych, ale nienadających się jeszcze na złom pojazdów, które tysiącami stoją u handlarzy używanych samochodów na obrzeżach miasta i które mogłyby opowiedzieć niejedną historię. Niestety, nikt nie chce ich już słuchać. Te graty nie są prawie nic warte. Mercedes Antonia jeszcze nie wie, jaki los go czeka.

Mój teść dzwoni, gdy właśnie zamierzamy jeść kolację. Po zwyczajowym luźnym wstępie (podaje wyniki lotto z tego i ubiegłego tygodnia, narzeka na swój los jako pracownika i opłakuje rozrzutność żony, która kupiła mu pięć par nowych skarpetek) wtajemnicza mnie w swój plan.

- Jest tip - top, mój mercedes, ale... mój drogi - artystyczna pauza - już nie taki aligancki.

Prawie wydaje mi się, że prosi mnie o pozwolenie kupienia sobie nowego auta. Nie mam nic przeciwko, właściwie jest mi to obojętne. Jedzenie mi stygnie. Mówię zatem coś, co popchnie rozmowę do przodu:

- Możesz też wziąć auto w leasing.

- Leasing? Co to jest leasing? Nie. Nie lubię, zawsze miałem swoje własne auto, nie jestem z tych ludzie.

- Jakich ludzi?

- Taksówkarzy. Czy ja jestem taksówkarz?

- Miałem na myśli, że nowe auto jest jednak drogie.

- Ależ co tam! Mam kasa jak lód.

No, jeżeli tak się sprawy mają. W rzeczywistości okazuje się, że wartość swojego staruszka Antonio wycenił za wysoko. Według jego obliczeń odda swój samochód do salonu i dostanie za to jeszcze połowę tej sumy, którą dał dwanaście lat temu.

- Przy dużym szczęściu dostaniesz za to pudło trzy tysiące euro - mówię.

Teraz bym to nawet trochę obniżył.

- Co? Oszust jesteś. To o dużo za mało. Kłamiec.
- Tak myślę, ale przecież możesz kupić mniejsze auto.

Cisza.

- Na przykład jakiegoś volkswagena, też są dobre.
Złowieszcza cisza.

- Antonio?

Odpowiada, dając po każdym słowie pauzę:

- Jestem stały klient u Daimler. Dobry klient z trochę gust i pieniądze więcej niż ty myślisz. Nie jestem mysz kościelna.

- Nikt tak nie twierdzi, na Boga. Ale nie musisz o tym dyskutować ze mną, tylko ze sprzedawcą samochodów. Mnie to jest w zasadzie obojętne.

- Nie obojętne, to twoja auto.

- Moje auto?

- Twój, drogi chłopak. Kiedy ja martwy, ty dostaniesz go.

O Boże!

- Dlatego musisz też wybrać. O matko!

Sara odzywa się z tyłu, pytając, co z jedzeniem. Zasłania słuchawkę i szepcze: „Dostaniemy samochód”.

Każdy inny człowiek w tym momencie byłby przynajmniej zaciekawiony. Moja żona na tego rodzaju epokowe wiadomości reaguje z zadziwiającą obojętnością, w każdym razie jeżeli pochodzą od jej ojca. Przeważnie puka się wtedy w czoło.

- Powiedz mu, że jemy - szepcze do mnie.

- Antonio, my teraz je...

- Czyli przyjechasz do mnie i idziemy do Mercedes. Czy odmawianie temu człowiekowi ma jakiś sens?

Nie, niestety nie, ponieważ on nie przyjmuje odmowy do wiadomości. To nie jest tak, że nie zwraca na nią uwagi. On po prostu jej nie zauważa. Jest żywym przykładem na to, że model porozumienia między nadawcą a odbiorcą, zaczerpnięty z nauki o nowoczesnej komunikacji międzyludzkiej, u

Włochów nie funkcjonuje. Obserwowałem kiedyś przez kwadrans jednego z nich w Finale Ligure, stał przy zamkniętej kasie supermarketu, ponieważ tam kolejka była krótsza. No jasne, że krótsza, bo przecież stał tam sam. Nie ruszył się z miejsca nawet po prośbach personelu, aż w końcu otwarto dla niego kasę, co przyjął z udawaną obojętnością. Chyba dopiero w tym momencie zauważył, że to stanowisko było zamknięte. Widziałem także Włochów, którzy szli na drogi koncert jazzowy i nawet na chwilę nie przestawali mówić. Przerywali swoje rozmowy tylko na brawa. Nie ulega wątpliwości, że muzyki w ogóle nie słuchali. Ale bardzo im się podobało.

Czuję się oczywiście zaszczycony, że Antonio wybrał mnie na spadkobiercę swojego nowego auta, nawet jeżeli mamy różne gusta. Ponieważ nie jestem głupią sałatą, już następnego dnia jadę do niego.

Skrecając na parking nadreńskiego osiedla domków w zabudowie szeregowej, widzę Ursulę, która poleruje mercedesa. Antonio stoi obok i wydaje instrukcje.

Wysiadam.

- I co, trzy tysiące euro za taki perfetto błysk? - woła do mnie. - Musisz dodać jeszcze jedno zero!

Ursula obejmuje mnie i przyciska rozpaloną z wysiłku twarz do mojej. Odkurzyła samochód, umyła, wyczyściła szyby i wypolerowała lakier. Antonio dokładnie jej powiedział, jak ma to robić.

- Cały dzień kurzyliśmy, myliśmy, czyściliśmy szyba i polirowanie. Nieźle co?

- Jestem pod wrażeniem - przyznaję.

W salonie piętrzą się katalogi różnych producentów samochodów, jednak Antonio zarzeka się, że wziął je tylko dla porównania, bo nic poza mercedesem nie wchodzi u niego w grę. Idziemy wcześniej spać, ale słyszę, jak Antonio straszy w

nocy po domu. Widzi się już w swoim nowym samochodzie. Grzeczny, dumny klient.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu wyruszamy do salonu. Antonio jest tak podekscytowany, jakby chodziło o lekcje tańca. Wystroił się i wygląda jak ktoś, kto sprzedaje samochody, a nie jak ktoś, kto chce kupić. W drodze na miejsce wyjaśnia mi, jaki jest plan działania: mianowicie musimy pozwolić mówić temu drugiemu i tylko zareagować we właściwym momencie, by go przechytryć. Wyczuwam w nim instynkt myśliwego, jego złote zęby błyskają, kiedy obraca głowę do tyłu, żeby zaparkować.

Wchodzimy do rozrzutnie pustej hali wystawowej. Tu zabronione są nawet ciche rozmowy, stukające obcasy, prawdopodobnie nie wolno tu także wchodzić w krótkich spodenkach, bo tego wymaga przyzwoitość. Nie wydajemy żadnych odgłosów, przez moment czuję się jak intruz. A przecież chcemy tu wydać dziś dużo pieniędzy. Absurd. Za taką kasę powinno nam tu być wolno ryczeć i sikać do doniczek. Tymczasem skradamy się w tej świątyni mobilności, jakby to była Kaplica Sykstyńska. Nie ma nikogo prócz nas. Antonio głaska nowe samochody swoją prawą dłońią z licznymi pierścieniami, czyta tabliczki, rozkoszuje się zapachem nowości i rozgląda za ludźmi, którzy mogliby go obsłużyć, zaoferować szampana, prawić komplementy, tak by w końcu kupił u nich auto. Pieniądze na samochód ma w podręcznej męskiej saszetce, która majda się w lewej ręce. Ale nikt się nami nie interesuje.

W końcu odnajdujemy sprzedawcę. Siedzi za stolikiem szczelnie zasłonięty rośliną i najpewniej rozmawia przez telefon z kolegą. Po kilku minutach podnosi wzrok i patrzy na nas, nie, patrzy przez nas. Jesteśmy powietrzem. Śmieje się, zapisuje coś, przytrzymuje słuchawkę ramieniem, odwraca się do nas plecami. Antonio stoi przed nim wyprostowany.

Wreszcie chłopak znowu się odwraca, chyba po to, żeby zobaczyć, czy jeszcze tu jesteśmy.

- Poczekaj chwilę - mówi do telefonu i patrzy na Antonia protekcjonalnie.

- Tak, słucham?

- Dzień dobry, drogi pan, jesteśmy interesowani pana piękne auta - mówi Antonio uroczyście. W tej chwili jest mi tak bliski jak jeszcze nigdy wcześniej. Jak ja kocham tego małego człowieka.

- Używane są na zewnątrz. Można zobaczyć. Uśmiecha się głupio i wskazuje na drzwi. Potem znowu się odwraca.

- Toni, chodźmy stąd - szepczę.

Antonio nie odpowiada, po prostu stoi. Toni ma pieniądze. Mógłby tu stać wiecznie, gdyby chciał. Sprzedawca odwraca się po kilku minutach znowu i jest trochę zaskoczony, że jeszcze tu jesteśmy. Wypuszcza głośno powietrze.

Wskazuje słuchawką na parking.

- Proszę już sobie wyjść, zaraz ktoś do państwa przyjdzie.

- Chcemy nowy samochód - odpowiada Antonio z naciskiem na „nowy”.

Akurat teraz nie interesuje to sprzedawcy. Jest młody, młodszy ode mnie, ma lekko rozjaśniane, ufryzowane blond włosy. Ubrany jest w blezer ze złotymi guzikami, koszulę w paski i krawat z motywem oldtimera, przymocowany do koszuli spinką. Patrząc na twarz Antonia i czytając w niej, że lubi tego gościa. Antonio LUBI tego człowieka. Chce być jego przyjacielem, ponieważ obu łączy coś, co się nazywa „mercedes”.

- Wiesz co, muszę kończyć. Tak, tak, mam tu klientów. No jasne, ktoś musi przecież zarabiać pieniądze, prawda? Ja zawsze mówię: to nie czasy są złe, tylko sprzedawcy.

Odkłada słuchawkę i wpatruje się w nas z radosnym oczekiwaniem.

- Dobrze. O czym pan myślał? Chciałbym wiedzieć, czego pan szuka.

- Potrzebuję nowy samochód.

- Większość klientów chce nowy samochód - śmieje się. Na jego identyfikatorze z nazwiskiem czytam: „Martin Kleinschmid”, prawdopodobnie jest synem właściciela salonu, ponieważ na dachu widnieje to samo nazwisko.

- Duże auto - kontynuuje Antonio - na urlop, na każdy dzień, z ładny kolor i trochę komfort do tego.

Kleinschmid wstaje i podaje Antoniowi rękę, nie patrząc na niego. Gest bez wartości. Mnie ignoruje.

- Tak, to mamy teraz tysiąc i jedną możliwość. W jakim przedziale cenowym pojazd ma się mieścić?

- Musimy sprawdzić - mówi Antonio chytrze i rzuca mi spojrzenie.

O Boże, teraz się dopiero zacznie. Wyobrażam sobie, że to będzie dłuższe przedstawienie. Kleinschmid myśli o tym samym i niechętnie zaczyna iść.

Zmierza do samochodu z górnej półki cenowej, tak zwanego segmentu premium, i zachowuje się tak, jakby był strażnikiem w Luwrze, a samochód Mona Lisą

- Zacznijmy od góry. Czy to za wysoko? Zejść zawsze możemy, to jest najlepsze.

- Ja jestem stały klient. Jeżdżę zawsze mercedes... Antonio próbuje nawiązać rozmowę.

- Mamy wielu klientów z Włoch - przerywa mu Kleinschmid z udawaną grzecznością. - Pierwsi piekarze pizzy, którzy jeszcze dziś są bardzo zamożni. No i oczywiście wszyscy ślusarze z mamuškami. Włoch przestał w pewnym momencie chcieć jeździć FIATEM.

Antonio powinien teraz przynieść podnośnik ze swojego mercedesa i połamać nim kolana temu zuchwalcowi.

- Ach nie, fiat nigdy nie jeździłem - broni się Antonio. - Od dawna jeżdżę tylko mercedes.

- Ma pan rację. Ja zawsze mówię, że fiat to skrót od „fatalna imitacja auta turystycznego” - Kleinschmid wybucha śmiechem.

Antonio nie.

- Ale może Włosi lubią „fiaty - graty”? Ha, ha, ha! Żartowniś się znalazł.

- Zrobił pan mały żart, jest pan żartowny - mówi Antonio z najpoważniejszym wyrazem twarzy, jaki można sobie wyobrazić. Chce się z tym człowiekiem porozumieć. Musi. Albo kupi fiata. Zaciska więc zęby. Co za dzielny mały człowieczek.

- Czyli myślę, że możemy przejść do klasy średniej - stwierdza Kleinschmid i klaszcze lekko w dłoń. Idzie przodem, za nim Antonio, potem ja. Kleinschmid wie, że robi interes. Zna gastarbeiterów i ich dążenie do społecznego uznania. Owo uległe zgadzanie się, pakowanie w ryzykowne umowy kredytowe. To pojedynek bez wypowiedzenia wojny: Antonio chce, żeby Kleinschmid go szanował. A Kleinschmid chce, żeby Antonio dał mu swoje pieniądze. W ostatecznym rozrachunku wygra Kleinschmid, ale w zamian za to powinien przynajmniej pracować: wyjaśniać, otwierać drzwi, które Antonio zamyka, podnosić maskę samochodu, otwierać bagażniki i odpowiadać na pytania.

- Czy ten ma klimatyzowane powietrze? - chce wiedzieć Antonio. - I proszę mi powiedzieć, ile osób wchodzi do bagażnik? To był tylko żart. Żartowałem! Jestem żartowny?

Oceniamy model kombi, ponieważ Włosi mają przecież dużo do przewiezienia, gdy jadą do ojczyzny, prawda? Antonio po raz pierwszy jest lekko obrażony.

- Myśli pan, że tak jest?

Następnie dla zabawy daje się zapakować do żółtego kabrioletu.

- No i jak? Jak wyglądam?

Kleinschmid jest zachwycony, jednak ten samochód nie wchodzi w grę. Przekonuję mojego teścia, że nie będą do niego pasowały jego szare pokrowce. Antonio zdecydowanie potrzebuje limuzyny, choćby z powodu pokrowców. Poza tym można do niej łatwo wsiąść i łatwo z niej wysiąść. Jest przeszczęśliwy gdy znajdujemy model, który ma zarówno dach, jak i czworo drzwi. Co ciekawe, mimo tych znaczących zalet jest też o wiele tańszy od kabrioletu.

Teraz kolor. Ciemnozielony byłby według Antonia doskonały. Albo oberżyna. Ale takich nie ma, więc wybiera szafirowoniebieski. Też ładny, prawda? Przytakuję. Antonio bardzo liczy się z moim zdaniem, bo w końcu to ma być ostatnie auto, które kupuje w tym życiu. I jeszcze ja mam coś z niego mieć.

Kleinschmid zaznacza wszystkie życzenia w swoim komputerze i popija przy tym kawę z kubka w kształcie worka na kije golfowe. My nie dostajemy kawy. Przy wyborze dodatkowego wyposażenia Antonio jest oszczędny. Cieszy się jednak z uchwytu na napoje i rozsuwanego dachu.

- To byłoby wszystko? Dobrze, to mamy razem 39 503 euro i 80 centów, które sobie darujemy - Kleinschmid uderza w klawisz enter i drukuje ofertę. Czas na negocjacje, jak sądzę.

- To dużo pieniędzy dla stary człowiek - stwierdza Antonio.

- Tak, z pewnością, ale ten samochód prawie nie traci na wartości. Może go pan w każdej chwili odsprzedać, jeżeli będzie pan musiał, co miejmy nadzieję się nie zdarzy.

Teraz się wtrącam, ponieważ uważam, że nadszedł najlepszy moment na rozmowę o naszym nie tracącym na wartości aucie, które stoi na zewnątrz, na parkingu. Po krótkiej rundzie wokół samochodu Antonia Kleinschmid zmienia swoje zdanie na temat spadku wartości mercedesów, narzeka na stagnację na rynku aut używanych i na złe czasy.

- Nie ma złych czasów, są tylko źli sprzedawcy - wtrącam, a Kleinschmid najchętniej wysłałby mnie do diabła. Wróciwszy za biurko, składa swoją ostateczną ofertę: 34 tysiące i auto Antonia. Mojemu teściowi odjęło mowę. Kleinschmid pokazuje, że jest hojny i dokłada Antoniowi komplet dywaników podłogowych z gwiazdką Mercedesa.

Toni nie wpłaca zaliczki na samochód, daje całą sumę. W gotówce. Za osiem tygodni może go odebrać. Pan Kleinschmid obiecuje, że osobiście go Antoniowi przekaże, co brzmi raczej jak groźba.

W drodze do domu mój mały teść nie odzywa się ani słowem. Nie użył swoich sposobów. Nie negocjował.

Zapłacił żadaną cenę, jak zawsze. Ale ceną nie były pieniądze, one nie mają tu znaczenia. Ceną, jaką naprawdę zapłacił za to auto, jest upokorzenie ze strony faceta ze złotymi guzikami.

Patrzę przez boczne okno i życzę sobie lepszego świata. Antonio dotyka mnie delikatnie, odwracam głowę i widzę uśmiechniętą twarz. W uchwycie na napoje stoi ten okropny kubek na kawę w kształcie worka na kije golfowe.

Podziękowanie

Większość historii w tej książce jest prawdziwa, niektóre są wymyślone, a innych, nawet przy najlepszych chęciach, nie da się zweryfikować. Jest to więc w gruncie rzeczy fikcja, ponieważ jeżeli choćby jakiś szczegół w moich opowieściach nie odpowiada prawdzie, wówczas wszystko automatycznie należy uznać za nieistniejące. Obowiązuje tu zasada: nazwiska i postacie są wymyślone. Podobieństwa do żywych czy zmarłych osób są czysto przypadkowe. Zmieniłem imiona krewnych i przyjaciół. Nie zrobiłem tego tylko w przypadku Antonia Marcipane, bo on nie może się inaczej nazywać.

Dziękuję Rudolfowi Spindlerowi, Evie Fischer i Dominikowi Wichmannowi z „Suddeutsche Zeitung Magazin” oraz Sylvii Neuner za ilustracje. Podziękowania składam również Barbarze Laugwitz za jej wielką cierpliwość i pomoc. Ponadto dziękuję nonnie Emmie, Mariowi, Annie, Nazariowi, Michele, Nunziowi, Davide, Lii, Assuncie, Luigiemu, Dorothei i oczywiście Antoniowi, bez którego nie byłoby tej książki.